



Autor z oswojonym szympansem.

JÓZEF DELMONT

Op. 17-3
A 29

PRZYGODY ŁOWCY ZWIERZĄT EGZOTYCZNYCH

Z oryginału niemieckiego p. t.

20 LAT ŁOWÓW NA GRUBEGO ZWIERZA

przełożył

WŁODZIMIERZ TOPOLIŃSKI

Z 4 tablicami

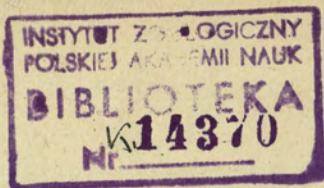


K S I A Ź N I C A - A T L A S

S. A. ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWN. T. N. S. W.

LWÓW—WARSZAWA

(5694)



OKŁADKĘ RYSOWAŁ K. SOPOĆKO

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 14370



6000000000172

2440

Zakłady Graficzne Ski Ake. Książnica-Atlas we Lwowie.

J III

2.10/01.
<http://rcin.org.pl>

Przedmowa

Książka ta daje obraz jednego okresu długoletniej mojej włości. Zawiera tylko to, co sam przeżyłem, sam widziałem i sam słyszałem.

Kiedy jako młody chłopiec po raz pierwszy zobaczyłem okolice podzwrotnikowe, dotkliwie odczułem brak przygotowania. W ciągu dwóch lat pobytu w wiedeńskiej szkole powszechnej nauczyłem się zaledwie czytać, pisać i rachować. Geografja nie wchodziła sześćdziesiąt lat temu w zakres programu pierwszych lat nauczania. Z dziedziny przyrody posiadałem więc te tylko wiadomości, które sobie sam w czasie wycieczek podmiejskich zdobyłem. Gdy później, jako początkujący linoskoczek, z trupą wędrownego cyrku objeżdżałem obie półkule, miałem możliwość obserwowania przyrody tylko podczas podróży z miasta do miasta i z kraju do kraju. W owym czasie jednak, poza uciechami obranego zawodu, interesowały mnie tylko głupstwa. To też nie przyszło mi nawet do głowy, aby zajmować się studjami przyrodniczymi. Cieszyły

mnie wprawdzie wspaniałe budowle i zachwycające obrazy, ale nie było nikogo, ktoby mi pomógł do zrozumienia piękna natury i sztuki.

Literatura była dla mnie pojęciem nieznanem. Do czternastego roku życia czytałem bez wyboru książki pociągające chłopaków mego pokroju: romanse dziesięciogroszowe i opowieści z życia Indjan.

Dopiero widok kniei, dżungli i stepu obudził we mnie przecucie cudów stworzenia i uświadomił mi braki wykształcenia. Braki te jednakże wpłynęły korzystnie na bezpośredniość moich spostrzeżeń przyrodniczych. Nieraz w późniejszych latach, gdy studjowałem dzieła wielkich podróżników, zoologów, botaników i innych uczonych, drażniło mnie to, że spostrzeżenia ich pełne są książkowej wiedzy, której już od osobistych wrażeń i przeżyć oddzielić nie umieli.

Ponieważ umysł mój nie był obciążony żadnemi wiadomościami, patrzyłem na rzeczy żywe i martwe poprostu i naturalnie. Człowiek, zwierzę i roślina krajów egzotycznych, okolic podzwrotnikowych i podbiegunowych różnią się gruntownie od swych braci w strefie umiarkowanej. Tam, gdzie zwierzę styka się z człowiekiem i t. zw. kulturą, traci wiele ze swych cech przyrodzonych. W kniejach, stepach, dżunglach, sa-

wannach, podbiegunowych morzach i pokrytych wiecznymi śniegami okolicach polarnych zwierzęta zachowują swą niezależność i odrębny charakter.

W czasie mych wędrówek po dalekich łądach, na których nie powstała być może stopa białego człowieka, a nawet wogóle człowieka, miałem możność obserwowania zwierząt, słuchania i patrzenia na zjawiska, które dla wielu badaczy były i będą niedostępne. Jak już wspomniałem, nie podlegałem wpływom żadnego nauczyciela ani dzieła naukowego; nie znałem zoologii ani biologii, sam wszystko przeżyłem i poznałem. Mój chlebodawca, z którym powędrowałem do Indyj, zaspokajał moją żądzę wiedzy, dlatego bolałem bardzo, gdy po upływie półtora roku zabrała go nieubłagana śmierć, pozostawiając mnie samego w nieznanym kraju.

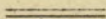
Od tej chwili byłem już zmuszony sam szukać drogi do wiedzy i wówczas dopiero zwróciłem się do dzieł naukowych. Mimo całej mądrości książkowej patrzyłem jednak na wszystko szeroko otwartymi oczyma i nie dałem się wyprowadzić w pole przez drukowane słowo.

Nieraz byłem zmuszony zabierać na swe wyprawy myśliwych. Nienawidziłem nemrodów, których tylko żądza krwi pchała do zabójstwa

najszlachetniejszej zwierzyny; strzelcy ci wzbudzali we mnie obrzydzenie. Tylko z konieczności albo w obronie własnej, swoich ludzi lub schwytanego zwierzęcia uciekałem się do broni palnej. Raz jeden tylko z rozmysłu zastrzeliłem tygrysa, aby tym t. zw. sportowcom dowieść, że i ja potrafię dokonać takiego bohaterskiego czynu oraz aby uniknąć na przyszłość głupich drwinek i żarcików.

Od najwcześniejszego dzieciństwa natura ciągnęła mnie do awanturniczych podróży i takim podróżnikiem zostałem, chociaż już oddawna prowadzę żywot osiadły.

W jaki sposób stałem się podróżnikiem i jak wygląda pracownia takiego osobnika, opowiem w następnym rozdziale.



I

W pracowni podróżnika

Pojęcie podróżnika poszukującego awanturnicznych przygód daje często powód do nieporozumień. Najczęściej awanturniczość pojmuje się jako wyłamywanie się z pod praw. Otóż jest to z gruntu fałszywe ujęcie. Istnieje co prawda wielu pogardzających prawem awanturników, ale ci nie mają nic wspólnego z poszukującymi awanturnicznych przygód podróżnikami.

W każdym człowieku tkwi żyłka awanturicza, lecz życie nie zawsze pozwala jej się ujawnić.

Młodzi chłopcy stale żądni są przygód i awantur; tem tłumaczą się ich częste ucieczki z domów rodzinnych. Przeważnie jednak wyprawy te kończą się prędko i pełni skruchy chłopcy wracają do matek. Prawdziwym podróżnikiem trzeba się urodzić, trzeba do tej roli być przeznaczonym. Nie należy sądzić, aby wszyscy podróżnicy szukający przygód byli tylko stroniącymi od pracy leniuchami, mającymi jedyny cel: włączyć się po świecie. Oczywiście, istnieją i tacy,

ale ci, podobnie jak np. wędrujący rzemieślnicy, nie zasługują na miano prawdziwych poszukiwaczy przygód.

Podróżnik z powołania łączy ze swemi wędrowkami konkretny, zgóry określony cel. Pozwolę sobie zauważyć, że wszystkich wielkich badaczy, zdobywców i wojowników dawnych czasów wiodły tego rodzaju awanturniczo-podróżnicze upodobania.

Dziwnego doznaję wrażenia, gdy patrzę na rozczarowanie osób, którym mnie przedstawiają. Zdziwienie maluje się na ich twarzach. Zwłaszcza zabawne są miny pań. Wyraźnie się w nich czyta:

— Co, ten średniego wzrostu, podtatusiały, z przeciętnym wyrazem twarzy jegomość ma być awanturnicznym podróżnikiem? To ma być człowiek, który trzydzieści lat włóczył się po świecie i zastawiał sidła na grubą zwierzynę? Który zwiedził wszystkie zakątki świata i jako samotny Europejczyk torował sobie drogę wśród dzikiej kniei na odległych lądach? Nie wygląda na to, by umiał stawić czoło niebezpieczeństwom!

A jednak tak jest.

Ludzie stwarzają sobie typy bohaterów i przestępców; myślą się jednak często, biorąc jednych za drugich.

Przestępca musi mieć stale brzydką, odra-
żającą, buldogowatą głowę o niespokojnem oku,
unikającym spojrzeń współbraci.

Jakże się mylą ludzie! Ileż to razy ludzi,
wcielone bestje, zawodowych morderców, których
potworne zbrodnie grały na nerwach całego
świata, nikt nie posądziłby o coś złego, patrząc
na ich niewinne twarze. Czytanie z rysów twarzy
jest żłudne i niepewne.

Po wsiach węgierskich kręcą się zawodowe
trucicielki, których nikt nie odróżni od innych
chłopek, gdyż wyglądają poczciwie jak tysiące
kobiet z ludu.

Czemu więc szukający przygód podróżnik ma
mieć wygląd odrębny?

Tymczasem młodzież i kobiety wyobrażają
sobie takiego podróżnika zupełnie inaczej niż
zwykłych ludzi. Przedewszystkiem musi mieć
wzrost odpowiedni. Przynajmniej około dwóch
metrów wysokości. Powinien być sprężysty
i muskularny. Szczupłą, energiczną twarz,
o ostrym haczykowatym nosie, zdobić winny
krzaczaste brwi i przenikliwe, stalowe spojrzenie.
Potęga mięśni powinna się równać wytrzyma-
łości transmisyjnych pasów. Tak, a nie inaczej
musi wyglądać podróżnik, badacz, myśliwy i łow-
ca zwierząt.

W rzeczywistości sprawa ma się nieco inaczej.

Henryk Morton Stanley, najodważniejszy z badaczy Afryki w ubiegłym stuleciu, był tylko średniego wzrostu i przypominał raczej handlarza niewolnikami niż idealny typ podróżnika. Gustaw Nachtigal był niskiego wzrostu, podobnie jak i Emin Pasza, którego w roku 1892 na rozkaz sułtana Kibango w Kinema nad Kongo zgładzili tubyley.

Major Wissmann i Henryk Bart, tak samo jak i austriacki badacz stref podbiegunowych Payer, nie mieli w sobie nic z awanturników. Raczej już u Schweinfurta możnaby się dopatrywać cech awanturniczości.

Dawid Livingstone miał coprawda głowę brutalną, ale mierzył tylko 1 metr 69 centymetrów.

Idealnym typem nieustraszonego badacza i podróżnika jest jedynie żyjący jeszcze wielki Skandynawczyk Sven Hedin.

Wszystcy wymienieni, z wyjątkiem majora Wissmanna, mieli wielkie, krzaczaste brwi oraz brutalne wystające szczęki, mające być dowodem wielkiej energii.

Wszyscy bez wyjątku posiadali wysokie, szerokie czoła i nosili brody.

Żaden jednak nie mógł się poszczycić odpo-

wiednim wzrostem. Podobnie wszyscy szukający przygód i awantur, których wymieniają kroniki podróży, oraz podróżnicy spotykani przeze mnie w czasie moich wędrówek nie przekraczali średniego wzrostu.

Sam nie zaliczam się do naukowców. Wyruszając w świat, nie miałem w sobie nic z badacza, ale zato wiele z awanturnika; różnię się jednak od moich kolegów tem, że poświęcałem się raczej niezwykłym zawodom.

Zewnętrznie upodabniają mnie do sławnych kolegów jedynie krzaczaste brwi. Nie wiem, czy mam twarde jak stal, przesywające spojrzenie, ale zapewnić mogę, że żaden Zulus, Maori¹ ani mieszkaniiec wysp południowych nie ulęknie się choćby najostrożniejszego wzroku. Aby wzbudzić w tych ludziach strach i poszanowanie, sięgnąć trzeba do innych środków.

Rzecz prosta, iż przebywając w strefie gorącej, byłem bardzo szczupły, a mięśnie moje, jakkolwiek nie miały odporności pasów transmisyjnych, były mocne i często napięte.

Nieodzownym aparatem podróżnika szukającego przygód jest zdrowe serce i żelazna wola. Wszystko zależy od stopnia energii. Słowo „nieвозмоliwe” musi być wykreślone z jego słownika.

¹ Maorysi (*Maori*) — krajowcy Nowej Zelandji.

Gdy ludzie słyszą lub czytają o szukającym przygód podróżniku, potrzęsają mądrze głowami.

„W pracowni podróżnika! Co to znaczy?”

„Gdzież jest ta pracownia?”

„Jaka jej wielkość?”

„Czy tacy włóczykije wogóle pracują? Przecież większość z nich to niebieskie ptaki i wygodnisie, którzy nadewszystko ukochali włóczęgę i lenistwo, którzy żyją sobie wesoło na koszt innych!”

„O jakiego rodzaju pracowni może tu być mowa?”

„Czy tam fałszują pieniądze, przygotowują narzędzia do rozpruwania kas, chwytają okazje włamania?”

Co chwila rodzą się nowe wątpliwości i pytania, a odpowiedzi są mętne i niejasne.

Łatwo i prosto odpowiedzą sobie ludzie świadomi rzeczy.

Warsztat podróżnika szukającego przygód jest większy od przedsiębiorstw Skody, Kruppa i Forda, obszerniejszy od zjednoczonych wytwórni filmowych Hollywoodu. Liczy on podwładnych na setki tysięcy, warsztatem jego pracy jest cały świat. Mam oczywiście na myśli ten typ podróżnika, który bez chwili wytchnienia

przemierza kulę ziemską z krańca na kraniec. Obojętne, czy będzie badaczem, myśliwym, cyrkowcem, czy łowcą, czy przedsięwzięcie podróży do bieguna północnego lub południowego, czy odbędzie lot dookoła świata aeroplanem, czy zmusną podróż żaglówką, czy wreszcie gnać go będzie żądza brylantów i złota.

Wszyscy wielcy ludzie, którzy odkrywali nowe, nieznanne ziemie, wszyscy zdobywcy byli awanturniczymi podróżnikami. Typ ten istniał niewątpliwie i w prastarej epoce kamiennej, lecz niestety, nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

Jednakże historia cytuje nam awanturników, żyjących tysiące lat przed Chrystusem. Któż nie słyszał o bohaterach dawnych Persów, Egipcjan, Greków i Rzymian?

Wielcy odkrywcy i zdobywcy dawnych czasów szukali poprostu awanturnicznych przygód. Przypomnijmy sobie choćby Kserksesa, Aleksandra Wielkiego, Hannibala, Tamerlana, Marka Polo, Kolumba, Przewalskiego i Napoleona Bonaparte.

Mógłbym sypać jeszcze setkami nazwisk, choćby ze świata naukowego, gdyż wielcy badacze w 99% należą do typu awanturnicznych podróżników. Dość przeczytać historję braci Hum-

boldtów, zastanowić się nad tem, co stworzyli i kto to byli Darwin i Brehm.

Nietylko chęć poznania, ale i — podświadoma być może — żądza przygód i awantur bywała niejednokrotnie pobudką do wypraw. Uczeni, którzy wyruszali w świat dla zbadania pręcików jednej jedynej rośliny, ludzie osiadli i majestatyczni w ojczyźnie, szukali na wyprawie awanturniczych przygód, a mimo to oddawali cenne usługi nauce. Po pierwszej wyprawie nie mogli już usiedzieć w domu i chętnie zmieniali ciasną pracownię na nieograniczoną przestrzeń odległych lądów i mórz.

Jakże śmiałym podróżnikiem był Kolumb! Niektórzy odmawiają mu coprawda pierwszeństwa odkrycia Ameryki, ale nikt nie zaprzeczy, że gnała go żądza awanturniczych przygód. A wielki Korsykanin Napoleon Bonaparte! Tylko świadoma celu, niezwykle energiczna natura mogła zawładnąć całą prawie Europą i częścią Afryki.

Rozwój techniki ostatnich lat ułatwił badaczom i podróżnikom zwiedzanie dalekich krain i bezdroży. Gdy po raz pierwszy przybyłem do Indyj, sieć kolejowa była jeszcze mało rozwinięta, w głębi kraju nie było telegrafu, tylko heljografy, to jest przyrządy do wysyłania sygnałów

świetlnych, i niemal zupełny brak spławnych rzek. Badacze i podróżnicy nie stąpali wówczas po różach; w lepszych warunkach byli oficerowie i urzędnicy kolonij, którzy mieli do rozporządzenia oddziały wojskowe.

W jaki sposób zwykły śmiertelnik staje się awanturniczym podróżnikiem? Ponieważ brak cechu odpowiedniego, w którym, zdobywając kolejne szczeble hierarchji, możnaby się wykształcić z ucznia na mistrza, ponieważ nie istnieją żadne odpowiednie szkoły zawodowe, przeto takim podróżnikiem trzeba się urodzić, trzeba być zgóry do tej roli przeznaczonym. Jest rzeczą znaną i dowiedzioną, że większość awanturnicznych podróżników pochodzi ze zwykłych, osiadłych rodzin. Jednakże, jeśli dobrze poszperać w przeszłości, znajdzie się zapewne wśród naszych przodków ktoś o cechach i znamionach człowieka żadnego przygód. W niektórych rodzinach spotykamy ich nawet po kilku, ale są to wypadki stosunkowo rzadkie.

Zapytywano mnie często, dlaczego nie mogłem usiedzieć w domu i co mnie właściwie ciągnęło w świat, chociaż pochodzę ze zwykłej osiadłej rodziny.

Byłem, a raczej jestem, niepierwszym awanturniczym podróżnikiem w mojej rodzinie.

Mój, o czternaście lat starszy ode mnie brat, czarnowłosy typ cygański, uciekł jako chłopiec piętnastoletni z realnego gimnazjum w Wiedniu i udał się pieszo do rodzinnej naszej wioski Loiwein, położonej w lasach południowej Austrii. Oświadczył rodzicom stanowczo, że pragnie zwiedzić świat i uczyć się więcej nie myśli.

Otrzymywane w ciągu tygodnia regularnie każdego dnia lanie zmieniło narazie jego światopogląd i w rezultacie powrócił do Wiednia. Uczył się jeszcze czas krótki, a potem, gdy rodzice zbiednieli i przenieśli się do stolicy, porzucił pracę i uciekł ponownie. Włóczył się po całej Europie, wstąpił do francuskiej legji cudzoziemskiej i po kilku dopiero latach wrócił do kraju. Nieszczęśliwy romans z wytworną jakąś damą zniechęcił go ostatecznie do ojczyzny, to też któregoś pięknego dnia znikł równie nagle i niespodzianie, jak się pojawił. Terenem jego awanturniczych przygód stała się holenderska legja cudzoziemska w Indjach. Gdy powrócił raz jeszcze na urlop do Austrii, słuchałem z zapartym tchem jego opowiadań i postanowiłem niezwłocznie, gdy tylko zdarzy się sposobność, wywędrować w daleki, piękny świat.

Po skończonym urlopie brat opuścił Wiedeń i już nigdy więcej nie słyszeliśmy o nim. Po

dwudziestu jeden latach odnalazłem jego grób na Jawie. Padł w walce z krajowcami. Opowieści brata nurtowały stale w mej świadomości i działały podniecająco. Byłem przeciwnikiem szkoły i śmiertelnym wrogiem nauczycieli.

Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, skąd właściwie pochodzili moi przodkowie. Coprawda, dociekania moje nie były grutowne. Czasem jest lepiej pewnych rzeczy nie wiedzieć. Jedno jest pewne, że mój pradziad pojawił się nagle ni stąd, ni zowąd w południowych Czechach, niedaleko Nowej Bystrzycy. Przybył z okolic Saragossy z żoną, której język on jeden tylko rozumiał. Była to Portugalka.

13711 Dziadek, kamieniarz, przywędrował do Austrii, a mój ojciec, jako niespełna dwudziestoletni młodzian, był już właścicielem gospody i młeczarni w Loiwein. Mimo młodego wieku był już żonaty. W owych czasach trafiali się jeszcze odważni mężczyźni. Rodzice moi ukoronowali swój związek siedemnaściorgiem dzieci: dwunastoma chłopcami i pięcioma dziewczętami.

Ja byłem jedenastym chłopcem, szesnastem z kolei dzieckiem. Matka moja była męczennicą w pełnem tego słowa znaczeniu. W początkach siedemdziesiątych lat wybuchła w Kremstalu czarna ospa, która powaliła dziesięcioro mego ro-



dzeństwa; z tych tylko dwojgu zdołano uratować życie, nie zdołano jednak usunąć brzydkich śladów choroby.

Rodzice moi przenieśli się do Wiednia.

Na peryferjach miasta, wśród rozległych ogrodów warzywnych, założyli pralnię. Tam spędziłem pierwsze lata mego dzieciństwa.

Co lata mieliśmy atrakcję nielada: była nią trupa wędrownych kuglarzy, których szumnie nazywaliśmy artystami.

Na wysokich śmietnikach staraliśmy się naśladować ich sztuki, chodzenie na rękach i t. p. Odkąd po raz pierwszy ujrzałem „artystów”, przyświecał mi tylko jeden cel: stać się równie wielkim artystą, jak oni.

Potajemnie przygotowywałem ucieczkę. Dzięki godnemu lepszej sprawy samozaparciu i wytrwałości uciulałem 35 grajcarów,² zawiązałem je nocą wraz z krążkiem kiełbasy, kromką chleba i kilku zabawkami w chusteczkę od nosa i uciekłem. Miałem wówczas osiem lat i trzy miesiące.

Dzieci są okrutne, lecz przeważnie nieświadome swego okrucieństwa, to też nie myślałem

² Moneta austriacka — około dwóch groszy.

wcale o wielkim bólu, jaki sprawię rodzicom, a zwłaszcza swej idealnie dobrej matce; gdybym to był przeczuł, nie postąpiłbym tak lekko-myślnie.

Z trupą wędrownych kuglarzy objeżdżałem przez pół roku Morawy i Słowacyzynę. Nie mogę twierdzić, że dobrze mi się działało. Wraz z drugim towarzyszem uczniowskiej niedoli przymieraliśmy nieraz głodem.

W Budapeszcie zwróciłem uwagę kierownika trupy akrobatów i już po upływie trzech miesięcy występowałem w amsterdamskim cyrku, fruując na ruchomym trapezie ponad głowami widzów.

Pięć lat włączyłem się z trupą po świecie i nikt nie podejrzewał nawet, że mam w Wiedniu rodziców. Trupa Chiesi „The flying devils”³ objeżdżała, wyjąwszy Austrię i Włochy, cały kontynent europejski, północną i południową Amerykę; zwiedzała również wraz z cyrkiem Richarda południową Afrykę, Indje i Australję.

W lutym 1887-go roku losy zawiodły nas do Wiednia.

Rodzice mnie nie poznali, a matka zemdląła,

³ Latające djabły (przyp. tłum.).

widząc, jak na arenie cyrkowej skakałem z trapezu na trapez.

Rzuciłem cyrkowców i wróciłem do nauki, ale w krótkim czasie owładnęła mną czarna melancholja, więc odszukałem ponownie goszczącą w Bukareszcie trupę. W dniu trzeciego przedstawienia potłukłem się dotkliwie, padając przy skoku poza siatkę, i stałem się niezdatnym do dalszych występów.

Po opuszczeniu szpitala nastąpiły długie tygodnie nędzy i zwątpienia. Przez Węgry, Austrię — omijając rzecz prosta starannie Wiedeń — Szwajcarję i Niemcy, udałem się do Belgji, gdzie oczekiwał mnie dawny towarzysz cyrkowy. Postanowiliśmy podbić świat jakimś wyuczonym numerem kabaretowym; fiasko na całej linji podcięło nam skrzydła. W rezultacie dostałem się jako dozorca zwierząt do słynnego pogromcy słoni z Filadelfji. Wkrótce wysłano pod moją opieką dwa chore słonie na kurację do Liverpoolu. Tu wpadłem w oko wytrawnemu starremu łowcy zwierząt gruboskórych, panu Iren Mc Cutcheon, który wybierał się właśnie na długie lata do Indyj. Po upływie dwóch tygodni jechałem już z moim nowym szefem okrętem „City of Westminster” przez zatokę Biskajską do Azji.

Teraz dopiero rozpoczęło się życie pełne przygód. Nie było ono jednak słane różami, raczej była to droga usiana cierniami, pełna wyrzeczeń i udręki.

Jaka jest właściwie rola łowcy grubego zwierza? Jest to zawód, który planowo, systematycznie i stale uprawiało dotąd tylko pięciu ludzi. Zapewne jeszcze i inni zajmowali się łowieniem grubej zwierzyny, ale tylko sporadycznie i dorywczo. Byli to ludzie organizujący od czasu do czasu wyprawę na jakiś jeden, ściśle oznaczony gatunek zwierząt, ale zawodowo łowami grubego zwierza zajmowało się dotąd tylko pięciu.

Mimo ułatwionej obecnie lokomocji wobec olbrzymiego aparatu pomocniczego i nieobliczalnych wprost kosztów wyprawy typ zawodowego łowcy jest prawie nie do pomyślenia.

Niezadługo być może dojdzie już do tego, że wprost z auta będziemy strzelali do słońi i tygrysów lub chwyтали je na łąso.

Pragnę jednak mówić o awanturniczych przygodach łowcy dawnego typu.

Literatura poświęcona przygodom badaczy, podróżników i żeglarzy jest bardzo bogata, ale rzadko kiedy prawdziwa.

Tylko naprawdę wielcy badacze darzą nas obiektywnymi sprawozdaniami, opisując uczei-

wie, bez przesady, zarówno małe, jak wielkie zdarzenia, włączyć i niebezpieczeństwa. Dzieła ich jednakże są przeważnie ściśle naukowe, oschłe i dla przeciętnego śmiertelnika ciężko strawne. Niewielu badaczy potrafi pisać tak obrazowo i ciekawie, jak Sven Hedin lub Bengt Berg.

Nie miałem jeszcze lat szesnastu, gdy pan Mc Cutcheon zabrał mnie do Azji. Podróż naprzelaj przez Indje obliczona była na dwa i pół roku. Miasto Madras, w którem firma posiadała własną placówkę, miało być punktem wyjścia wyprawy, centrum łowów i sprzedaży tygrysów, nosorożców i innej zwierzyny.

Działo się to w roku 1888. Linij kolejowych było wówczas jeszcze bardzo niewiele; niektóre zakładano, inne projektowano dopiero. Drogi wodne też były rzadkością, a uregulowane rzeki należały do wyjątków. Wszystko było w fazie powstawania. Wszędzie pracowali geometry i inżynierowie. Anglik, najbezwzględniejszy być może, ale i najlepszy kolonizator, nie jest nigdy bezpodstawnie brutalny, czego nie można powiedzieć o innych zaborcach, z wyjątkiem jednych tylko Holendrów.

W Madras pan Mc Cutcheon zorganizował niewielką ekspedycję. Zabrał tylko kilku sprytnych i doświadczonych ludzi, którzy towarzyszyli

mu już niejednokrotnie. Partja tragarzy miała być zamówiona dopiero w bezpośrednim sąsiedztwie terenu łowów.

Narazie przyłączyli się do nas trzej Hindusi, dwaj Anamici, jeden Chińczyk i jeden Senegalczyk. Hindusi byli świetnymi organizatorami i pierwszorzędnymi myśliwymi o węchu psów gończych; Chińczyk został kucharzem. Senegalczyk był to genjusz w swoim rodzaju: władał piętnastu narzeczami olbrzymiego kraju, mówił nawet po chińsku i tybetańsku. Obdarzony niezwykłą wymową, potrafił w razie potrzeby zjednywać za minimalnem wynagrodzeniem pomoc całych wiosek. Anamici przeznaczeni byli do osobistych posług przy panu Mc Cutcheonie. Zczasem i mnie przydzielono służącego, który jednakże niewiele się troszczył o moją skromną osobę.

Przygotowania do wyprawy pochłonęły mnie całkowicie i byłem szalenie zaintrygowany przeznaczeniem nagromadzonych przyborów i narzędzi. Czegoż bo tam nie było: druty, siatki druciane, sznury, powrozy, grube liny, topory, siekierki przeróżnej wielkości i kształtu, wielkie noże, które — jak się o tem zczasem dowiedziałem — służyły do torowania drogi wśród gąszczu. Imponujący był też rynsztunek osobisty

szefa, wreszcie mój i pozostałych członków ekspedycji. Przeznaczony dla mnie oddzielny namiot wzbijał mnie w dumę nielada. Radości mej nie zmącił nawet wielki guz, którego sobie nabiłem, gdy niedość zręcznie wyskoczyłem z hamaku-łożka.

Ekwipunek kuchni wzbudził mój entuzjazm, a zaopatrzenie apteczki — podziw. Marzyłem skrycie o chorobie, aby móc liźnąć coś niecoś z pięknych butelek, słoików, tygielków, pudełeczek i tubek. Niestety, wkrótce już danem mi było zaspokoić to pragnienie.

Jakże się zdziwiłem, słysząc, że zabieramy dziesięć funtów proszków chininy i trzy wiaderka, zawierające każde po pięć galonów⁴ dżinu.⁵

Dżin! Nie wiem, czy szanowni czytelnicy znają smak tego boskiego trunku. Jeśli jest za drogi, mogę zdradzić receptę taniego płynu o identycznym smaku.

Należy wziąć szczyptę kwasu karbolowego i octanu glinu, zmieszać to z solidną dawką nafty i oleju rycynowego, a otrzyma się lekarstwo o smaku dżinu.

⁴ Angielska miara objętości (galon = 4,54 l).

⁵ Rodzaj wódki.

Już w pierwszych dniach podróży zażywałem na rozkaz Mc Cutcheona pigułki chininy, które zapijałem kieliszkiem dżinu.

Gdy po raz pierwszy łyknąłem dżinu, miałem wrażenie, że połknąłem Wezuwjustz, i czułem, jak wzbierały we mnie płonące strumienie lawy. Chciałem skoczyć z okrętu do morza. A gdyśmy się znaleźli w miasteczku, pobiegłem czem prędzej do apteki po odtrutkę na dżin.

Później się dopiero przekonałem, że ten przeklęty trunek, ta wysokoprocentowa wódka, ma jednakże i dobre strony.

Najbardziej imponował mi hełm tropikalny. Coprawda szef mój małą przykładał wagę do elegancji mego stroju; obdarzył mnie o dwa numery za małym hełmem, który spadał mi wciąż to na prawe, to na lewe ucho, na kark lub na twarz. Nos miałem stale zraniony. Jednakże człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Nawet do łykania chininy i mdłego zapachu dżinu, ba! i do miłych podzwrotnikowych chorób.

Mc Cutcheon zalewał się stale dżinem oraz różnorodnymi odmianami whisky. W tym stanie ducha rzadko bywał łaskawy i chętnie używał pięści. Kilkakrotnie stłukł mnie niemilosiernie, gdy jednakże któregoś dnia sięgnął do bata, zapomniałem o wszystkich planach, o całym pięk-

nie, które ujrzeć i przeżyć pragnąłem, i rzuciłem się na mego mistrza. Boksować nauczyłem się jeszcze jako dziesięcioletni chłopak w trupie cyrkowców, a z wiekiem doszedłem w sztuce tej do doskonałości. Wyzyskałem więc swe umiejętności i mimo iż Mc Cutcheon był silniejszy, cięższy i większy ode mnie, zaskoczyłem go wprawem uderzeniem w nos i w prawe oko i wywołałem krwotok, poczem... w nogi. Waleczyliśmy bez rękawiczek i jeszcze długie tygodnie bolały mnie ręce od uderzeń w twardą czaszkę przeciwnika.

Od czasu tej energicznej obrony rzadko kiedy dostawałem w skórę.

Z Madrasu jechaliśmy koleją wzdłuż wybrzeża aż do Managalagiv, a stamtąd w głąb aż do Hajderabad. W Nasirghar skompletowano skład wyprawy i tu po raz pierwszy byłem świadkiem, jak nasz sprytny Senegalczyk rozmawiał z krajowcami. Załatwiał jedną z najważniejszych i najtrudniejszych zarazem spraw.

Zamieniłem się cały w słuch i wzrok. Z trupą akrobatów poznałem w Indjach tylko Bombaj, Kalkutę i jeszcze kilka większych miast przybrzeżnych. Teraz byłem już w głębi, w samym sercu Indyj i szeroko otwartymi oczami i żądną wrażeń duszą wchłaniałem cuda, tysiąc-

ne cuda tego bajecznego kraju, arcydzieła architektury, które przetrwały tysiąclecia; najbardziej jednak pociągała mnie dżungla i puszcza odwieczna ze wszystkim, co się w nich czaiło, skakało, pełzało i fruwało. Nęciły mnie zwierzęta i gdy ujrzałem budowę pierwszych klatek, sieci i sideł, zapomniałem prawie o pierwszym ataku malarji, który podniósł temperaturę mego ciała do 40°.

Na wąskich łodziach płynęliśmy do właściwych terenów.

Mc Cutcheon zwracał uwagę na wszystkie niebezpieczeństwa, które czaiły się w lesie, dżungli, u wybrzeży i w głębi rzek. Tłumaczył, bym się nie zbliżał do każdego domniemanego pnia u wybrzeża, są to bowiem rzadko kiedy drzewa, lecz przeważnie czatujące, choć napozór śpiące krokodyle. Wogóle, raz na zawsze: uwaga w czasie kąpieli! Specjalnym tematem kazań były trujące węże. Zawsze uważać! Pouczał mnie, gdzie się te niebezpieczne zwierzęta kryły, jak je wyminąć, schwytać lub unieszkodliwić. W niektórych okolicach nosiliśmy sięgające powyżej kolan skórzane buty i to była najskuteczniejsza obrona.

Wkrótce przekonałem się na własnej skórze, czym jest ukąszenie jadowitego węża.

Cudowne, mimo wszelkich niewygód, były to czasy!

Orientowałem się szybko i niezadługo stałem się prawą ręką szefa. Łowiliśmy wszelkiego rodzaju zwierzyńę, ale głównie i przede wszystkim tygrysy, nosorożce, duże antylopy, bawoły, małpy, niedźwiedzie, olbrzymie węże, płazy, ptaki i t. p. Musiałbym przewertować cały słownik zoologiczny, aby wyliczyć po imieniu wszystkie schwymane i zakupione zwierzęta.

Łowienie słońi wymaga wiele czasu i uwagi i w tym celu organizowane są specjalne wyprawy. Usidlenie azjatyckiego słońia przy pomocy odpowiedniej przynęty i skrępowanie go w sposób mniej lub więcej brutalny nie jest rzeczą łatwą. Jednakże zwabienie słońia afrykańskiego do zasadzki urządzonej wpobliżu rzeki, w której olbrzymy te gaszą regularnie swe pragnienie, przedstawia się jeszcze trudniej.

Droga nasza prowadziła w głąb Indyj; karawana zwiększała się ciągle, liczba zwierząt wzrastała. Gdyśmy w wędrowce tej napotykali stację kolejową, spławną rzekę lub drogę, którą można było schwymany dobytek przetransportować do portu lub filji naszej firmy, wysyłałiśmy transport klatek pod opieką kilku pewnych, zaufanych ludzi. Mimo to wyprawa była

liczna i posuwała się coraz bardziej ku północy, aż do granic Bengalji.

Z Benares zawróciliśmy na wschód do Renar, królestwa tygrysów. W Renar umówiono czterystu nowych ludzi, przeważnie górali, silnych, pięknych i odpornych na wszelkie trudy chłopów; słabi i chorzy, którzy towarzyszyli nam już od roku, zostali odesłani do domów.

W tym pierwszym roku moich peregrynacyj nauczyłem się bardzo, bardzo wiele; z pierwszych mych doświadczeń wyciągnąłem duże korzyści na przyszłość. Zostaliśmy ponownie wyekwipowani; wszystkie rzeczy zniszczone i uszkodzone złożono do archiwów.

W czasie upalnych dni i przejmująco zimnych nocy posuwaliśmy się wciąż na północny wschód. Coraz bardziej oddalaliśmy się od osiedli ludzkich. Stale zmęczony, nauczyłem się spać w pozycji siedzącej na koniu.

Po dziewięciu tygodniach, czyli 63 dniach, niewypowiedzianie żmudnej wędrówki dotarliśmy wreszcie do zacisznych siedzib tygrysów. Okolica roiała się od wszelakiej zwierzyny, zdawała się być pozostałością raj.

Nietrudno było napełnić pośpiesznie budowane klatki. Czterech ludzi zatrudnionych było stale polowaniem w celu dostarczenia żywności

dla schwytych drapieżników. Padały całe stada bawołów.

W krótkim czasie złowiliśmy trzysta sztuk większej i około tysiąca mniejszej zwierzyny. Całe to towarzystwo mieściło się w dużej, odrutowanej kotlinie. Karmienie i utrzymanie porządku wymagało niezwykłych z naszej strony wysiłków.

Sprowadzana z najodleglejszych wiosek ludność trudniła się zaprowjantowaniem nas i zwierzyny.

Ludzie ci wlekli za sobą okropną chorobę. W skład wyprawy wchodziło już zgórą tysiąc głów. Pan Mc Cutcherson, dotknięty silną febrą, leżał od dni kilku, klnąc w swym hamaku. Połykał wielkie ilości chininy i dżinu. Epidemja, o której wspomniałem, jest najokropniejszą plagą ludzkości, jest to mianowicie t. zw. dżuma płuc.

Znałem już poza malarją, która trzęsa mną niejednokrotnie, przeróżne odmiany tropikalnych gorączek. Miałem silny atak cholery i patrzyłem ze zgrozą, jak wielu z naszych ludzi, którzy nie przetrzymali tej strasznej choroby, porzucano poprostu na drodze lub w lesie. Innego sposobu nie było. Zetknąłem się również z dżumą.

Poznałem ją na wymarłych zupełnie przestrzeniach, w opustoszałych wioskach, gdzie pokotem słały się ciała ludzkie, atakowane jeszcze po śmierci przez bezpańskie, zgłodniałe psy.

Pierwszym człowiekiem, który konał w moich oczach, chory na dzumę płucną, był mój osobisty posługacz. Nie znałem tej choroby, a i dla krajowców była ona obca. Po raz pierwszy ukazała się w okolicy. W strasznych męczarniach, w atakach szalonego kaszlu, skazańcy wypluwają stopniowo czarne strzępy własnych płuc i umierają w ciągu kilku godzin. Niejednokrotnie śmierć następuje już po upływie pół godziny. Szef mój leżał w silnej gorączce; daremnie podawałem mu leki z podróźnej apteczki.

Już drugiego dnia mieliśmy osiemnaście trupów, a cała masa bengalskich górali wiła się w boleściach. Nie wiedziałem nic o tem, że powinienem był nosić ochronną siatkę, i biegałem pomiędzy kaszlącymi chorymi, ale strzegł mnie widocznie mój anioł stróż i dżin, który piłem w olbrzymich ilościach.

Trzeciego dnia dostał dzumy płucnej pan Mc Cutcheon i już po upływie dwóch godzin zmarł w moich ramionach.

Większość zdrowych jeszcze ludzi uciekła. Czwartego dnia naliczyłem w obozie dwieście

trupów, a wielu zmarłych leżało jeszcze po drogach i w lesie.

Szóstego dnia wkroczyło wojsko angielskie z trzema lekarzami i pielęgniarkami.

Sześciuset ludzi zabrała mi dżuma; zostałem sam z olbrzymim taborem schwytej zwierzyny, którą uratowałem tylko dzięki pomocy komendanta, majora Boyd Millera, jednego z najlepszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Naznaczono nam czterotygodniową kwarantannę. Utrzymanie zwierzynca nastęrczało tak wielkie trudności, że musiałem część bestyj zastrzelić. W międzyczasie nadeszła z Anglii z firmy odpowiedź na moją depeszę, wysłaną po śmierci szefa, z zapytaniem, co mam dalej czynić. Trzeba to przyznać Anglikom, że prędko nabierają zaufania do ludzi. Dopiero po latach dowiedziałem się, że pułkownik Miller wysłał do firmy na własną rękę depeszę, w której wynosił mnie pod niebiosa.

„Jeśli pan sądzi, że zdoła wyprawę doprowadzić do końca, proszę iść naprzód. Przekaz pieniężny wysłany na pańskie nazwisko” — brzmiała odpowiedź z Anglii.

Pułkownik Miller, świadek mego wahania, dodawał mi otuchy i dopomógł do znalezienia

nowych ludzi. Miałem wtedy dopiero lat siedemnaście, a mimo to przez całe osiem miesięcy kierowałem samodzielnie wyprawą, złowiłem wiele wartościowych zwierząt, zdobyłem u ludzi posłuch i respekt i doprowadziłem szczęśliwie mój olbrzymi transport do Kalkuty, a stamtąd małym, specjalnie dla moich ludzi i zwierząt najętym statkiem do Madras.

Wielką pomocą, prawdziwym błogosławieństwem dla mnie było, że zaraza oszczędziła dwóch tłumaczy oraz Senegalczyka i chińskiego kucharza. Wszyscy czterej wzięli nogi za pas zaraz na zajutrz po wybuchu epidemji i ujrzałem ich dopiero po upływie tygodni.

W Madras, gdzie słowem i pięścią zdobywałem sobie posłuch, wytechnałem dwa miesiące, poczem ponownie wyruszyłem na łowy.

W przeciągu następnych pięciu lat przemierzyłem Indje wzdłuż i wszerz, z północy na południe i z zachodu na wschód. Przedarłem się do zamkniętych terenów Butanu i zdobyłem pozwolenie na łowy w Nepalu. Dotarwszy aż do Afganistanu, zostałem schwytyany i życie moje wisiało na włosku, gdyż podejrzewano mnie o szpiegostwo na rzecz Anglii. Zwolniono mnie za okupem dwóch tysięcy funtów szterlingów.

Do wielu okolic zwiedzonych w ciągu tej pię-

cioletniej wędrówki żaden biały przede mną nie dotarł. Były to ciężkie, ale cudowne lata. Poznałem człowieka i zwierzę, kraje i ludzi. Przedewszystkiem interesowały mnie zwierzęta, całą istotą ciągnęło mnie do nich, badałem duszę zwierząt tak niesłusznie „bestjami” zwanych. Niema chyba w tych stronach zwierzęcia, które-gobym nie schwytał. Od najmniejszego robaczka, od wdzięcznego maleńkiego ptaszka nektarnika aż do olbrzymiego słonia łowiłem lub zdobywałem je wszystkie.

Cała moja miłość, moja dusza należy do zwierząt, bo je znam i wiem, o ile przewyższają człowieka. Uważam za wielkie szczęście, że Bóg pokąpił zwierzętom ludzkiej mowy, bo jakżeż czuliśmy się zawstydzeni i upokorzeni, gdyby zwierzęta wypowiedziały swoją o nas opinię na podstawie własnych obserwacji. Zwierzęta nie znają podstępu ani fałszu. W wielkim błędzie są naukowcy i laicy przypisujący zwierzętom te brzydkie ludzkie cechy. Zresztą nie należy to do tematu.

Przez dwadzieścia lat objeżdżałem jako łowca dzikich zwierząt kulę ziemską.

By dotrzeć do niektórych gatunków zwierząt, trzeba się zapuścić daleko w głąb dżungli lub stepu. Przedewszystkiem należy się starać

o poznanie zwyczajów zwierzęcia, zbadać jego kryjówki i stąd wywnioskować, w jaki sposób najłatwiej byłoby je schwytać. Tropienie i określenie zwierzęcia, według znikomych częstokroć śladów czy odcisków, jakie pozostawia, nie jest rzeczą łatwą i wymaga przeważnie długich lat studjów i wędrówek. Niektórzy wprawy tej nie nabywają nigdy. W Indjach miewałem niekiedy pomocników, którzy na podstawie jakiejś złamanej gałęzi, jakiegoś nieznacznego śladu na korze drzewnej, pochylenia trawy, natychmiast orzekali, jakie zwierzę pozostawiło te ślady. Wiedzieli nawet, kiedy owe ślady powstały.

Ślady wielkich zwierząt rozpoznać nietrudno. Zwłaszcza łatwo odszukać jest słońia, jeśli jego ślady nie są zbyt dawne. W Afryce słońie częstokroć wyręczają ludzi przy torowaniu nowych dróg, dostarczając jednocześnie materiału opałowego w postaci powalonych drzew.

Żyjące swobodnie stada słońi używają stale tych samych tropów. Wielkim swym ciężarem zwierzęta te miażdżą wszystkie napotykanne po drodze rośliny, łamią grube gałęzie i nierzadko wdeptują w ziemię potężne konary drzew.

Na wzór amerykańskich Indian i mieszkańców Afryki olbrzymy te maszerują zawsze gęsiego. Na czele stada stale postępuje majesta-

tycznym krokiem wielki okaz samki, nie ojciec rodu, jak jest w zwyczaju u antylop. Za nią maszerują inne przedstawicielki płci „słabej”, matki w towarzystwie dzieci, dziecko zawsze wtyle za matką, poczem kilka starych słońce i dopiero w odległości 15—20 i więcej metrów jeden lub kilku ojców rodu. Większe przeszkody, a więc głębokie doły, wywrócone pnie potężnych drzew i olbrzymie mrowiska, słońce starannie omijają. Każda ścieżka wydeptana przez słońce napawa radością serca podróżników i myśliwych. Ścieżka taka jest do tego stopnia równa i wygładzona, że przy pewnej zręczności możnaby po niej jeździć na wrotkach.

Nosorożce często zmieniają drogi wiodące do miejsc, gdzie znajdują żywność i gaszą pragnienie, i z tego powodu łatwo odnaleźć ich ślady. Łatwo jest też wysledzić niedźwiedzia, tygrysa i bawołu. Trudniej natomiast tropić lamparta, jaguara i panterę.

Zetknięcie się z lwem jest zawsze niespodziewane. W niektórych okolicach Afryki lwy występują gromadnie. Chociaż pokaźna ilość tych królewskich zwierząt pada corocznie od kul myśliwych, mam wrażenie, że liczba ich stale wzrasta. Płodność tego wielkiego kota i okoliczność, że ten król pustyni (nazwa, którą uważam za nie-

odpowiednią) posiada zazwyczaj cały harem lwie, wpływa na szybki przyrost potomstwa. Tysiące opowieści pisano o lwach i każda z nich zawiera coś nowego i ciekawego. Co najmniej 85% tych opowieści można spokojnie włożyć między bajki. Twierdzenie, że lwy żyją parami, jest z gruntu fałszywe. Niejednokrotnie miałem sposobność zauważyć, że do jednego lwa należało kilka lwic z ich małemi. Młode nie były w jednym wieku. Widziałem zupełnie małe kilkutygodniowe lwiątko, młodzieńców i panny, które przekroczyły szósty miesiąc, a nawet pierwszy rok życia. Czasem spotyka się stada złożone z kilku rodzin, ale zdarza się to stosunkowo rzadko. Częściej widuje się oddzielne rodziny lub pojedyncze sztuki; wówczas są w poszukiwaniu łupu. Starego lwa złować jest niełatwo, chyba zastawiając okrutne żelazne sidła, które dotkliwie ranią zwierzę. Daremne usiłowanie uwolnienia się z pułapki powoduje liczne uszkodzenia skóry i nóg ofiary.

W obszarze Kenja, w wielkim angielskim parku ochrony przyrody, żyją tysiące lwów, wyrządzając nieobliczalne wprost szkody wśród innej zwierzyny, zwłaszcza wśród antylop.

W początkach 1904 r. podróżowałem po środkowej Ameryce. Wiedzieliśmy, że od dłuższego

już czasu towarzyszy nam stale górską pantera, która pewnej nocy w pobliżu obozowiska porwała nam psa. Mimo tropienia i starannych poszukiwań nie udało nam się odkryć rabusia.

Niektóre zwierzęta ocierają swe łędźwie i brzuchy o drzewa i kamienie. Słonie naprzykład takim tarciem wygładzają pnie drzew nie gorzej od najlepszego hebla. Na Sumatrze widziałem wielkie kamienie o powierzchni zupełnie gładkiej od ocierania się tapirów i dzikich świń. Na ślady drapieźców naprowadza najczęściej świeżo porzucony łup; przeważnie jednak kończy się na rozpoznaniu śladów, rzadziej widzi się zwierzyne.

Znacznie trudniej wytropić drobne zwierzęta. Umiejętność wyszukiwania ich kryjówek, gniazd i legowisk wymaga długich lat praktyki. Nic nie znaczące napozór drobiazgi, obok których przechodzi się obojętnie, dają często dokładne wskazówki o przejściu i siedzibie zwierzęcia. Małpy, zwłaszcza wielkie ich okazy, ukazują się często człowiekowi, nie zwracając nań żadnej uwagi. W głębi kniei, w której się ludzie rzadko pojawiają lub której spokoju nigdy jeszcze nie zakłócili, ukazanie się ich nie wywołuje lęku i nie wytrąca zwierząt z równowagi. Niektóre jednak gatunki małp, np. no-

sacze, żyją w ukryciu i uciekają na widok człowieka.

Podczas mego kilkumiesięcznego pobytu na Sumatrze tylko raz jeden ujrzałem, ale i schwytałem to śmieszne i brzydkie stworzenie.

Knieja, dżungla, step są dla podróżnika szukającego przygód, którego pociąga egzotyczna fauna, flora i ludność, niewyczerpanym źródłem wrażeń i niespodziewanych odkryć.

Ciągną go one, choćby sobie po tysiakkroć przysięgał nie wracać tam więcej, ciągną mimo niebezpieczeństw, chorób, wyczerpujących przygód i przejść.

II

Mowa zwierząt

Zwierzęta mówią. Zwierzęta się śmieją. Zwierzęta płaczą. Zwierzęta dają głośny wyraz swym uczuciom. Od lat już trudzą się uczeni nad zrozumieniem mowy zwierząt i trudy te dały już duże, choć jeszcze niedoskonałe rezultaty.

Najczęściej studjowana bywa mowa małp, a to na podstawie przypuszczenia, że dźwięki porozumiewawcze tych najbardziej do człowieka

zbliżonych zwierząt czworonożnych są analogiczne do jakiegoś pradawnego stadium rozwoju mowy ludzkiej.

Rozumowanie to, podobnie jak wiele innych, jest oczywiście czysto teoretyczne, gdyż dotychczas nie odkryto jeszcze istotnego związku pomiędzy mową ludzką a nieartykułowanymi dźwiękami małp. W każdym razie jednak oba sposoby wypowiedzenia się mają coś wspólnego.

Mam na myśli nie tylko mowę małp, ale w ogóle kształtowanie się dźwięków u zwierząt czworonożnych, ptaków i człowieka. Przez dziesiątki lat danem mi było obserwować zwierzęta w egzotycznych, zamieszkałych lub niezamieszkałych przez człowieka okolicach. Obserwowałem je również u nas, w strefie umiarkowanej.

Poznałem też prymitywny słownik dzikich i półdzikich plemion i znalazłem tam duże pokrewieństwo tonów z dźwiękami wydawanymi przez zwierzęta.

Dźwięki niemal artykułowane wydają zwłaszcza ptaki.

W ciągu moich wędrówek nie spotkałem ani jednego ptaka niemego lub nierozporządzającego większą ilością dźwięków.

Upierzony mieszkaniec drzew, zwłaszcza gęstych lasów, posiada rozleglejszą skalę tonów niż

mieszkaniec stepów i wszelkiego rodzaju przestrzeni otwartych.

Pochodzi to stąd, jak przypuszczam, że w gęstych zaroślach konieczne jest z różnych względów porozumiewanie się ściślejsze. Przedewszystkiem w lesie czy w zagajniku grozi ptakowi dużo więcej niebezpieczeństw niż na wolnej, otwartej przestrzeni.

Wszystkie stworzenia, nie wyłączając pełzających gadów, umieją w razie niebezpieczeństwa dawać sygnały ostrzegawcze. Inne zwierzęta tego samego gatunku rozumieją te sygnały i stosują się do nich, mając się na baczności. Jednakże ptaki ostrzegają nietylko ród ptasi. Wielu mieszkańców lasu, stepu i wody rozumie alarmujące nawoływanie ptaków i słysząc je, natychmiast szuka kryjówek, zmyka przed niebezpieczeństwem.

Takie generalne czaty sprawują przede wszystkim sójka i wrona.

Sójka przebywa po wiele godzin w wysokich koronach drzew na skraju lasu. Ze swego obserwatorjum widzi całą okolicę. Gdy ujrzy woddali człowieka, wówczas rozlega się niepozbowiony pewnej melodyjności krzyk, który ostrzega wszystkich prześladowanych przez ludzi mieszkańców lasu. Nietylko ptaki, ale i wiele zwie-

rząt ssących rozumie ten sygnał i kryje się głębiej w las.

Czapla, znany i prześladowany szkodnik jezior i stawów, szerzący nieobliczalne wprost спустoszenie wśród ryb, na krzyk sójki opuszcza natychmiast wodę i szuka schronu wśród leśnych konarów, skąd pilnie lustruje okolicę.

Zbliżającemu się strzelcowi trudno jest ukryć się przed okiem czapli, która go dostrzega z odległości większej niż odległość strzału i szybko znika w niedostępnej dali.

Wszystkie zwierzęta dzikie i drapieżne znają wołanie sójki i gdy ono tylko zabrzmie, szukają bezpiecznych kryjówek.

Niektóre ptaki wodne i mieszkańcy sitowia znają i cenią tego żandarma leśnego, jak żartobliwie sójkę nazywają myśliwi.

Gdy rozlegnie się krzyk sójki, sygnalizujący zbliżanie się człowieka, natychmiast cichnie kwakanie kaczek i nawet brzęczenie chrząszcza.

Nie więc dziwnego, że nemrodzi zawzięli się na sójkę i strzelają do niej, gdy się tylko trafi okazja. Niełatwo jednak ustrzelić tego mądrego ptaka, który nieraz tak długo za nos wodzi myśliwego, aż ten machnie ręką i zrezygnuje ze zdobyczy.

Uważam strzelanie do sójki za wielki grzech.

Dzięki swej czujności chroni ona zwierzynę, jest więc bardzo pożytecznem stworzeniem.

Fakt, że dzikie gołębie nie zostały doszczętnie wyteńpione, zawdzięczamy tylko sójkom. Piękne te ptaki omijają starannie lasy, w których niema sójek, gdyż bez nich stają się łatwo ofiarami myśliwych.

Opowiadano mi również, że węże, a zwłaszcza zmije, szukają na odgłos sójki gęstego zadrzewienia lub innej kryjówki. Niestety, nigdy sam się o tem nie przekonałem i niebardzo temu opowiadaniu wierzę.

I w innych częściach świata ptaki grają częściej rolę strażników, lecz czynią to przeważnie dlatego, że ostrzegane przez nie zwierzęta są ich chlebodawcami. Nie jest to więc altruizm, lecz kwestja życia, podczas gdy sójka nic nie osiąga przez swą działalność, raczej naraża się na prześladowanie. Bawołu, nosorożca, hipopotama i wielką stepową antylopę ostrzega przed niebezpieczeństwem duża i mała czapla złotawa. Charakterystyczny krzyk tego ptaka rozbrzmiewa nietylko na widok człowieka, ale również przy zbliżaniu się wielkich drapieżców: lwa lub lamparta. Ostrzegani rozumieją go i mają się na baczności.

Czaple unoszą się często z grzbietu swych ży-

wicieli i za każdym razem wydają dźwięk, jednakże zupełnie inaczej brzmi ich krzyk w chwili zagrażającego niebezpieczeństwa.

Zwierzęta, na których żerują złote czaple, pozostają przy zwykłym krzyku niewzruszone, natomiast kryją się momentalnie, gdy zabrzmie ostry i twardy sygnał przestrogi.

Mowa jest tu więc stopniowana, tonowana i ostrzegani wiedzą dokładnie, jak się przy rozmaitych odgłosach zachować.

Interesujący jest też żerujący na krokodylach, śliczny, zwinnie ptaszek, zwany siewką.

Brzydkie te gady tolerują go nietylko na grzbiecie, ale i w olbrzymiej paszczy, w której ptaszyna tępi złośliwe pijawki i różne pasorzyty, wchodząc w rolę dentysty i lekarza.

Komiczny to i pozornie groźny widok, gdy mały ten ptaszek ostrym swym dzióbkiem grzebie w zębach aligatora, czyszcząc je z resztek jedzenia. Zawsze się bałem, że krokodyl zamknie znieścacka paszczę i zmiażdży ptaka, ale chociaż często obserwowałem takie sceny, nie zauważyłem nigdy, aby ptakowi stało się coś złego.

Gdy kończył zajęcie dentysty, wyfruwał z paszczy i kontynuował swe czynności na głowie chlebowca. W czasie pracy w paszczy ptaszek

zbliżał się często aż do skraju dolnej szczęki krokodyla i wyglądał stamtąd na świat. I wówczas nie zapominał o swej roli strażnika.

Kiedyś, w takiej właśnie chwili, wyszedłem znienacka z ukrycia. Ptak dostrzegł mnie natychmiast, wyfrunął z głośnym krzykiem, a krokodyl zniknął pod wodą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności nie spotkałem tego ptaszka-dobrodzieja ani wśród indyjskich gawjali, ani wśród amerykańskich aligatorów.

Różne ptaki widywałem na grzbietach indyjskich gawjali i małe białe czaple na aligatorze, lecz nigdy nie zauważyłem, aby ptaki te zajmowały się stróżowaniem lub wchodziły zwierzętom do paszczy. Być może, że indyjskie i amerykańskie krokodyle posiadały zdrowsze, niewymagające pomocy dentysty uzębienie, a może były bezwzględniejsze od swych afrykańskich braci i po skończonej robocie połykały dentystę.

Wszędzie, w lesie i w polu, porozumiewają się zwierzęta i każdy bywalec kniei zna ich mowę. Strzeże go ona nie tylko przed niebezpieczeństwem, ale różnorodnością dźwięków zwraca uwagę na groźbę nagłego pogorszenia się pogody i różne zjawiska w przyrodzie. Bojaźliwe ćwierkanie ptaków leśnych zawsze przepowiada bu-

rzę. Mieszkańcy jaskiń przy tych dźwiękach wracają natychmiast do swych legowisk.

Myśliwi chcieli mnie przekonać, że zwierzęta ssące wogóle obdarzone są instynktem, który je ostrzega przed nadchodzącą burzą lub kataklizmem w przyrodzie. Spotyka się to jednak tylko niekiedy i u nielicznych zwierząt, które nie znają zawodu strażników.

Obserwowałem zwierzęta leśne w polu, poza osłoną, którą dają im drzewa, i skonstatowałem, że nie odczuwały one wcale nadciągającej burzy i dopiero deszcz ulewny z piorunami skłaniał je do szukania bezpiecznej kryjówki. Natomiast zwierzęta znajdujące się w lesie lub w zaroślach chroniły się natychmiast na odgłos lekliwego ptasiego świegotania.

Przytoczone przykłady dają tylko bardzo skromne pojęcie o mowie zwierząt.

O wiele silniejsze i pełne wyrazu odgłosy dają się słyszeć w lesie. W okresie łączenia się w pary wzajemne nawoływanie się wszelakiej zwierzyny napełnia powietrze.

Ale i to nie stanowi jeszcze pełnego skarbcza wymowy zwierząt. Zarówno ptaki, jak zwierzęta czworonożne i gady, porozumiewają się między sobą i wskazują drogę głodnym ze swego gatunku do miejsca, gdzie znalazły żywność. I to zre-

szta nie jest jeszcze dowodem bogactwa języka, lecz tylko środkiem prowadzącym do utrzymania gatunku. Bogaty jest słownik ptaków wogóle, a zwłaszcza ptaków śpiewających. Nie trzeba podróżować do egzotycznych krajów, aby poznać sposób porozumiewania się ptaków. W ojczyźnie, nawet w wielkim mieście, mamy codziennie sposobność obserwowania skrzydlatych krzykaczy i śpiewaków.

Wróble obierają sobie ulubione drzewo, często w najruchliwszej dzielnicy miasta, na którym co wieczór przed zapadnięciem zmroku zbierają się, dzieląc się doświadczeniem i przeżyciami dnia. Wszystkie mówią jednocześnie, co najbardziej upodabnia je do ludzi. Często jak na rozkaz ustaje nagle wrzawa i wówczas jeden sędziwy wróbel zabiera głos. Krótko trwa jego przemowa, poczem znów rozlega się ogólne ćwierkanie, rozprawy stają się coraz gorętsze, aż znowu zabrzmi głos solowego mówcy. Po jego przemowie wszystkie wracają do gniazd.

Zgromadzenie takie trwa zazwyczaj około godziny. Gadają aż do utraty tchu, poczem udają się na spoczynek.

Szpaki i wrony również w godzinach wieczornych odprawiają podobne wiece.

W kniei i dżunglach najgadatliwsze są także

ptaki. Najwięcej hałasują papugi z gatunku ara oraz kakadu. Barwnie upierzone te ptaki swoją gadatliwością i pстрыm ubiorem przypominają wystrojone kumoszki.

W kniei dzieje się mnóstwo rzeczy, które obserwują mądre ptaki, czerpiąc stąd temat do swoich głośnych debat.

Zastanawia fakt, że np. szare i zielone papugi, które w swych złożonych klatkach tak łatwo przyswajają sobie słowa i zdania, bardzo rzadko imitują odgłosy kniei, nieustannie wpadające im w uszy. Należałoby przypuszczać, że i tutaj ujawni się pęd do naśladownictwa.

W Kolumbii, niedaleko Bogoty, papugi zwozdiły mnie niejednokrotnie. Naśladowały one beczenie kóz i nie chciało się wierzyć, że te mało melodyjne dźwięki rozlegają się z konarów drzew. Jak okiem sięgnąć, nie widać było kóz. Znajdowałem się zresztą w odległości przeszło 50 kilometrów od ludzkich osiedli, dzikich zaś kóz nie było w tych okolicach zupełnie.

Trudno było mi uwierzyć, aby kozy miały się wdrapywać na drzewa i chować w gęstwinie liści. Nieprawdopodobnem też było przypuszczenie, aby puma porwaną kozę zaciągnęła na drzewo, gdyż drapieżne te stworzenia odrazu zabijają swe ofiary. Po długich poszukiwaniach do-



Lori.



Makake z Sumatry. pl

piero odkryłem, że zwodzi mnie papuga. W Indiach niejednokrotnie słyszałem, jak papugi naśladowały głosy różnych zwierząt, najczęściej zaś małp, które dosłownie „małpowwały”. Że małpy posiadają własny i to dość bogaty język, o tem wszysecy wiedzą. Łagodnie brzmi pomruk małpiej matki, gdy przemawia do swego dziecka, jest zaś skrzeczący i gniewny, gdy je karze za niesforność. Wielu uczonych studjowało przez dziesiątki lat i publikowało swe prace na temat mowy małp, jednakże, mimo najdokładniejszej obserwacji i nagrywania płyt, nie dało się dotąd ustalić małpiego alfabetu. Może to i lepiej dla ludzkości. Może małpy powiedziałyby nam rzeczy, których przyjemniej nie słyszeć.

Bogata modulacją odznacza się zwłaszcza mowa pawjanów, babuinów i chińskich makaków. Gatunki te posiadają o wiele większe bogactwo dźwięków niż małpy człekokształtne. Interesujące są zgromadzenia małych małpek w kniei indyjskiej. Nierzadko zebrania te są posiedzeniami sądu w sprawie złoczyńcy z małpiego rodu. W trybunale takim dzieje się podobnie, jak w radzie miejskiej lub na sejmiku: jeden przez drugiego krzyczy i nie można stąd nic wyrozumieć. Kilku starszych panów przewodniczy zirytowanym gardłowym głosem. Rozlegają się dźwięki

zupełnie niskie i bardzo wysokie ze wszystkich stron, każdy chce wtrącić swoje trzy grosze. Gdy któraś z postronnych małą zbyt natarczywie się wtrąca i nie umknie wporę, może się zdarzyć, że któryś z sędziów lub słuchaczy skoczy ku niej, bijąc ją i gryząc dotkliwie. Najpotulniejszy jest delinkwent, który tylko od czasu do czasu zcicha postępuje. Sędziowie nie dają oskarżonemu prawa obrony. W milczeniu musi wszystkiego wysłuchać, gdyż wie, że sędziowie i cały lud małą są bez litości i nie wybaczyliby mu nawet, gdyby święcie przyrzekł poprawę. Pokornie więc czeka wyroku, który będzie niechybnie wyrokiem śmierci, i tylko wypatruje sposobności do ucieczki. Gdy oskarżonemu uda się wymknąć, całe zgromadzenie podnosi niebyswały harmider. „Trzymajcie złodzieja” — rozlega się ze wszystkich stron wołanie i rozpoczyna się gonitwa. Rzadko udaje się biednemu skazańcowi uniknąć przeznaczenia; prześladowcy są zbyt liczni i zbyt zawzięci. Częstość obserwowałem z ukrycia podobne sceny i nieraz strzał na postrach w odpowiedniej chwili ratował życie skazańcowi.

Rozmaite dźwięki wydawane przez małą w chwilach podniecenia łudzaco przypominają odgłosy ludzkie w podobnych sytuacjach. Twarde

i ochryple są głosy małp w chwilach złości, łagodne i prawie melodyjne, gdy mają wyrazić uczucie miłości. Wyjątkowo milczące są orangutany.

Skwaszone, jak wszyscy hipochondrycy, mruczą od czasu do czasu coś niewyraźnie pod nosem i wyją jak cholerycy, gdy coś je rozzłości. Nawet w okresie szukania pary orangutan jest mało rozmowny; wydaje tylko dźwięki mrukliwe i niesympatyczne.

Bardziej wymowne już są osobniki płci „pięknej”. Często orangutanice porozumiewają się z dziećmi, upominając je i karząc. Małe odzywają się rzadko.

Zupełnie inaczej rzecz ma się u gibbonów i u szympansów. Osobniki tych gatunków są wielomówne i stale mają sobie coś do powiedzenia.

Parki siadają często naprzeciw siebie, prowadząc ożywione dyskusje. Wsłuchując się w ich głosy, obserwujemy znaczne bogactwo tonów.

Niekłamaną radość poznać można po wysuniętych wargach i stale tych samych dźwiękach. I w złości pysk się wydłuża, jednakże inny zupełnie jest układ warg, a tony z ponurego pomruku przechodzą w ostry skowyt.

Mówię tu stale o zwierzętach, które obserwowałem, niedostrzeżony przez nie, na wolności.

W niewoli małpy, zwłaszcza człekokształtne, zmieniają sposób zachowania się i mowę. Jako świetni obserwatorzy przystosowują się szybko do wymagań człowieka.

Zwierzęta ssące także mogą się poszczycić darem wymowy. Mowa tygrysa jest władczą i rozkazująca, to też gdy głos jego zagrzmi, milknie cała dżungla. Mowa zwierząt ssących, ograniczona do kilku zaledwie dźwięków, bogatsza i wyrazistsza jest w młodości.

Walka, zabawa, miłość i głód mają specjalne określenia, zrozumiałe dla wszystkich okazów tego samego gatunku.

Słoń, który z zamierzchłych czasów zachował trąbę, wyrzuca przez nią nosowe tony, posiadające tylko kilka odcieni. Ogłasza niemi niebezpieczeństwo pożaru stepu, który węszy już na bardzo znaczną odległość, wyzywa do boju przeciwnika, a w chwilach szczególnego zadowolenia wydaje okrzyki radości.

Parskanie u słonia jest wyrazem gniewu w czasie ataku.

Jak widzimy zatem, każde zwierzę ma swój własny język, a mimo to wszystkie rozumieją się doskonale, tylko człowiek zrozumieć ich nie zdoła.

III

Czy dzikie zwierzęta są niebezpieczne?

Nie o zwierzętach w klatkach chcę mówić, ale o dzikich zwierzętach, żyjących swobodnie na wolności, które człowieka — „dwunożne zwierzę” — znają tylko z odległości i niezawsze wiedzą o jego morderczych kijach ziejących ogniem. Wielu lat obserwacji wymaga poznanie zwierzęcia w głuchej kniei. Trzeba też specjalnego zamiłowania, aby nie poprzestając na zoologicznej klasyfikacji poszczególnego gatunku, studjować gruntownie i wczuwać się w „duszę” zwierzęcia.

Zdobycie dokładnej znajomości „duszy” zwierzęcia jest bardzo trudne, prawie niemożliwe, ale nawet powierzchowna znajomość ma już duże znaczenie.

Wśród zwierząt, jak i wśród ludzi, trudno jest spotkać dwa identyczne osobniki tego samego gatunku. W czasie mych długich wędrówek ani razu nie spotkałem dwóch lwów, tygrysów, lampartów lub słoni o jednakowym charakterze.

Urodzone albo wzrastające w niewoli zwierzę z dżungli, stepu lub kniei jest wskutek zamknięcia w ciasnej, ograniczonej przestrzeni o wiele skłonniejsze do groźnych ataków niż na wolności.

Wiele bajek opowiadają sobie ludzie o dzi-

kich zwierzętach, znając je przeważnie tylko z książek.

Podróżnicy i myśliwi też często grzeszą w tym względzie, gdyż pragną swym wędrownikom nadać posmak niebezpieczeństwa i okryć się glorią bohaterstwa.

Próżności, na imię ci nietylko kobieta!

Często także podróżnicy zwiedzający egzotyczne kraje opowiadają o niebezpieczeństwach zetknięcia się z drapieżcami z tych prostych względów, że gazety, czasopisma i magazyny chętniej umieszczają sensacyjne artykuły niż opisy niewinnych spotkań z lwem, tygrysem lub jaguarem.

Większość dzikich zwierząt na wolności nie jest niebezpieczna, lecz wprost rozbijająca; na widok człowieka zmyka albo wogóle jego obecności nie bierze pod uwagę. Inaczej, rzecz prosta, mają się sprawy, gdy człowiek atakuje zwierzę.

Oczywiście są i wyjątki, ale te tylko potwierdzają regułę.

Tu chciałbym dodać, że i wśród zwierząt zdarzają się choroby mózgowie, choć nie tak częste jak u ludzi. Niemałą rolę u zaskoczonego zniemacka zwierzęcia odgrywa strach. I zwierzęta muszą myśleć, zastanawiać się. Gdy nagle napotkają coś zupełnie obcego i nieoczekiwanego, skłonne

są do napaści. Spotkanie z niedrażnionem zwierzęciem w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto wypadków ma przebieg zupełnie spokojny. Któż z nas nie zna miłych współbraci, gniewnych bardzo, gdy im ktoś przerywa sen lub jedzenie? Jak brzydko zachowuje się *homo sapiens* w podobnych wypadkach. Kronika przestępstw niejednokrotnie już notowała wypadki porażeń, a nawet i śmierci osobników przerywających innym sen. Niedawno jakiś górnik zabił butelką od piwa swoją żonę zato, że ośmieliła się wyrwać go z objęć Morfeusza.

Czyż można się dziwić, że lew napastuje lub co najmniej przyjmuje obronną postawę wobec człowieka przerywającego mu ucztę? Złość wywołuje nie przerwa w jedzeniu, ale obawa utraty zdobyczy.

Niektóre dzikie zwierzęta, i to nietylko lwy, ale i słonie, hipopotamy, a zwłaszcza nosorożce, nie widząc dokładnie, wyobrażają sobie człowieka jako coś złowieszczego, zatem wyimaginowana konieczność nakazuje im atak. Pragną zmiażdżyć w obronie własnej ten nieznany im ruchliwy obiekt. W takich chwilach działają komórki mózgowe, które od tysięcy lat ostrzegają zwierzęta przed bezwzględny prześladowcą — człowiekiem.

Powodem ataku ze strony lwie, tygrysie, słonie i innych zwierząt jest często obawa przed zniszczeniem ich potomstwa, przed kradzieżą dzieci.

Odgłos ludzkich kroków już budzi czujność karmiących matek. Gdy szmer ustanie i zwierzę nie widzi ani nie węszy człowieka, uspokaja się po krótkiej chwili.

Jeszcze na jedno należy zwrócić uwagę: gdy zwierzę, co zdarza się często, czuje się osaczone, chociaż drobne tylko przeszkody zagrażają mu drogę, stanowczo należy się spodziewać napaści. Wytrawny myśliwy lub podróżnik poznaje się na tem odrazu i stosuje środki zaradcze lub usuwa się zawczasu. Zależnie od okoliczności. Rozumie się samo przez się, że zły strzelec staje się prawie zawsze ofiarą zranionego drapieżcy. Nietylko zresztą drapieżcy, bo to samo da się powiedzieć o jeleniach i sarnach. Jedynie brzydki i wyjątkowo żarłoczny wilk prawie zawsze rzuca się na człowieka, choć znane są i wypadki ucieczki wilków przed ludźmi. Zimą trudno jest wilkowi o łup i nieraz całymi dniami głoduje, gdyż wiele służących mu za pożywienie zwierząt zakopuje się na sen zimowy lub wędruje w bezśnieżne okolice.

Wilk, nawet wygłodzony, rzadko rzuca się na

dorośłego człowieka, gdy jest sam, bez towarzysza. Brak mu poprostu odwagi. Chyba, że już naprawdę kiszki grają mu marsza. Dzieci natomiast, pozostawione bez opieki, narażone są zawsze na groźne niebezpieczeństwo przy zetknięciu z wilkiem. Wilk syty, a nawet półsyty, nie ma już tej odwagi. Ogólnie znane są wypadki, kiedy występujący pojedynczo wilk umyka przed człowiekiem, który potrafi go zastraszyć. Drobne zwierzęta, stada owiec i kóz są najulubieńszym terenem rozboju wilka, który zawsze najpierw próbuje schwycić oddalające się od stada osobniki i tylko w braku takich samotników rzuca się w sam środek spłoszonej gromady.

W Karpatach pastuszkowie trzymają duże, odważne psy. Na rasę nie zwraca się uwagi; najważniejsze, aby pies był duży i silny. Ponieważ wilki żyją tam tylko w pojedynkę lub parami, więc odważają się na wypad jedynie wtedy, gdy psa niema w pobliżu. Gdy pies dostrzeże drapieżcę, śmiało rzuca się na niego.

Niezawsze wilk jest zwycięzcą.

W Karpatach wilk prawie zawsze schodzi z drogi człowiekowi; kryje się głęboko w lasach i tylko wówczas zbliża się do wsi i samotnych osiedli, gdy zmusi go do tego głód, ale i wtedy unika ludzi, chyba że go osaczają.

W takich chwilach u wielu zwierząt występuje instynkt walki. Gdy nie widzą już wyjścia, starają się w ataku zwalczyć przeszkody.

Jakże często czyta się emocjonujące opowieści różnych azjatyckich i afrykańskich podróżników o mroźnych krew w żyłach spotkaniach z lwami, słoniami, nosorożcami, bawołami, panterami, tygrysami i innymi „niebezpiecznymi” bestjami. Kto przeszło dwadzieścia lat wałęsał się po krajach podzwrotnikowych, łowiąc i obserwując zwierzęta, ten może o nich coś niecoś powiedzieć.

W wędrówce swej niejednokrotnie spotykałem się z najdzikszą zwierzyną, jednak w rzadkich tylko wypadkach byłem atakowany.

Najbogatszą literaturę z zakresu polowania i podróży w krajach tropikalnych posiada Anglja. I Niemcom nie brak książek z tej dziedziny, ale Anglicy mają ich bez porównania więcej. Rozwojowi tej literatury w Anglji sprzyja posiadanie przez nią olbrzymich, niezmiierzonych wprost kolonij.

We wszystkich myśliwskich i podróżniczych dziełach czytamy o wielkich niebezpieczeństwach, zagrażających myśliwemu i podróżnikowi ze strony zwierząt. Odnosi się wrażenie, że przy każdym zetknięciu człowieka z dzikiem

zwierzęciem jest ono stroną atakującą. Jak już wspominałem wyżej, nie jest to zgodne z prawdą. Przesada i próżność dodają skrzydeł tym fantastycznym opowieściom.

Była już mowa o tem, kiedy zwierzę bywa niebezpieczne. Chciałbym jeszcze podać kilka zgodnych z prawdą przeżyć własnych.

Po wyczerpującym całodziennym marszu w czasie tropikalnego upału rozbiłem wraz z całą karawaną namioty poza wsią murzyńską. Po posiłku i zaspokojeniu głodu więzionych w klatkach zwierząt, gdy moi murzyni dobrze już chrapali wokół ogniska, wziąłem w rękę nieodstępną swą przyjaciółkę strzelbę i wyruszyłem w drogę, aby spenetrować najbliższą okolicę.

Stara murzynka przyrzadzająca smakowitą potrawę z pluskiew drzewnych rzuciła wślad za mną niezrozumiałe słowa. Nie zwracałem na to najmniejszej uwagi, śmiałem się zresztą zawsze z przesądów europejskich myśliwych, którzy na widok starej kobiety natychmiast przerywają polowanie. Gdybym wierzył przesądom, musiałbym się wyrzec polowania, gdyż w okolicy każdej podzwrotnikowej wioski nie można zrobić kroku, aby nie spotkać co najmniej pół tuzina starych kobiet.

Przebrnąłem wyschnięte łożysko rzeki, wdra-

pałem się na stromy brzeg i znalazłem się przed okrągłą, porośłą trawą wyniosłością — było to mrowisko. Postanowiłem z niego skorzystać, aby rozejrzeć się po okolicy. Wsparłem strzelbę o pobliski krzew i czepiając się traw, wdrapałem się na kolanach na wierzchołek mrowiska.

Jakież było moje zdziwienie, gdy z drugiej strony pagórka ujrzałem wielkiego lwa, przyglądającego mi się również z największym zdumieniem. Bez broni, znalazłem się nawprost jego królewskiej mości. Rzuciłem się wtył na plecy, aby dosięgnąć broni, poczem jednym susem znalazłem się zpowrotem na górze i tu ujrzałem, że lew, widocznie niemniej przestraszony ode mnie, szybko uciekał przez wysoką trawę. Bez namysłu posłałem wślad za nim kulę, ale chybiłem.

Nazajutrz zrana nie bez zdziwienia dowiedziałem się od mieszkańców wioski, że od miesięcy grasuje w okolicy „man eating lion”,⁶ który nocami porywa z pól, a niekiedy nawet z chat mężczyzn, kobiety i dzieci. Opis złoczyńcy opowiadał całkowicie portretowi drapieżcy, którego spotkałem poprzedniego wieczora. Przypadek ten dowodzi, że okrutny i krwiożerczy lew także miewa napady lęku.

⁶ Lew-ludożerca (przyp. tłum.).

Inne spotkanie nie miało tak niewinnego zakończenia. Murzyni z plemienia Kafrów zamieszkali w pewnej wiosce, do której przybyłem z moją karawaną, prosili mnie usilnie o zabicie lwa, który już długi czas nie dawał im spokoju.

Na krótko przed nadejściem nocy uzbroiłem się w strzelbę i w towarzystwie dwóch chłopców-krajowców ruszyłem z wywiadem. Natrafiłem na ślad lwa, który dopiero poprzedniej nocy napadł młodą dziewczynę i nie rozszarpał jej tylko dzięki przyplaconej życiem odwadze dwóch foksterjerów. Ślad prowadził przez wysoką trawę i prawie wyschnięte łożysko rzeki ku koleczastym krzakom tarniny. Niesposób było prowadzić poszukiwań wśród ostrych, długich kolców.

Posuwałem się brzegiem wyschniętej rzeki w nadziei znalezienia bestji w jakimś załomie wybrzeża.

Daremny trud i nadzieja.

Zawróciłem, aby na przeciwnym brzegu spróbować szczęścia.

W międzyczasie ściemniło się zupełnie. Nie uszedłem jeszcze trzech kroków, gdy jeden z moich towarzyszków wydał przeraźliwy okrzyk i jednocześnie zauważyłem zmierzającego wprost ku mnie olbrzymiego, czarnogrzywego lwa.

Do dziś dnia jeszcze pojąć nie mogę, dlaczego

w decydującym i szybkim jak błyskawica skoku lew chybił. Może spowodował to krzyk chłopca.

Potężne zwierzę otarło się o mój prawy bok; instynktownie zwróciłem się w lewo, padając w głąb rzeczno-żyziska.

Kto opowiada lub wierzy w bajki, że lew, nie dosięgnąwszy swej ofiary w pierwszym skoku, ataku nie powtórzy, ten nie oglądał nigdy tego królewskiego zwierzęcia na wolności lub daje się ponieść fantazji.

Jakże często zdarzało mi się obserwować, jak król pustyni uganiał się za swą ofiarą, a nawet jej dosięgnął, jeśli tylko nie była zbyt chyzą antylopą.

Leżałem obok brzydtko cuchnących papyrusów i w okamgnieniu wylazłem z wody, ukrywając się za niemi.

Nie było czasu na użycie broni.

Drugi chłopiec, oszalały z przerażenia, uderzał, nie zwracając najmniejszej uwagi na niebezpieczeństwo, jakimś drągiem w wodę, obryzgując lwa obficie. Oszołomione zwierzę zatrzymało się na moment, z czego skorzystałem i strzeliłem. Czas był najwyższy, jeśli nie miałem marnie zginąć.

Takie wypadki jednakże są wyjątkami. Zdarzają się tylko tam, gdzie lew już kosztował mię-

sa ludzkiego, gdzie sprowadza sobie stale ofiary z lepianek lub pól.

Lew, który nie zna mięsa ludzkiego, napada człowieka tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Niejednokrotnie też przekonałem się, że słonie, bawoły i nosorożce również niezawsze atakują.

Karawana moja torowała sobie kiedyś drogę wśród wysokich stepowych traw. Na czele pochodu jechał konno olbrzymi, sześć stóp wysoki Massai. Nogi jego wlokły się prawie po ziemi. Czarnoskóry ten dryblas nie słuchał moich wskazówek. Przestrzeń dzieląca go od nas była zbyt duża.

Usnąłem — jak to się często w męczącej spiekocie zdarzało — na koniu, kiwając się raz po raz.

Nagle trąca mnie któryś z towarzyszących mi krajowców. Napół przytomnie otworzyłem oczy i spojrzałem w kierunku ręki czarnego.

Zimny dreszcz mnie obleciał, gdy w odległości kilku kroków za wyprzedzającym nas jeźdźcem ujrzałem olbrzymiego dzikiego bawołu. Gdybym strzelił, Massai byłby stracony, gdyż strzał dany ztyłu nigdy nie bywa śmiertelny. Murzyn spał najwidoczniej, jego koń też nie zdawał sobie sprawy z groźnego sąsiedztwa, a my

śledziliśmy w napięciu bieg wypadków. Każdej chwili spodziewałem się ataku. Ale nic się nie stało. Na przestrzeni kilkuset metrów zwierzę nam towarzyszyło, potem raptownie skrzyło w bok i poszło swoją drogą.

Podobną przygodę przeżyłem w Kongo. Prowadziłem karawanę. Okolica uchodziła za niezamieszkaną przez słonie.

Poprzedniego dnia jeszcze spotkałem angielskiego łowcę słoni, Forbes'a, który opowiadał z irytacją o swym trzytygodniowym, bezowocnym pościgu za słoniem. Samotne to zwierzę zniknęło mu wreszcie z oczu u brzegów jakiegoś jeziora, które przypuszczalnie przebyło wpływ. Znałem już z doświadczenia samotne słonie i nigdy nie wchodziłem im w drogę. Są one stale podrażnione i rzucają się na ludzi i zwierzęta. To samo dotyczy innych samotnych dzikich zwierząt: dzika indyjskiego, bawołu i niedźwiedzia.

Wielu myśliwych tropiących samotne zwierzę, wielu bezbronych krajowców i nieświadomych rzeczy podróżników padło pod razami ciężkich nóg samotnych słoni, kłów odyńca, śmiertelnych uścisków niedźwiedzia-samotnika.

Bezgraniczna jest żądza krwi samotnych zwierząt. Jednakże, jak już zaznaczyłem, stałe podenerwowanie kieruje ich czynami.

Ale bez dygresyj. Wracam do mej przygody.

Zajęty byłem wyciąganiem długiego, dwucentymetrowego kolca z ramienia, koń mój włókł się z łbem spuszczoneym, gdy wtem nagłym ruchem wyprostował się i przystanął.

Już chciałem się rozgniewać na poczciwego bieguna, gdy podniósłszy oczy, ujrzałem dwoje wielkich słońiowych uszu. Przede mną stał piękny okaz olbrzymiego słońia. Przyglądał mi się drwiąco, trzęsąc odstającymi od potwornego cięlska uszami.

Musiał to być ten samotnik, którego nadaremnie poszukiwał Forbes. Zwabił go tupot kopyt. Wzrok słońia nie wróżył nic dobrego, a odległość pomiędzy nami wynosiła najwyżej dziesięć do dwunastu metrów.

Biedny mój koń drżał i nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Jakgdyby wrósł w ziemię. Przerazonemi oczyma przyglądał się olbrzymowi.

Wszystko to trwało krócej niż czas potrzebny na moje opowiadanie. Mój duch opiekuńczy, który już nieraz w ciężkich chwilach okazywał mi pomoc, zatrzymał mego konia w cieniu potężnego drzewa. Przez mgnienie oka tylko przyglądałem się kolosowi, którego długie kły budziły we mnie szacunek nielada, poczem z małpią zwinnością uchwyciłem zwisającą ponad głową

gałąź i uniosłem się w górę, modląc się w duszy na intencję biednego, zostawionego swemu losowi konia.

Lecz cóż się stało?

Samotnik osądził widocznie, że napędził nam już dosyć strachu. Obejrzał się, odwrócił i rzucawszy tchórzowi na drzewie pogardliwe spojrzenie, znikł w gęstwinie, łamiąc na swej drodze gałęzie i krzaki.

Również tygrys, o ile nie miał jeszcze okazji stać się ludożercą, zmyka często na widok człowieka.

Natomiast tygrys-ludożerca jest częstokroć nie tylko postrachem, ale i pogromcą całych wiosek.

Bardzo często spotykałem się z władcą dzungli, ale raz jeden tylko pan w prążkowanym garniturze miał ochotę rzucić się na mnie. Uprzedziłem go jednak.

Groźne jest również, jak już wspominałem, spotkanie z samotnym bawołem, indyjskim dzikiem, zwanym w języku myśliwskim odyńcem, oraz indyjskim niedźwiedziem. Przy spotkaniu trzeba się mieć na baczności, bo w 99 wypadkach na sto atakują.

Nie miałem nigdy ambicji, aby być jednym z owych dziewięćdziesięciu dziewięciu; jeśli sta-

wałem się nim mimowoli, a użycie broni zawodziło, wówczas brałem nogi za pas i uciekałem, co prawie zawsze, z nielicznymi wyjątkami, dawało pomyślne rezultaty.

Kilka pamiątek w rodzaju mniejszych lub większych blizn i złamań kości świadczy o mniej przyjemnych spotkaniach.

Groźną bestją jest wiecznie pomrukujący niedźwiedz-wargowiec, ale i tu przesadzają myśliwi i podróżnicy, twierdząc, że ten drab w każdym wypadku atakuje. Spotykałem się z nim kilkakrotnie, ale nigdy nie rzucał się na mnie, przeciwnie, zawsze jak histeryczna stara panna uciekał z jękliwym pomrukiem w zarośla.

Niebezpieczne są jadowite węże. Niebezpieczne też bywają czasem zupełnie niewinne zwierzęta, jeśli niespodzianie zagrozić im drogę, przestraszyć lub niezręcznie wziąć się do rzeczy. Najgroźniejszym jednak wrogiem są bezsprzecznie moskity. Te drobne komary są roznosicielami zarazków najprzeróżniejszych chorób, które przez bolesne ukłucie wprowadzają do krwi swoich ofiar.

Może myśliwy posiadać najwspanialszą kolekcję strzelb i innych morderczych narzędzi — nie obroni się nimi od moskitów.

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze zauwa-

żyć, że wędrówka po zamieszkanym przez t. zw. dzikie bestje okolicach jest bezpieczniejsza niż przejście przez plac Poczdamski w Berlinie, Piccadilly Circus w Londynie lub wielkie bulwary w Paryżu.

IV

Polowanie i łowy na tygrysa

Knieja i dzungla mają dla zwiedzającego je po raz pierwszy podróżnika niewypowiedziany urok i czar. Pociąga go przede wszystkim wielobarwność i wielokształtność świata roślinnego. Tajemniczość dzungli podbija serce każdego wędrowca.

Kto raz poznał okolice podzwrotnikowe, nie wyzbędzie się już tęsknoty do pól o najbogatszej w świecie roślinności, do suchej, kryjącej w swym łonie śmierć pustyni, do stepu, do kniei. Zapomina się o niebezpieczeństwach, chorobach, niewygodach i brakach. Chociaż dziwnem wyda się takie twierdzenie, nigdy w dalekich krajach tęsknota do wielkiego miasta, ojezyny, kultury i komfortu nie jest tak silna, jak w cywilizowanym świecie do dzikiej pierwotnej przyrody. Swobodne, nieskrępowane życie panów stworzenia jest rozkoszą bogów.

O sobie mogę tyle tylko powiedzieć, że marzyłem o Europie jedynie w przykrych chwilach podzwrotnikowych chorób. Gdy tylko organizm wracał do normy, natychmiast zaczynała mnie nęcić pokusa nowych przygód; zapominałem momentalnie o przykrych chwilach. Gdy termometr, co zdarzało się często, wskazywał ponad 40° ciepłoty, przeklinało się dzień rozpoczęcia dalekiej wędrówki; gdy słupek rtęci spadał choćby do 39°, było już o wiele lepiej, gdy zaś opuścił się do 38°, czułem się szczęśliwy jak dziecko.

Dla natur mniej odpornych przebywanie w strefach złośliwej febry nie jest miłe ani bezpieczne. Wielu grozi przedwczesną śmiercią. Czyja krew nie jest czysta, budowa żelazna i serce niewzruszone, ten niechaj się trzyma zdala od zwrotnika. Największa nawet energja nie jest w stanie zmóc wpływów klimatu. W wielu miejscowościach nadbrzeżnych powietrze jest zdrowsze, ale niezupełnie bezpieczne.

Nigdy, ani na chwilę, nie opuszcza mnie tęsknota za pięknem egzotycznych krajów. Tam czuję się bliski natury i zapominam o ludzkiej niedoli.

Gdy nieznanne było jeszcze auto i tylko niewielu myśliwych odwiedzało Indje, na dzikie

zaś i mniej groźne zwierzęta polowali jedynie oficerowie miejscowych garnizonów i nieliczni sportsmani, dżungla i knieja były najidealniejszym terenem polowu zwierząt.

Myśliwy z pogardą spogląda na łowcę. Łowienia zwierząt nie zalicza się do sportów, lecz uważa się je za zawód. Nie odczuwałem nigdy potrzeby zadowolenia śmiesznej dumy pogromcy przez fotografowanie się ku wiecznej rzeczy pamięci z nogą na zabitym lwie, tygrysie lub słońiu i z ręką dzierżącą w triumfie strzelbę. Miałem raczej współczucie dla tych dzielnych nemrodów, którzy nie widzą nawet, jak pełne komizmu są ich pozy. We mnie budzą oni tylko odrazę.

Jedynie wtedy zabijałem zwierzęta, gdy potrzebowałem mięsa dla wyżywienia tragarzy i schwytych przeze mnie drapieżców. Sam akt mordu powierzałem najchętniej moim ludziom. Rozumiem konieczność niszczenia pewnych gatunków drapieżnych zwierząt, ale nie rozumiem dzikiej uciechy bezmyślnego do nich strzelania, a już kategorycznie potępiam polowanie na gatunki wymierające. Najwyższy już czas roztoczyć opiekę nad wymierającymi odmianami drapieżców.

Niechęć myśliwych do łowców zwierząt jest zupełnie zrozumiała. Każde bowiem schwyte

zwierzę jest dla nich stracone; woleliby je poczęstować porcją prochu i ołowiu.

Nie można jednak zaprzeczyć, że i polowanie w pewnych warunkach ma swoje uzasadnienie.

O trudnościach, jakie przewycięzać musi łowca, nie ma pojęcia myśliwy uganiający się za tą samą zwierzyną; otacza się on nimbem bohatera, który w pogoni za drapieżcami naraża swe życie i dokonywa niebywałych czynów.

Niewątpliwie, polowanie w kniei może być niebezpieczne, zwłaszcza dla początkujących, pełnych temperamentu i brawury myśliwych, lecz starym, doświadczonym „wyjadaczom” rzadko kiedy inna bestja poza „malarją” zagraża. Niezawsze myśliwi są dobrymi strzelcami i to właśnie bywa dla nich zgubne.

Istnieją i gorsze choroby od malarji: cholera, tyfus, dżuma i czarna febra. Malarja ze wszystkich chorób podzwrotnikowych jest najdokuczliwsza. *Malaria tropica*, stały przedmiot badań i sporów lekarzy europejskich. Jak wiadomo, malarję roznoszą moskity, przed którymi najgęstsze nawet siatki nie zdołają zabezpieczyć. Dokuczliwe te owady znajdują najmniejsze i najbardziej ukryte otwory i wskazują innym drogę, którą mogą dotrzeć do ofiary. Największe

orgje odbywają się w czasie wieczornego lub nocnego przebywania na powietrzu.

Łatwo jest zapaść na malarję, ale trudno jej się pozbyć.

Męczyła mnie jeszcze w czasie wojny światowej uporczywa ta choroba i nasi żądni wiedzy lekarze niejednokrotnie prosili mnie o kropelkę krwi do badań i prób.

Lepsza już jest cholera, o ile ją się przetrzyma. Cierpiałem na nią raz jeden. Na szczęście przebywałem wówczas blisko Lahore i tamtejsi lekarze wyrwali mnie z objęć śmierci.

Okropna jest dżuma płuc; los szczęśliwie ustrzegł mnie przed nią, chociaż kilkakrotnie kierował moje kroki w zarażone okolice.

Zapadłem natomiast na niemniej straszną czarną febrę i chociaż przebieg choroby był lekki, miałem jej raz na zawsze dosyć.

Spustoszenie szerzy żółta febra, czego dowodem cmentarze w strefie kanału Panamskiego. Za czasów Ferdynanda Lessepsa, który przystąpił pierwszy do budowy kanału, nie przedsięwzięto żadnych środków ochronnych przeciw tej okrutnej chorobie. To też tysiące sprowadzonych do robót murzynów i chińskich kulisów padały jak muchy.

Czterdzieści tysięcy Chińczyków leży na Mata-Chin, niedaleko Gatun. Połowa z nich — to ofiary żółtej febry, reszta — to samobójcy, ofiary zwątpienia i rozpacz.

Dopiero gdy Amerykanie przystąpili do budowy, wypowiedzieli wojnę moskitom i dzięki energicznej swej akcji uzdrowili okolicę.

Dzisiaj w strefie kanału Panamskiego niema już śladu żółtej febry.

Tyfus i biegunka też dają się we znaki podbiegunowym podróżnym, ale tych epidemij nie brak, niestety, i w krajach kulturalnych. Wracajmy jednak do myśliwego i łowcy.

Nie chcę odzierać myśliwych z glorii bohaterstwa, pozostawiam im wszystkie wawrzyny, pozwolę sobie jednak zawód łowienia zwierząt, zawód wymagający o wiele więcej odwagi, wytrzymałości i orjentacji niż myślistwo, wnieść na piedestał sportu. Pogardę, jaką w skrytości ducha darzyli mnie myśliwi, zbywałem lekceważeniem; muszę jednakże przyznać, że gdy udało mi się czasem pozyskać któregoś z tych panów do towarzystwa, nabyte doświadczenie zmieniało jego pogląd na łowy i łowcę.

Najłatwiej udawało się to przy chwytności wielkich drapieżnych kotów i całych stad słoń. Łowienie żywych słoń jest jednym z najniebez-

piecniejszych zajęć, pociągających za sobą częste ofiary w ludziach.

W Indjach polowanie na tygrysy i drapieżne koty odbywa się starą metodą, zmienioną od lat kilkunastu tylko o tyle, że myśliwi poza bronią palną używają elektrycznych, zasilanych baterjami reflektorów, któremi oślepiają swe ofiary.

Polowanie takie na tygrysa lub słonia nie jest polowaniem w ścisłym tego słowa znaczeniu i — wybaczenie mi, panowie myśliwi — nie zaliczyłbym go do rzędu sportów.

Przy tym systemie niebezpieczeństwo zagraża co najwyżej niezgrabnemu nowicjuszowi, który chwyta broń za lufę i sprawdza, czy tkwi w niej jeszcze kula. O wiele bardziej od myśliwych narażeni są poganiacze i przewodnicy, siedzący na grzbiecie gruboskórych olbrzymów.

Polowanie na tygrysa przy pomocy słoni odbywa się przeważnie na cześć dostojnego gościa. Jako łowca i przyjaciel zwierząt, nie mogę spokojnie o tym „sporcie” mówić, dlatego nie będę go opisywał.

Myśliwy, który racjonalnie poluje na tygrysy, ma stale ze sobą ludzi wyszukujących tropy i wskazujących okolicę, w której polowanie ma widoki powodzenia.

W wielu okolicach Indyj, np. w Indiach Centralnych lub w Bhopalu, przed trzydziestu jeszcze laty tygrys był plagą ludności. W głębi dżungli spotykało się wówczas często krwawe resztki ofiar tygrysa. Zazwyczaj prowadzi do nich przykra woń.

Gdy myśliwy otrzymał upragniony meldunek, budowano czatownię. Na odpowiednio wybranem drzewie, na wysokości czterech do sześciu metrów, tubylecy wznosili dla myśliwego rodzaj łoża. Z ukrytej w koronie liści czatowni można swobodnie obserwować miejsce z porzuconą padliną. Tygrys wraca doń prawie zawsze. Pamięta dokładnie, gdzie czeka nań zastawiona uczta.

Zanim zmrok zapadnie, myśliwy sadowi się w czatowni i czeka na przybycie tygrysa. Przybycie jego zwiastuje przeważnie już zdaleka przeraźliwy, zapierający dech w piersiach, ryk. Ryk ten jest dla ucha ludzkiego zawsze jednako przykry i przyzwyczaić się doń niepodobna.

Znam starych, wytrawnych myśliwych, którzy wyznają, że groźny ryk tygrysa za każdym razem przejmuje ich dreszczem.

Ja również nie mogłem się wyzbyć uczucia przerażenia, ilekroć dochodził mnie głos tej po-

tężnej prążkowanej bestji. Rzecz szczególna i zgodzi się z tem każdy, kto słyszał tygrysa w dżungli, że królewskie to zwierzę w niewoli nigdy już nie wydaje tych budzących lęk i zgrozę ryków. Jakgdyby wiedziało, że za żelazną kratą wołanie jego nie wzbudzi już postrachu. Mizerne, biorąc pod uwagę potężne jego płuca, są objawy złości tygrysa za żelazną kratą.

Siedzący w czatowni myśliwy z anielską cierpliwością musi znosić ukłucia drobnych moskitów.

Chociaż przed chwilą wrzało jeszcze życie, kłóciły się ze sobą małpy, szczebiotały ptaki, po ryku tygrysa zapada śmiertelna cisza.

Znów go słysząc. Jeszcze daleko jest od swego łupu. Myśliwy zamienił się w słuch i wzrok. Wyteżył wszystkie zmysły. Nie spuszcza oka z padliny, aby nie przeoczyć chwili, w której zbliży się król dżungli dla spożycia w spokoju swej wieczerzy. Tygrys wie doskonale, że jego ryk rozpędził wszystkich nieproszonych gości. Dziwne, iż mimo to stąpa bezszelestnie. Czasem upływa pięć i więcej minut od ostatniego ryku, a zwierzęcia jeszcze nie widać w pobliżu ofiary. Bacność, z oddali dochodzi jeszcze szelest łamanych gałęzi, poczem wszystko cichnie.

Tygrys posiada właściwość cichego stąpania;

nawet wyteżając słuch, nie słyszy go się zupełnie.

Oficerowie kolonji, a zwłaszcza przysięgli nemrodzi, zarzucali mi, że nie zastrzeliłem według wszelkich przepisów myśliwskiego kodeksu ani jednego tygrysa.

Już pan Cutcheon, mój szef, wspominał niegdyś, że muszę koniecznie zabić tygrysa, aby dorównać myśliwym w Indjach.

Nie zależałoby mi na wzniesieniu się do wysokiego piedestału myśliwych, gdyby sprawa ta nie miała głębszego podkładu.

Chodziło o zjednanie sobie sympatji kół miarodajnych, które mogły mi szkodzić lub pomagać.

Bardzo niekorzystnie byłoby uchodzić w oczach sportsmanów za tchórza. „Zwierzęta łowić” — mówili oni — „potrafi każdy, do tego nie trzeba odwagi, ale stawić czoło żywemu, nieskrępowanemu tygrysowi to dowód nieustraszoneści”.

Nieby nie pomogły zapewnienia, że strzelałem już niejednokrotnie do napastujących mnie tygrysów i innych drapieżców.

„Jeśli chcesz być w Indjach uznany za myśliwego, musisz mieć na sumieniu swego tygrysa” — powiadają miejscowi Anglicy.

Nie ubiegałem się wcale o zaszczyt zaliczenia mnie w poczet myśliwych. Wszędzie spotykałem się z nieukrywaną pogardą i lekceważeniem. Wobec tego, aby nie wpaść w niełaskę osób, od których zależało udostępnienie mi pewnych terytorjów, postanowiłem położyć kres temu stanowi rzeczy i zabić „swego tygrysa”.

Pamiętam doskonale noc, którą spędziłem w czatowni.

Przewodnik doniósł mi, że na polanie w dżungli leży poszarpane przez tygrysa ściervo młodego bawołu. W odległości trzydziestu kilku metrów od padliny kazałem na potężnym drzewie ustawić czatownię, w której strażowałem od zmroku. Cierpliwość moja wystawiona była na ciężką próbę. Przede mną rozciągały się niskie zarośla dżungli, za mną las. Najpierw dusiłem się w oparach gorącego powietrza płynącego z lasu, później z wielką siłą odezwała się tkwiąca we mnie malarja i zatrzęsły mną nieznośne dreszcze. Moskity, z którymi walczyłem bezskutecznie, skorzystały z okazji i sprosiły na ucztę tysiące miłych sąsiadów. Wszystko wokół wrzało życiem. Wszędzie widziałem jakieś upiory. W powietrzu rozlegały się poszumy, wołania, przeróżne głosy. Olbrzymie ptaki nocne, nietoperze i motyle otoczyły mnie jak swego.

Zdrowych nerwów wymaga samotnie spędzona noc w kniei.

Od czasu do czasu spozierałem na padlinę i chwilami zdawało mi się, że nadgryzione ciało podnosi się, a nawet kieruje się ku mnie. Złudzenia optyczne. Rozgorączkowana fantazja. Co raz po dokładnem wpatrzeniu się upiór przeistaczał się w to, czem naprawdę był, w martwe ciało, które nie mogło nawet ogonem ruszyć.

Podniecenie spędzało mi sen z powiek. Czy tygrys się zjawi, czy też poświęciłem noc nadaremnie? Czułem ból we wszystkich stawach. Siedzenie bez ruchu było męką.

Wreszcie dreszcz strachu, słyhać ryk tygrysa.

Jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki wszystko w lesie zamiera. Nasłuchuję i drżę ze zdenerwowania. Daleko jeszcze jest pan i król, którego powalić ma moja kula.

Władca dżungli przemawia po raz wtóry i ponownie lęk chwyta za serce. To nie tchórzostwo, to raczej ukorzenie się przed jakąś nieznaną, szacunek nakazującą potęgą. Pewien stary angielski major, który już sporą liczbę tygrysów miał na swem sumieniu, mawiał: — „Szacunek budzą te stworzenia”. — W języku myśliwych ryk tygrysa oznacza: „Bacność! Zbliżam się.

Dalej, wszyscy na kolana!" — Ten sam sędziwy pan przyznał mi się, że na odgłos ryku tygrysa ustaje na chwilę bicie jego serca. Nie jest to lęk: tygrys przemawia do dżungli pełnej zwierząt i samotny człowiek staje bezradnie przed nieodgadnioną tajemnicą.

Wyteżam wzrok, badam okolicę.

Nie widzę nic.

Nadstawiam ucha.

Nic nie słyszę.

Lecz wtem dochodzi mnie coś, jakby chrzęst łamanych kości. Nasłuchuję uważnie. Znowu jakiś szmer, podobny do mlaskania językiem nieapetycznie jedzących ludzi. Wzrok mój pada na padlinę pode mną i — nie wierzę własnym oczom — leży tam pantera i w pogodzie ducha spożywa tygrysi łup.

W jaki sposób zwierzę uszło mej uwagi, do dziś dnia jest dla mnie zagadką. Jeszcze jeden dowód bezszelestnego zachowania się kotów.

W napięciu czekałem na dalszy rozwój wypadków. Jak też daleko zajdzie bezczelność pantery?

Że nie będzie czekała na przybycie tygrysa, wiedziałem. Nie wyszłoby jej to na zdrowie, a i dla mnie nie byłoby korzystne.

Siedziałem na najbliższym drzewie, a znaną

jest rzeczą, że pantera, gdy zagrozi jej drogę człowiek lub jej pan i władca — tygrys, chroni się właśnie na najbliższe drzewo.

Na takim drzewie siedziałem, w ciasnej kryjówce, która walkę pomiędzy mną i panterą rozstrzygnęłaby prawdopodobnie na jej korzyść.

Rozjaśniło się trochę. Księżyc wyłonił się z za chmur i rozświetlił okolicę. Widziałem jak na dłoni panterę, wyrrywającą strzępy mięsa z tułowia cielęcia.

Co miałem począć?

Zabić panterę i stracić tygrysa?

Nie. Należało czekać. Wytrwać do końca ciekawego widowiska.

Uspokoilem się nieco.

Zdaleka dochodziło szczekanie szakala. Ledwie dosłyszalne.

Moje oczy starają się przedrzeć liście i gałęzie.

Jeśli przedtem istotnie ryczał tygrys, w takim razie musiał już być blisko.

Nagle zatrzeszczało coś w zaroślach.

Pantera zerwała się na równe nogi.

Nasłuchuje.

Staram się nie odrywać od niej oczu. Chwilami tylko zerkam w gęstwinę.

Wokoło cisza.

Patrzę na poszarpaną padlinę i nie dowierzam oczom.

Pantera zniknęła.

Cichutko, bez najmniejszego szelestu.

Znowu rozglądam się wokoło.

Teraz trzeszczenie już bliższe. Wprost przede mną. Wlepiam w to miejsce osłupiałe oczy. Nie chcę stracić chwili, w której „on” wystąpi.

Nie.

Cisza.

Cóż to takiego?

Czyżby mnie dostrzegł?

Czy zauważył coś podejrzanego? Gdzież się podziewa? Znowu chrzęst jakiś drażni moje ucho. To nie łamanie gałęzi.

Nie.

To trzeszczenie kości.

Czyżby wróciła pantera? To chyba było niemożliwe. Tygrys był blisko i taka odwaga ze strony pantery sprzeciwiałaby się prawom dżungli i natury. Pytającym wzrokiem błędę po obgryzionym szkielecie. W pierwszej chwili zdało mi się, że znów widzę panterę, ale nagle przejął mnie dreszcz grozy. Przede mną w świetle księżyca leżał, opierając przednie łapy na grzbiecie młodego bawołu, olbrzymi tygrys. Zębami wierał się głęboko w swoją ofiarę.

I znów nie rozumiem, dlaczego nie widziałem i nie słyszałem zbliżającego się drapieżcy.

Nazajutrz, gdy badałem ślady, okazało się, że wyszedł z lasu nawprost mej czatowni. Powinienem był go dostrzec.

A jednak... trafiłem tu na jedną z odwiecznych tajemnic dżungli, nad którą daremnie biedzi się człowiek.

Czekałem, póki lewa łopatką potężnego pana nie nadstawi się, jako jedynie dobry i pewny cel.

Nie trwało to długo.

Ostrożnie celowałem.

Zgłodniały władca nic nie podejrzewał. Całkowicie pochłono go żarcie, delektował się każdym kęsem. Wtedy wypaliła moja strzelba. O mało nie wypadłem z czatowni.

Tygrys przewrócił się. Słyszałem trzask kości ramieniowej i wiedziałem, że kula trafiła we właściwe miejsce.

Czekałem w górze, czy bestja czasem nie poruszy się jeszcze, czy nie zechce uciekać. Wypadki tego rodzaju przeżywałem już niejednokrotnie.

Nic się jednak nie zdarzyło.

Tygrys leżał bez ruchu w miejscu, w którym upadł.

Teraz należało czekać do świtu.

Cały byłem jak zbity. Po dwóch godzinach zbudzili mnie moi ludzie. Przeżyte emocje i gorączka uśpiły mnie.

Tygrys był jednym z najwspanialszych okazów, jakie kiedykolwiek widziałem.

Wiele zaiste wrażeń i emocji daje polowanie na tygrysa. Ale, myśliwi, pozwólcie sobie powiedzieć, że łowy na tygrysa są jeszcze o wiele ciekawsze.

Najpospolitszą metodą jest kopanie dołów. Mój ś. p. mistrz, który uczył mnie wszystkich tych rzeczy, był konserwatywny, jak wszyscy Anglicy. Uprawiając przez pełnych lat dwadzieścia rzemiosło łowcy i handlarza zwierząt, wyrobił sobie niewiarogodną wprost znajomość życia i zwyczajów czworonożnych bestyj. Jego wiadomości zaćmiłyby wiedzę każdego zoologa.

Po śmierci szefa spróbowałem nowszych metod i wprowadziłem pewne ułatwienia. Każdy nowy łów uczy unikania pewnych stale powtarzających się błędów. Za każdym razem zwierzęta podsuwają do rozwiązania nowe zagadki.

W prowincji Bhopalu tygrys stał się w latach dziewięćdziesiątych istną plagą ludności.

Moja firma otrzymała zamówienie na dostawę tygrysów do kilku menażeryj i cyrków wę-

drownych w Stanach Zjednoczonych. Na zaproszenie rezydenta i radży Bhopalu udałem się na tereny tygryszych legowisk.

Nie w każdej zamieszkaney przez tygrysy okolicy wolno kopać doły. Konieczne jest każdorazowe zezwolenie władz lub prywatnych właścicieli gruntu. Jako miejsce operacyjne obrałem Szahjananpur, Sarangpur, Narsingharh i na północ od niego położony Rajgarh.

Pomiędzy Sarangpur a Narsingharh leżało w malowniczej dolinie niewielkie osiedle. Stamtąd można było niezbyt forsownym marszem w krótkim czasie dostać się na teren łowów.

Miałem ze sobą swego chłopca Sanghar Gerro i wyśmienitego starego przewodnika i tłumacza Sogul Mher. Najlepsi z pośród mieszkańców wsi zostali najęci do pomocy. Dwa dni trwały targi o wynagrodzenie, ale i to są rzeczy, niestety, nie do uniknięcia. Sogul był dzielny, znał swoich ludzi. Gdyby przyjął wszystkie ich warunki, zaraz żądałoby więcej i pertraktacje ciągnęłyby się w nieskończoność.

Zkolei należało pomyśleć o budowie klatek z mocnej trzciny bambusowej. Pierwsze klatki, do których dostają się schwytane zwierzęta, są takiej długości, aby zwierzę mogło się w nich wyciągnąć, wysokie tylko na tyle, aby mogło

w nich stanąć, natomiast do tego stopnia wąskie, że o obrocie więźnia nie może być nawet mowy. Te graniczące z torturą środki ostrożności są jednak konieczne ze względu na całość zwierząt, które w początkach niewoli są tak dzikie, że w większej klatce z wściekłości poobijałyby sobie dotkliwie boki.

Klatki z trzciny bambusowej są bardzo solidne i przewiewne. Pręty nie są zbyt skupione, lecz umieszczone w odstępach po pół cala. Gwoździ używa się mało, aby zwierząt nie okaleczyć; pręty łączy się delikatnym, a mocnym wiązadłem roślinnym. Obie podłużne ściany klatki posiadają unoszące się dogóry drzwi rozsuwane, również z bambusu.

Obmyśliłem sobie system „dołu”, ułatwiający wprowadzenie schwytanych w zasadzkę zwierząt do klatek. Cały dół wyłożyłem siecią ze wspomnianej linki roślinnej, końce zaś kazałem umocować u brzegów.

W jaki sposób łowi się tygrysa?

Tylko własną metodę pragnę tu wyłożyć, aby moi starsi koledzy po fachu nie zarzucili mi, że ich ślepo naśladowę.

Zawód łowcy zwierząt nie jest łatwy, twarde i pełne niebezpieczeństw jest jego życie. Warunkiem koniecznym jest zdrowy, silny organizm

i wytrzymałe serce. Nie wolno przejmować się chorobami ani zanadto troskać się o swoje wygodę.

Pozwolę tu sobie przytoczyć przykład:

Wkrótce po mojem przybyciu do południowo-wschodnich Indyj ukąsił mnie w nogę jadowity wąż. Szef, którego powalił ciężki atak malarji, przywołał mnie do swego hamaka. Kazał sobie podać scyzoryk, nadmanganjan potasu,⁷ butelkę z karbolem, puszkę jodoformu, bandaż i wate. Głowę musiałem odwrócić i podać mu ukąszone udo. W zębach gryzłem chusteczkę, aby nie ryknąć na cały głos. Wokół kolana zaciśnięto ramię, wstrzymując w ten sposób cyrkulację krwi. Mistrz zrobił okrągłe nacięcie wokół ukąszonego miejsca, wyrwał mi kawał ciała razem ze skórą i obmył ranę roztworem nadmanganjanu. Bolało okrutnie, płyn odkażający palił jak ogień. Później oblał mistrz ranę karbolem, zasypał ją sproszkowanym jodoformem i obandażował mocno całą łydkę od kolana aż po kostkę. Zważywszy, że podczas całej tej procedury stałem na jednej nodze, zaciskając ręce w kieszeniach spodni, przyznać trzeba, że nerwy miałem stalowe.

⁷ Pospolity środek dezynfekcyjny (przyp. tłum.).

Po „operacji” musiałem wypić cały zapas bawolego mleka — było tego coś sześć do siedmiu litrów — i spłókać je półbutelką dzinu.

Poczem szef przyzwał mnie ponownie do łoża, rozkazał otworzyć usta i zanim się zorjentowałem, wsadził mi swój brudny paluch głęboko do przetyku.

Przeliczył się nieborak w czasie. Według „jego obliczeń” torsje powinny były nastąpić dopiero w minutę po wprowadzeniu palca do ust; tymczasem mój żołądek reagował natychmiast i gwałtownemu mistrzowi bryznęła w twarz co najmniej połowa spożytego mleka i dzinu.

Po operacji, na rozkaz pana Cutcheona, dwóch murzynów ujęło mnie pod pachy, zmuszając do półtoragodzinnego biegu. Po ukąszeniu przez jadowitego węża nie wolno „zoperowanemu” zasnąć. Przy najdrobniejszej infekcji krwi sen wywołuje niechybną śmierć.

Szybkość działania jadu węża jest różna. Czasami śmierć w strasznych męczarniach następuje już po upływie pół godziny. Trucizna kobry nie jest piorunująca, zależy przytem wiele i od odporności organizmu ofiary. Zauważyłem, że słabi, wåtli ludzie często są odporniejsi od silnych chłopów. Ciekawe jest, że u kobiet reakcja na ukąszenie węża następuje później niż

u mężczyzn. Bajką jest, jakoby węże nie kąsały swoich zaklinaczy; są oni tylko zręczniejsi od innych i nie pozwalają się ukąsić. Byłem raz świadkiem, jak takiego fakira pogryzł wąż okularnik, a ponieważ poszkodowany wzdragał się przyjąć pomoc, zginął w strasznych męczarniach.

Niema ludzi całkowicie uodpornionych na jad węzów.

W wielu okolicach Indyj węże są czczone jak święte, a śmierć wywołana ich ukąszeniem uważana jest za łaskę Buddy, lub Śiwy. Tubylecy nigdy nie zabijają tych jadowitych zwierząt, a i ja musiałem nieraz rezygnować z chęci uśmiercenia napotkanego jadowitego gada. Przeważnie łowiłem je specjalnie do tego celu przeznaczonemi widełkami, przyczem wartościowsze okazy zatrzymywałem, mniej ciekawe odrzucałem daleko w zarośla.

Działanie węzowego jadu objawia się rozmaicie. Ukąszeni przez małego węża piórkowego — stworzenie to ma długości 30—35 cm i sterczące z obu stron głowy pióropusze — dostają w przeciągu pół godziny szału; zaczynają tańczyć, skaczą wkółko, wyjąc przytem przeraźliwie, aż zmęczeniu i wyczerpani wśród jęków wyzioną ducha.

W pierwszych latach moich podróży po Indjach mieliśmy jeszcze mało odtrutek. Lekarze,

aptekarze i chemicy eksperymentowali jeszcze, nieliczne rozporządzalne leki działały przeważnie obojętnie lub wprost negatywnie. Jedynym radykalnym środkiem było poprostu natychmiastowe wycięcie ukąszonego miejsca, jak to opisałem wyżej.

Nieprawdą jest również, jakoby zamieszkujące dżunglę i knieję drapieżne zwierzęta zabezpieczone były przeciw jadowi węzów. Niejednokrotnie widziałem zwierzęta ukąszone i zdychające w strasznych, podobnych do ludzkich, męczarniach.

Jedną ze schwytych przeze mnie gazeli ukąsił wąż. Dowiedziałem się o tym wypadku dopiero w godzinę po fakcie i odrazu się zorjentowałem, że niema już sposobu uratowania pięknego zwierzęcia. Gazela rzucała się po klatce jak wściekła, z pianą u pyska wykonywała niezwykle wysokie skoki i jęczała żałośnie. Strzałem przerwałem jej okropne męczarnie.

Błędne zupełnie są pojęcia o węzach-olbrzymach, których jad uchodzi za trujący, i wszystkie kursujące na ten temat opowieści należy uważać za bajki, jak również gadki o napaściach tych węzów na ludzi. Ani boa dusiciel, ani anakonda, ani żaden z innych gatunków węzów-olbrzymów nie lubi napastować i walczyć. Wszyst-

ko zależy od okoliczności. Jeśli zwierzę nie czuje się bezpieczne, jeśli mu się przeszkodzi lub je przerazi, jeśli wreszcie podejrzewa atak, wówczas, broniąc się, atakuje pierwsze.

W czasie mych długich egzotycznych podróży zdarzyło mi się kilkakrotnie, naskutek własnego lub cudzego niedbalstwa czy nieuwagi, zetknąć się bardzo blisko zarówno z olbrzymiami, jak i jadowitemi węzami. Ukąszony byłem wszystkiego trzy razy przez węże jadowite. W pierwszym wypadku, jak już wspomniałem, szef mój podjął się operacji, w dwóch następnych sam byłem operatorem. W owych czasach nie znano jeszcze miejscowego znieczulenia, proszę więc sobie wyobrazić uczucie człowieka wycinającego sobie własnoręcznie kawałek żywego ciała.

Niema jednak wyboru: albo śmierć w strasznych męczarniach, albo operacja. Najtchórzliwsi nawet ludzie decydują się momentalnie na to drugie, nikt bowiem nie chce umierać, zanim wybije jego godzina.

Tych kilka uwag czynię tylko dla ilustracji warunków egzystencji na niezagospodarowanych terenach podzwrotnikowych.

Od kilkugodzinnego snu trzeba się odzwyczaić. Odpoczywa się na raty.

Mogę stwierdzić z całą stanowczością, że

w strefie podzwrotnikowej nigdy ponad cztery, a najwyżej pięć godzin na dobę nie sypiałem. Łowca zwierząt musi pracować przy pomocy wszystkich zmysłów. Zwłaszcza wyteżać musi słuch i wzrok. Powinien studjować życie, zwyczaje i instynkty zwierząt, poznawać język dzungli, stepu i kniei, z doświadczeń wysnuwać wnioski i według nich postępować.

Kto obok wszystkich tych zjawisk przechodzi obojętnie, nigdy nie zrozumie Natury.

Po długich i wyczerpujących przygotowaniach wyruszyłem w towarzystwie trzydziestu ludzi na teren łowów. Mimo pewnej wrodzonej ociężałości wszyscy moi towarzysze byli pogodni i chętni.

Po dziewięciodniowym marszu, przerywanym tylko kilku krótkimi nocnymi wypoczynkami, rozbiliśmy namioty nad brzegiem małego, obfitującego w żółwie, jeziora. Co chwila nad powierzchnią ukazywały się łby żółwi, poczem znów znikwały w głębinach wody. Było to w swoim rodzaju ciekawe widowisko.

Następnego ranka rozpoczęły się wywiady. Noc pouczyła nas, że tygrysy są w pobliżu. Gdy tylko opuścili mnie moi ludzie, zjawił się jakiś zdenerwowany wyrostek i zaciągnawszy mnie na wzgórek, wskazywał coś ręką na horyzoncie. Po-

czątkowo oślepiło mnie jaskrawe światło dnia i nie mogłem nic dostrzec; dopiero gdy się z niem oswoiłem, zauważyłem w odległości jakichś stu metrów przed sobą wielkiego tygrysa. Zwierzę biegło wzdłuż wyschniętego łożyska rzeki, poczem zniknęło w zaroślach.

Wiele rozmaitego zwierza uwijało się wokoło, nie brakło nawet niedźwiedzia-wargowca, jednego z najchytrzejszych zwierząt Indyj. Stale trzeba się mieć przed nim na baczności.

Ludzie moi wykopali osiem dołów, wyłożyli je sieciami, a otwory pokryli zwierzechu gałęzmi i lianami.

O zmierzchu sprowadzono przynętę, tym razem w postaci żywych kóz, z których każdą przywiązano do dachu pułapki czterema sznurami; w każdym z czterech rogów umocowano po jednym sznurze. W ten sposób zmuszało się zwierzę do pozostania w samym środku dachu. Do jedzenia podrzucano mu wiązkę soczystej zieleni.

Dach był dość mocny, by utrzymać zwierzę-przynętę, zbyt słaby jednak, aby udźwignąć atakującego tygrysa.

Niejednokrotnie obstawiałem pułapkę wysokimi krzewami, budując w ten sposób rodzaj altany, w której ukrywałem beczącą kozę. Za-

uważyłem jednak, że zwierzę pozostawione na otwartej przestrzeni i bardziej widoczne łatwiej zwabiało tygrysa.

Las pełen był małąp i ptaków; mały cały boży dzień darły się wniebogłosy i złe były bardzo, gdy moi ludzie przeszkadzali im w zabawie. Czasem stawały się bezczelne i zdawało się, że przechodzą do ofensywy. Jeden strzał, dany na postrach, doprowadzał je szybko do porządku.

Malaryczną tę okolicę, której świadomie unikali myśliwi, zamieszkiwały wszelkie możliwe gatunki zwierząt. W wysokich trawach rojno było od jadowitych węzów i należało się mieć na baczności. Krajowcy posługują się specyficznym środkiem obrony. Oswajają rodzaj dzikiej świni i w okolicach zamieszkanym przez węże pędzą to zwierzę przed sobą. Świnia biegnie, wężąc ryjem po ziemi, i w pewnej chwili podrzuca łeb dogóry. Znak, że została ukąszona. Wówczas krajowiec chwytą węża, pozbawionego w danej chwili jadu, i odnosi go daleko od drogi. Świnie mało są wrażliwe na jad węzów. Po ukąszeniu nie jedzą przez parę dni, dostają wysokiej gorączki i są zupełnie apatyczne. Zdarzają się jednakże wypadki, że świnie natychmiast po ukąszeniu węża zdychają z wszelkimi objawami zatrucia.

Łowca grubego zwierza niezawsze spędza noc w pobliżu miejsca łowów. Często śpi spokojnie w namiocie i czeka, aż mu jego ludzie przyniosą wiadomość, że łup już wpadł do zasadzki.

Niejednokrotnie zdarzało mi się całą noc przesiedzieć w czatowni. Ma bowiem wielkie znaczenie obserwacja zwierzęcia, które ma być schwytane, gdyż najdrobniejszy zaobserwowany szczegół może się przydać w przyszłości. Jakże często, na skutek jakiegoś przeoczenia, zmuszony byłem opuścić plac boju, nie wiedząc nawet, co było przyczyną nieudanego połowu.

Tygrys jest sprytny i wyjątkowo czujny. Nie należy nigdy na jego drodze pozostawiać zbyt wielu śladów, aby go całkowicie nie wypłoszyć z okolicy. Nie lubi, aby mu przeszkadzano. Zjada chętnie mięso ludzkie, ale nie rzuca się na nie tak łapczywie, jak lew afrykański, który już raz zakosztował tego specjału.

W miejscu, z którego mogłem obserwować trzy zasadzki jednocześnie, kazałem zbudować wygodną czatownię i udałem się tam zaopatrzony w siatkę przeciw moskitom i w zimną herbatę. Czatownia jest bardzo ciasna i niewygodna; brak czasu i środków nie pozwala w dżungli dbać o wygodę takich pomieszczeń.

Noc spędzona na czatach nie należy bez-

względnie do najprzyjemniejszych chwil w życiu.

Żał mi było małych kóz, które beczały żałośnie, a wkońcu uspokoiły się i zasnęły. Wiedziałem, że wkrótce znów się obudzą i rozpoczną koncert na nowo. Każdy przyjaciel zwierząt uzna bezwarunkowo użycie żywej przynęty za przestępstwo. Należy tu zaraz na wstępie zaznaczyć, że jedno uderzenie tygrysią łapą kładzie kożę trupem na miejscu. Zasadzkę można budować w każdym dowolnie obranem miejscu dżungli, sprawdziwszy — rzecz prosta — uprzednio, czy grasuje w tych stronach tygrys. Na obserwację poświęcić trzeba kilka nocy, gdyż jednorazowe zjawienie się tygrysa w jakiejś okolicy nie dowodzi jeszcze, że wraca tam co dobę.

Żywa przynęta niezawsze jest najlepsza, często bowiem się zdarza, że tygrys wcale się nie zbliża do wierzgającego i wrywającego się na wolność zwierzęcia. Podejrzewa zasadzkę, mija ją i znika z okolicy. Rozumie, że jest ścigany, i ucieka, gdzie pieprz rośnie. Najważniejsze jest zatarcie śladów ludzkiej obecności. Często uciekałem się do środków bardziej wymownych, polegających na układaniu wewnątrz i w pobliżu zasadzki kawałów rozkładającego się i cuchnącego mięsa. Ale i ten środek niejednokrotnie zawodzi.



Tygrys w zasadzce.
<http://rcin.org.pl>

7

Bo jakże odgadnąć bieg myśli zwierzęcia? Bezradni stajemy często wobec najprostszych faktów. Trzeba poprostu wzdłuż linii nocnych wędrówek zwierzęcia zakładać cały szereg pułapek, a wówczas powodzenie zagwarantowane byłoby przynajmniej w dziesięciu procentach. Często, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zasadzka zostaje pusta, innym znów razem, mimo zwątpienia i braku wiary w pozytywny rezultat łowów, drapieżnik wpadnie. Przy wykańczaniu zasadzki należy zrównać ją z terenem, usuwając starannie z brzegów ziemię, którą zasypane są gałęzie i liście. W ten sposób zaciera się ślady ludzkie. Jeden tylko człowiek wykonywa ostatnie te czynności. Zasypuje on piaskiem ślady kolegów, a cofając się tyłem, na ślady własnych stóp rzuca garściami ziemię, pokrywając ją następnie gałęzmi i liśćmi. Wszystkiego dotyka łopata, nigdy ręką.

Zdarzało się często, że tygrysy widziane uprzednio co noc w tych samych, ściśle określonych miejscach po ustawieniu zasadzki nie pokazywały się tam już więcej. Działo się to na skutek jakiegoś niedopatrzania mego lub moich ludzi. O wiele trudniej jest zatrzeć ślady przy łowach niż przy polowaniu. Myśliwy może błędzić po bezdrożach i mierzyć do celu, nie tyka-

jąc tropów zwierzęcia, przy kopaniu zasadzek jest to niemożliwe.

Chcąc zapewnić sobie powodzenie, rozmieściłem wokół dołu, poza żywą przynętą, także części koziej padliny. Niezbyt wielkie, aby nie nasyciły tygrysa, lecz aby go tylko podrażniły i zwabiły bliżej pułapki.

Nie jedną i nie dwie noce spędziłem na czatach, podglądając tygrysa, badając, co go przeraża, odpycha lub pociąga do zasadzki. Ciągłe się uczyłem, każda zdobycz przynosiła coś nowego.

Mnóstwo uganiającej się po dżungli zwierzyny doprowadza swemi psotami łowcę do rozpaczy. Czasem w każdej zasadzce znajdzie się jeleniec, w żadnej jednak nie będzie tygrysa. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i nie tracić zimnej krwi.

Tygrys schwyty w zasadzkę przy pomocy żywej przynęty zostaje następnego dnia wprowadzony do klatki.

Z jednej strony pułapki umocowuje się jeszcze w czasie kopania ruchomą zasuwę, poza którą przygotowuje się miejsce na osadzoną na luźnych wałkach klatkę.

Po ulokowaniu i unieruchomieniu klatki podnosi się drzwiczki od strony dołu, następnie drągami uprzęta się ziemię zasłaniającą zasuwę,

o ile nie uczyniło już tego rozjuszony zwierzę. Warto widzieć i poznać wściekłość schwytanego tygrysa.

Na dany znak dwaj lub trzej ludzie unoszą ciężką drewnianą zasuwę. Przeważnie tygrys sam wpada do naświetlonego otworu, to jest do klatki, której ruchome drzwi natychmiast opadają. Na nowo rozpoczyna się bunt schwytanego, który jednakże tym razem, zważywszy małe rozmiary klatki, nie może rozwinąć swych sił ani zrobić sobie krzywdy.

Teraz przy pomocy ludzi i zwierząt rozpoczyna się wyciąganie klatki na wierzch. Jest to praca nielada i biada temu, kto przez nieuwagę wsunie palce pomiędzy pręty klatki.

Przy tych czynnościach przeżywałem zawsze okropne, niezapomniane chwile. Raz krajowiec, nieostrożny wyrostek, wpadł do dołu. Tygrys natychmiast rzucił się na niego. Zanim się zorjentowałem, ojciec skoczył za synem. W rękę miał tylko tępy nóż. Nie miałem przy sobie broni, to też kiedy wreszcie obu nieszczęśliwców wyciągnęliśmy z dołu, stary już nie żył, młody zaś popływywie kilku godzin w strasznych męczarniach ducha wyzionął. Ciężko rannego tygrysa musiałem zastrzelić.

Innym znów razem moi ludzie podnieśli zbyt

wysoko zasuwę, wobec czego zwierzę przeskoczyło górną krawędź klatki i znalazłszy się na swobodzie, przewróciło stojącego u góry na straży krajowca, wpiło mu się pazurami w twarz, przypinając go o stratę oka, i poraniło go dotkliwie, zanim zdążyłem chwycić za broń. Niespodzianki i przygody czają się nietylko w czasie samych łowów, ale i podczas transportu przez niedostępne gąszcze, i w czasie ładowania na statek, to też nie każde schwyte zwierzę dostaje się na miejsce przeznaczenia: znaczny odsetek należy zgóry wpisać na listę strat.

Przy moim systemie chwytania zwierzyny przy pomocy rozłożonej w dole sieci nieprzewidziane wypadki były rzadkością.

Pod tygrysem, skaczącym na żywą przynętę lub rzucającym się na padlinę, prawie natychmiast i prawie zawsze załamywał się zielony dach. Paliki trzymające sieć ustępowały i zwierzę zaplątywało się w zwoje sznurów. W czterech rogach siatki umieszczało się długie, mocne liny, zakończone pętlami, które służyły do wprowadzania zwierzęcia do klatki.

Przy pomocy drągów unoszono pętlę wgórze, omotując w ten sposób w sieci rozjuszonego, rzucającego się w spazmach wściekłości tygrysa. Należało postępować jak najszybciej, aby zwie-

rzęciu nie dać sekundy czasu na odzyskanie przytomności i wdrapywanie się po okach sieci do góry.

Cztery końce liny zostają następnie przeprowadzone przez klatkę, a zwierzę wraz z siatką wciągnięte do więzienia. Poczem od zewnątrz błyskawicznie przecina się siatkę ostremi nożami.

Zamierzałem opisać noc spędzoną na czatach.

Zawczasu objąłem posterunek i urządziłem się, w miarę możności, wygodnie. Teraz należało uzbroić się w cierpliwość i zachować ciszę. Było dość jasno i cały teren łowów leżał przede mną jak na dłoni. Oko łatwo przyzwyczaja się do półmroku, uczy się rozróżniać przedmioty. Wokół zasadzki z żywą kozą w kilku dołach leżały ochłapy surowego mięsa. Jak okiem sięgnąć, nie zdradzało podejścia. Nic nie wskazywało na to, że w pobliżu czatuje ludzka przebiegłość.

Gdy zapanowała ciemność, nadszedł cuchnący szakal i wpadł do pierwszego dołu; na szczęście nie zniszczył całego pokrycia, lecz wpadł wraz z łupem do zasadzki. Duża pantera pociągnęła za sobą kozę do dołu środkowego. Kląłem. Jeśli tak pójdzie dalej, zabraknie mi dołu dla tygrysa. Bezbronny siedziałem w czatowni i mu-

siałem się przyglądać, jak różne bezczelne bestje niszczyły moje dzieło. Niestety bowiem, nic nie pomogłaby tabliczka z napisem: „Nieproszonym gościom wstęp wzbroniony”.

Wreszcie zameldował się władca. Rozkazywał swym rykiem: „Baczność! Milczenie!”

W jednej chwili zapanowała cisza.

Minęła dobra chwila, zanim tygrys odezwał się po raz drugi. Po upływie kwadransa wystąpił na widownię.

Ostrożnie posuwał się brzegiem zarośli. Węszył, nasłuchiwał i znikał ponownie. Po upływie dziesięciu mniej więcej minut znów usłyszałem trzask łamanych gałęzi. Tygrys ukazał się bardzo blisko chatowni. W tej chwili wpadł mi do nosa moskit czy inny jakiś drobny owad. Powstrzymałem kichnięcie, dopóki się dało. Myślałem, że pęknie mi głowa. Ostrożnie przyciskałem chusteczkę do ust i nosa, chcąc stłumić podrażnienie nozdrzy. Daremny wysiłek. Musiałem kichnąć i tygrys znikł.

Nacóż zdadzą się przekleństwa? Pozostałem na miejscu i postanowiłem sobie na przyszłość w podobnych okolicznościach zatykać dziurki od nosa watą, by uniemożliwić dostęp tym dręczycielom ludzkości, wobec których jesteśmy zupełnie bezbronni.

Po godzinie wpadła jeszcze jedna pantera do tego samego dołu, co poprzednia.

Było to zgodne stadło małżeńskie.

Być może zazdrosna żona, podejrzewając, że mąż jej błądzi po bezdrożach, śledziła go i za karę, za swą iście niewieścią nieufność, dzieliła teraz ze swym żarłocznym małżonkiem okrutny los jeńca.

W zoologicznym ogrodzie w Antwerpii żyli jeszcze oboje długie lata w zgodzie i harmonji.

W tydzień po schwytaniu panter samica powiła trojaczki. Tylko dwoje z nich przetrzymało transport do wybrzeża, trzecie udusiła matka.

W innych, bardziej odległych dołach złapała się młoda tygryśnica z piękną pręgowaną skórą. Była wyjątkowo grzeczna i oswoiła się bardzo prędko.

Następnej nocy los był dla mnie łaskawszy.

Dużo wcześniej zająłem miejsce w czatowni. W tem samem miejscu, co i nocy poprzedniej, ukazał się tygrys, trudno mi jednak określić, czy był to ten sam okaz, czy inny. Natychmiast sięgnąłem do kieszeni po kawałek waty, aby nos mój ponownie nie odegrał roli stadjonu dla jakiegoś ciekawego, żadnego rekordów moskita.

Koza, która przez pół godziny zachowywała się spokojnie, zaczęła żałośnie beczeć.

Tygrys zatrzymał się, stanął nieruchomy, potem położył się plackiem na ziemi, nasłuchiwał chwil kilka, potem podniósł się znowu i zakreślając półkole, zbliżał się do ofiary.

Posuwał się zwolna, noga za nogą, krok za krokiem.

Nagle zatrzymał się.

Stał przed pokrywą dołu, na której leżał ogromny ochłap mięsa.

Coś podejrzewał.

Doskonale widziałem, że stał na krawędzi dołu.

Czuł grożące niebezpieczeństwo.

Znieruchomiały przyglądał się leżącemu o dwa metry przed nim ochłapowi mięsa. Jedną łapę wysunął naprzód. Jeśli w dalszym ciągu będzie postępował tak ostrożnie, może wymacać grunt, a raczej brak gruntu pod nogami.

Koza w pobliskim dole głośno beczała. Tygrys dźwignął potężny łeb i drugą łapę wysunął naprzód. Sztuczny dach zachwiał się. Widziałem jeszcze, jak zwierzę próbowało się ratować, ale było już za późno; z trzaskiem pękały gałęzie i król dżungli znikł w otchłani zasadzki. W dole pracował jeszcze z impetem, usiłując się wydobyć.

Słyszałem, jak trzaskały gałęzie, uderzenia

łap o piasek mieszały się z wściekłym skowytem. Wreszcie doszło mnie mlaskanie ozorem, rozpoczęła się uczta.

Tej samej nocy wiele jeszcze zwierzyny przesunęło się koło czatowni. Wszystko jednak uciekało w popłochu, słysząc ryk tygrysa lub węsząc dół, w którym był uwięziony.

O świcie nadeszli moi ludzie, gestykułując gwałtownie, i trzymając palec na ustach, starali się powstrzymać moje zejście z czatowni i zwrócić na coś uwagę. Zdziwiony rozejrzałem się wokoło. U stóp drzewa, na ziemi, leżała pogrążona w głębokim śnie olbrzymia niedźwiedzica, której uścisk powitalny był co najmniej zbędny zarówno dla moich kości, jak i wogóle dla zdrowia.

Pozostałem w czatowni, oburzony postępowaniem moich ludzi, gdyż uważałem, że w ten właśnie sposób najłatwiej mogą zbudzić czujność zwierzęcia, które dziwnym trafem spało spokojnie dalej. Czekałem na przyniesienie sieci. Należało postępować nad wyraz ostrożnie, gdyż w razie złego zarzucenia sieci potulna dotąd, bo uśpiona, bestja mogła zechcieć odwiedzić mnie w czatowni, co bynajmniej nie sprawiłoby mi przyjemności. Niedźwiedzie świetnie drapią się po drzewach. Na wszelki wypadek chwyciłem za

broń. Ludziom moim zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Położyłem się płasko na brzuchu i lufę strzelby skierowałem ku ziemi, aby w razie konieczności zabić zwierzę jednym pociągnięciem cyngla.

Udało się zarzucić sieć i wszyscy byliśmy niepomrotnie zdziwieni spokojnem zachowaniem się więźnia.

Niedźwiedzica nie żyła, a po dokładniejszych oględzinach okazało się, że miała poranioną szyję i rozerwany prawy bok.

Do dziś dnia pojąć nie mogę, że nie słyszałem w nocy stękania ciężko rannego zwierzęcia.

Zkolei przystąpiliśmy do wyciągania z głębi dołu tygrysa. Był to wspaniały okaz, największy chyba, jakiego kiedykolwiek schwytałem. (Wyjątek stanowił jedynie tygrys bengalski, złowiony przeze mnie kilka lat wcześniej na granicy Nepalu, najokazalszy z pośród wziętych do niewoli władców dżungli).

W najbliższych tygodniach złowiłem jeszcze pięć tygrysów, poczem musiałem wędrować dalej. Zaledwie jednak ponownie rozbiłem namioty, silna gorączka zmusiła mnie do przerwania pracy i do odpoczynku na wybrzeżu. Miałem jeszcze trudności nielada z transportem całego tego pojmanego towarzystwa.

O tych trudnościach chciałbym coś niecoś powiedzieć.

Wysiłku i pracy wymaga przedzieranie się przez bezdroża. Ostremi, wielkimi nożami i toporami torowaliśmy sobie drogę, jeśli wogóle o drodze może tu być mowa, wśród lian, zarosli, powikłanych gałęzi i innych różnorodnych, a często nieprzewidzianych przeszkód.

W razie natrafienia na spławną rzekę podróż na łodziach lub tratwach była łatwiejsza.

By schwytać lękliwą i rzadką zwierzynę, zamieszkującą głąb kniei lub dżungli, należy przede wszystkim udostępnić nieprzebytą, dziewiczą knieję. Tygodnie, a nieraz i miesiące mijają, zanim się dobrnie do wybranego na łowy terenu.

Droga w pierwszą stronę odbywa się jeszcze gładko, gdyż posuwającym się gęsiego ludziom, z całym ekwipunkiem na głowach, wystarczy wąska ścieżyna. Sprawa zmienia się jednak, gdy po ukończonych łowach potrzebne są szersze drogi dla przewozu klatek i materiałów transportowych. Ścieżyny wycięte w marszu pierwotnym dawno już zarosły bujną podzwrotnikową roślinnością.

Pamiętać i o tem trzeba, że wszystkie schwytane zwierzęta musi się w czasie transportu karmić i pielęgnować.

Drapieżców początkowo trzyma się krótko, wymierzając im skąpe porcje. Łatwiej jest zaspokoić głód zwierząt roślinożernych. Gdy pozwala na to ich budowa, daje im się możliwość wysunięcia głowy z klatki ustawionej w pobliżu krzewów i krzaków.

Tysięczne trudności piętrzą się w czasie transportu i niezwyklej cierpliwości wymaga zwalczanie coraz to nowych przeszkód i niewygód.

Po podłych drogach wlekliśmy się aż do rzeki Kali-Sind. Dalej jechaliśmy na tratwach, z biegiem brzydkich, rwących strumieni, a potem znów szliśmy aż do rzeki Narbada. Wreszcie musieliśmy przebyć dziesięć niebezpiecznych dni drogi przez progi rzeczne aż do Broach w zatoce Cambay.

Pamiętam jeszcze raport o przeładowaniu zwierząt na okręt żeglugi przybrzeżnej, dawałem jeszcze agentom jakieś zlecenia, poczem na przeciąg pięciu miesięcy stałem się niezdolny do jakiegokolwiek pracy i dopiero w Anglii, na znanej z dobrego klimatu wyspie Jersey, odzyskałem siły do dalszych wypraw.

V

Pantera

Myśliwi i podróżnicy stref tropikalnych często nie odróżniają pantery od lamparta i drzewnego tygrysa. A jednak każdy z tych drapieżników posiada swoiste, wykluczające wszelkie pomyłki, znaki szczególne. Wszystkie one żerują w nocy, jednakże zdarza się, że i we dnie wyruszają po zdobycz.

Nagroźniejsza i najśmielsza zarazem jest pantera. Wiele jej bezczelnych wyczynów przypisuje się niesłusznie tygrysowi. Zwłaszcza napaści na zwierzęta domowe najczęściej są jej dziełem. Pantera krąży chętnie w pobliżu osiedli ludzkich, trzebiąc stada owiec i kóz. Rzuca się nawet na duże cieleta, o ile te oddalą się nieco od swych matek, a nieraz nie odstrasza jej nawet obecność krowy. Po rabunku bierze nogi za pas i zmyka.

Tupet pantery nie ma sobie równego wśród dzikich kotów, zarówno wielkich, jak małych. Często napastuje ona również kobiety i dzieci.

Zaatakowana pantera jest przeciwnikiem nielada, jakkolwiek wytrawny myśliwy potrafi sobie z nią poradzić. Rany, jakie zadaje, są bardzo bolesne, a nierzadko śmiertelne.

Bywają wypadki, że w walce z człowiekiem

zwycięzcą jest pantera. Zdarza się to zwłaszcza wówczas, gdy w ataku uda jej się wpić zęby lub pazury w szyję napastowanego.

Ukąszenie pantery jest straszne, kły są długie i ostre, a śpiczaste pazury są bronią nad wyraz niebezpieczną.

Trudne jest upolowanie pantery, a stokroć jeszcze trudniejsze schwytywanie jej żywcem. O wiele trudniejsze niż schwytywanie tygrysa.

Tereny zamieszkiwane przez pantery są bardzo rozległe; obejmują prawie całe Indje, Nepal, Bhopal, Birnę i Cejlon. Można je spotkać również w niektórych okolicach Chin. Nieświadomi rzeczy myśliwi biorą często lamparta za panterę. To nam wyjaśnia, dlaczego niekiedy mowa jest o panterach na Jawie, Sumatrze, Borneo, Celebes. Niewątpliwie w grę wchodzi tu lampart lub gdy myśliwy jest już zupełnym analfabetą — tygrys drzewny.⁸ Zwierzę to przecież różni się zasadniczo od indyjskiej pantery.

Poza Himalaje pantera nie wyrusza. Boi się śniegu. Gdy latem odważy się pociągnąć wysoko w góry, zdarza się, że zaskoczy ją zima. Wówczas stara się jak najprędzej opuścić tereny śnieżne i pędzi w doliny, w okolice cieplejsze.

⁸ Zwierzę dwa razy mniejsze od pantery.

Błędne jest mniemanie laików, że pantera rozwijać się może tylko w klimacie tropikalnym. Przeczy temu chociażby tygrys syberyjski.

Wielkie mięsożerne drapieżce tylko dlatego obrały sobie za ojczyznę strefy gorące, że zamieszkuje je wielka ilość dziczyzny, która pada ofiarą ich apetytów. Gdyby bogatą tę faunę przesiedlić do okolic umiarkowanych, bezwzględnie pociągnęliby za nią i drapieżcy z rodziny kotów.

Zwierzęta te, znane nam tylko jako mieszkańcy strefy gorącej, aklimatyzują się bardzo łatwo. Natura wyposaża je przed nadejściem mrozów w zimową szatę, a ciepłą kryjówkę umieją sobie znaleźć same.

Świadczą o tem wymownie przykłady zoologicznych ogrodów, w których wychowane w klimacie tropikalnym pantery przyzwyczajają się szybko do zimy strefy umiarkowanej. Już za nadejściem drugiej zimy mają one cieplejszą szatę, której włos z roku na rok staje się dłuższy i bardziej puszysty.

Zamieszkała w pobliżu osiedli ludzkich pantera nie myśli wcale o ryzykownym trudzie szukania łupu w dżungli lub kniei. Nocą lub o świcie, a czasem nawet w pełnym blasku dnia porywa psa, owcę, kozę, cielę lub dziecko.

Gdy pasący stada młodzi chłopcy na krótko

przed zachodem słońca pędzą swe trzody zpowrotem ku wsi, na drodze ich w bezpiecznej kryjówce czatuje pantera, która wpada w sam środek zalęknionego stada i porywa jedną sztukę. Pozostałe zwierzęta rozbiegają się w popłochu i pastuch ma trudności nielada z zebraniem ich i zagnaniem do domu.

Rzadko kiedy napastnik zbliża się po raz drugi w tem samym miejscu do tego samego stada. Wie doskonale, że tam czatują na niego, i ma się na baczności.

Pantera rzuca się także na samotne, pracujące w polu dzieci. Zakrada się nawet w nocy do chałup i o ile nie znajdzie w nich psa lub innej czworonożnej ofiary, wynosi dzieci. Gdy w chacie znajduje się w chwili przybycia nieproszonego gościa silny mężczyzna, łatwo, zwłaszcza przy pomocy psa, przepędzi panterę, jeśli mu się nie uda jej zabić.

Postrzelona pantera jest groźnym przeciwnikiem. Krajowcy nigdy jej w takim wypadku nie ścigają, zwłaszcza gdy dostała się już pod osłonę lasu. Znają oni bowiem jej podstępny sposób powracania po zatoczeniu łuku, aby napaść z ukrycia na rozproszonych prześladowców.

Jeden silny mężczyzna może dać radę panterze. Sam byłem świadkiem uduszenia tego dzi-

kiego kota ludzkiemi rękoma. Że śmiałek przy tej okazji doznał ciężkich porażeń, przekonałem się na własne oczy.

Jeden z moich tragarzy, któremu obcy był ten rodzaj drapieżnika, schwytał panterę na gorącym uczynku duszenia psa.

Byłem podówczas z moimi ludźmi w drodze, a Beni — tak się nazywał ów młodzieniec z Madrasu, który nigdy jeszcze nie widział dżungli — sam pilnował obozu.

Zostawiłem go jako dozorcę, był bowiem silny, pewny, nieulekniomy i umiał obchodzić się z bronią.

Jedyną namiętnością Beni'ego była kawa. Spijał ją litrami i znaczną część zarobku przeznaczal na zakup tego przysmaku. Sam podejmował się dźwigania dodatkowego bagażu w postaci kawy, aby czasem nie zabrakło w obozie tego produktu.

Niejednokrotnie, gdy jego porcja się wyczerpała, ściągał garść ziaren z moich zapasów. Nie zwracałem na to uwagi, ponieważ poza tem był wyjątkowo uczciwy i użyteczny.

Beni zajęty był paleniem kawy, gryzący dym przesłaniał mu oczy. Rozkoszował się zapewne przedsmakiem uczy, gdy doszło go przeraźliwe wycie psa.

Jeszcze dziś widzę jak żywą brązową postać Beni'ego, opowiadającego z płonącymi i rozbieganymi oczyma o swej przygodzie.

Oddaję mu głos:

„Dym załzawił mi oczy, wokół obozu panowała względna cisza, zwierzęta spały w klatkach, tylko małpy pokrzykiwały od czasu do czasu.

„Nagle słyszę głośnie wycie Księcia. Skoczyłem na równe nogi. Przetarłem oczy i ujrzałem, jak za namiotem sahiba jakiś wielki kot wpił się pazurami w ciało psa. Początkowo myślałem, że wyrwał się któryś z lampartów, ale wkrótce zorientowałem się, że to zwierzę było większe i inaczej wyglądało.

„Chwyciłem z ogniska polano drzewa i rzucałem się na zbrodniarza, uderzając weń płonącym końcem. Zwierzę błyskawicznie zwróciło się ku mnie i zanim zdążyłem uderzyć po raz drugi, wywróciło mnie na ziemię, wpijając pazury w piersi i ramiona.

„Leżąc na plecach, czułem gorący oddech drapieżnika i starałem się osłonić twarz.

„Księżę, mimo porwanej w strzępy skóry i krwią broczących ran, wgrzyzł się ostremi zębami w łapę napastnika; nawet mały foksterjer przystąpił do ataku.

„Zawrzałem gniewem, bólu nie czułem w tej

chwili wcale. Udało mi się zarzucić ręce na szyję wielkiego kota i rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Czułem, jak krew mi ucieka, ale nie poddawałem się. Coraz mocniej zaciskałem palce, a i psy nie ustępowały. Czerwone krążki tańczyły mi przed oczyma i bliski byłem omdlenia, gdy wtem ustąpiły ściskające mnie kurczowo pazury; resztką sił porwałem się z ziemi i rzuciwszy się na panterę, nie ustąpiłem, dopóki nie wydusiłem z niej ostatniego tchnienia.

„Trudno było oderwać od trupa rozjuszony do wściekłości psy. Przyniosłem linę i zarzuciwszy bestji pętlę na szyję, przywiązałem ją do drzewa.

„Potem pobiegłem z Księciem ku wodzie; nie pamiętałem w owej chwili wcale o krokodylach. Na szczęście nie było ich w pobliżu. Obmywszy rany swoje i psa, zawlokłem się zpowrotem do obozu”.

Beni nie opowiadał, rzecz prosta, tak płynnie, ale nie kłamał. Okropne rany, zarówno jego, jak i psa, świadczyły wymownie o zaciętej walce.

Przeszły tygodnie, zanim zblżyły się rany odważnego Hindusa. Książę już po dziesięciu dniach powrócił do zdrowia i obowiązków, a Beni otrzymywał ode mnie codzień trzy do czterech dużych garnków mocnej kawy i niezależnie od

tego specjalną nagrodę w postaci funta szterlinga.

Psy wykazują w ataku wiele odwagi i jestem przekonany, że Beni zawdzięcza swe ocalenie jedynie dwom nieustraszonym pieskom.

O niebezpieczeństwie, które stanowi pantera, świadczy raport podróżnika p. Lu Andersona; upolował on panterę, mającą na swem sumieniu, jako plon jednoroczny, przeszło dwieście dzieci i kobiet.

Strach krajowców na widok pantery lub tylko na wieść o niej jest zatem uzasadniony. Chytry ten rozbójnik świetnie drapie się po drzewach. Uciekając przez gęstwinę, myli pościg, nagle zawraca, pędzi napowrót, chowa się w krzakach lub na drzewie i stamtąd atakuje tych, którzy go szukają, albo też ukrywa się w tak gęstych zaroślach, że niesposób go odnaleźć.

Zdarza się też, że ścigane, ogólny postrach budzące zwierzę wdrapuje się ze swoją zdobyczą, o ile nie jest ona zbyt ciężka, na drzewo i tam ukrywa ją bezpiecznie na mocnej gałęzi.

Anderson postrzelił siedzącą na gałęzi panterę i wraz z nią upadły do jego stóp zmasakrowane zwłoki siedmio-, a może ośmioletniej dziewczynki.

Muszę wyznać otwarcie, że osobiste moje do-

świadczenia z panterami są skromne. Nie chwyciłem i nie spotykałem okazów tak groźnych. Raz tylko na mego konia skoczyła z drzewa pantera. Lecz koń wierzgnął tylnymi nogami tak potężnie, że zrzucił mnie i napastliwego zbója w jednej chwili na ziemię. Pantera, przerażona tem niezwykłym przyjęciem, podróżą powietrzną i upadkiem, poprostu wzięła nogi za pas i uciekła.

Czarna pantera.

Błędne jest mniemanie, jakoby istniał specjalny gatunek czarnych panter. Błędny również jest pogląd, że czarna pantera nie daje się poskromić. W moim zbiorze, złożonym z dwudziestu czterech mniejszych zwierząt drapieżnych, należących do rodziny kotów, miałem poza lampartami, jaguarami, tygrysami drzewnymi i panterami również i czarną panterę. Była ona od innych bardziej dzika i niezależna, ale tak źle, jak opisują to przeróżne raporty, nie było w każdym razie.

Dwa lamparty, jaguar i jedna plamista pantera o wiele więcej przysparzały mi kłopotu i wobec nich rzeczywiście ciągle musiałem się mieć na baczności.

Cztery razy dobierałem się do legowiska panter i aż dwa razy znalazłem młode czarne pantery.

Mój pogląd, że czarne pantery pochodzą od jasnych, normalnej barwy rodziców, poparło wielu myśliwych. Nie wiem tylko, czy i w niewoli rodzi się czarne potomstwo. Najlepszy dowód, że ciemna, prawie czarna barwa nie stanowi cechy stałej i dziedzicznej, miałem w Banswara, w posiadłości pewnego nababa,⁹ który na wielkim dziedzińcu swego pałacu hodował parę czarnych panter. Roczne już wówczas dzieci tej pary miały jednak futro jasne. Poza tem przyglądając się baczniej skórze czarnej pantery, można na niej dostrzec pewien rysunek, jak u zwykłych panter.

Polowanie na pantery odbywa się ze strzelbą i oszczepem, często z czatowni. Myśliwi, zazwyczaj kilku, polują pieszo, konno, a często na grzbietach słońi.

Ranna pantera rzuca się niekiedy nawet na słońia. Podczas gdy na konia skacze stale ztyłu i z ukrycia, wgryzając się w jego kłęby i tylne kończyny, do słońia zbliża się stale od przodu, znając widocznie dobrze wrażliwość jego trąby.

W takich wypadkach zwycięzcą prawie za-

⁹ *Nabab* = książę indyjski.

wsze jest słoń. Wyrzuca on atakującego śmiałka w powietrze i umie zręcznie chwycić, gdy pantera spada na ziemię. Następnie miażdży ją potężnymi nogami, jeśli nie uda się jej wporę wymknąć lub jeśli kula czy oszczep myśliwego nie położy kresu jej życiu.

Polowanie z oszczepem, rzuconym ręką wprawnego myśliwego, jest mniej dla zwierzyny męczące niż polowanie ze strzelbą.

Głęboko w ciało wbity oszczep prędzej zwierzę pozbawia ruchu. Upust krwi jest gwałtowny, agonja krótka. Kula może nieraz przebić pancerz nawiął i nie być śmiertelną. Postrzelonej udaje się często przesadzić łańcuch strzelców wielkimi susami i zniknąć w koronie drzewa.

O żywotności panter niech świadczy następujący wypadek. W czasie transportu do Europy zwierzęta cierpiały srodze wskutek szalejącej na morzu burzy. Jedna z panter rozchorowała się poważnie i zdechła.

Kapitan statku przymówił się o piękną skórę zwierzęcia. Przychyliłem się do jego prośby chętnie. Przy zdejmowaniu skóry znaleźliśmy w ciele pantery aż trzy kule: jedna tkwiła w udzie tylnej łapy, druga pomiędzy żebrami, a trzecia w sąsiedztwie żołądka. Liczne ślady wskazywały na to, że musiała ona zlekka uszkodzić serece.

Nasze odkrycie jest chyba dostatecznym dowodem żywotności tych wielkich kotów.

Prócz tego wpadł mi w ręce jeszcze mały klejnocik, jakim indyjskie dziewczęta zdobią nosy. Srebrna ta spinka wbita była w dwunastnicę.

Pantera ta była więc ludożercą. Kto wie, ile dzieci udusiła i pożarła.

Miłość macierzyńską wykazują tylko samice, ojciec mało się troszczy o potomstwo.

Schwytanie pantery nie jest trudne, jeśli uda się wysledzić jej podziemną kryjówkę, którą zamieszkuje z rodziną. Nory te niełatwo jednak dają się wytropić. Najczęściej prowadzi do nich przypadek. Ścigana pantera nigdy nie kryje się w swoim legowisku. Zdaje sobie dobrze sprawę, że łatwo ją tam uśmiercić.

Zdarza się też, że jedną jamę zamieszkuje po kilka rodzin. Ma to jednak miejsce tylko w okolicach płaskich, gdzie kryjówki są rzadsze.

Po południu, na długo przed zmierzchem, pantera opuszcza kryjówkę i grzeje się w słońcu. I młode wychodzą wtedy na świat boży, bawiąc się i wciągając do zabawy starsze pokolenie.

Chociaż pantera dość się w czasie swych łupieskich wypraw nabiega, zażywa jeszcze gimnastyki dla sportu, dla zachowania giętkości i sprawności mięśni. We dnie śpi, jest zatem

zwolenniczką porannej gimnastyki. Swoim trybem życia zdaje się pytać: „Jakżebym inaczej zachowała młodość, piękność i elastyczność?” — Wyciąga się, prostuje członki, opiera się o skalistą ścianę i wyprawia przeróżne komiczne figle. Czasem zstępuje z piedestału powagi i igra z dziećmi. Zabawy te są stałym zaprawianiem młodych do walki.

Nauk elementarnych na drogę żywota udziela przeważnie matka rodu. Lekcje rozpoczynają się, gdy małe są jeszcze przy piersi.

Niezbyt potężne drzewo w pobliżu domostwa służy do włożenia. Matka, płasając, zwołuje dzieci i nagle wskakuje na pień. Wdrapuje się niezbyt wysoko, tak aby małe mogły chwycić koniec jej ogona. Kocięta ustawiają się przy pniu, wdrapują się, próbując naśladować matkę. Co raz spadają na ziemię, przewracając się wzajemnie.

Gdy tylko sztuka drapania się po drzewach zostaje opanowana, powstaje trudność nowa: ściąganie rozbawionej dzieciarni w oznaczonych godzinach na ziemię. W razie braku posłuchu dostają za uszy i wkrótce już umieją bez szkody dla siebie złaźić i skakać.

Małe wcześniej dobierają się do mięsa, ale matki pilnują, aby go nie żarły. Wolno im zlizywać krew i wysysać kości, byle nic nie zjadać.

Po paru tygodniach stara zabiera dzieci na polowanie i szczuje je na mniejszą zwierzynę. Pokazuje im, jak się to robi, a gdy któryś z uczniów okaże się niezgrabnym i wypuści zająca lub inne zwierzątko, nauczycielka każe mu utracony łup gonić.

Małe panterki są nad wyraz drapieżne i złośliwe. Matka pokazuje też, jak schwytaną zwierzynę rozszarpać. Po zabiciu ofiary odtrąca ciśniejąc się do trupa dzieci i rozpruwa mu brzuch. Pokazuje dzieciom kiszki, serce, płuca i wątrobę.

Małe muszą się też nauczyć transportu zabitego stworzenia oraz ukrywania go w razie niebezpieczeństwa w zaroślach lub na drzewie.

Sprytni uczniowie wkrótce sami dają sobie radę w życiu. Pozostają jednak nieraz przy matce, aż są zupełnie dorośli, i dopiero wtedy opuszczają rodziców.

Po wytropieniu kryjówki pantery złowienie jej nie jest trudne. Klatkę, pokrytą zielenią, ustawia się w pobliżu legowiska wielkiego kota. W klatce umieszcza się rodzaj wagi, która automatycznie zasuwą drzwi, gdy zbój przestąpi próg pułapki.

Chwytałem też pantery w pułapkach, które były nie dla nich zastawione; padały ofiarą ciekawości i łakomstwa.

Ponieważ pantera stale, z wyjątkiem kilku godzin dnia, jest w ruchu w poszukiwaniu żeru i prawie nigdy dwa razy nie kroczy tą samą drogą, ogromnie trudno zastawiać na nią pułapkę w dżungli.

Na Cejlonie pewna schwyтана w dole na tygrysy pantera wzbraniała się wejść do spuszczonej wdół i dla niej przeznaczonej klatki. Trzy dni trwały próby, ale żadna przynęta nie była w stanie jej zwabić. Byłem zmuszony zarzucić jej lasso na szyję i w ten sposób sprowadzić ją do klatki.

Niewielka jest liczba panter schwyтanych przeze mnie; większość udało mi się nabyć.

Na zakończenie jeszcze raz podkreślam, że pantera przebywająca w pobliżu ludzkich osiedli staje się plagą i postrachem zarówno człowieka, jak i każdego żyjącego stworzenia.

VI

Tygrys drzewny

Ojczyzną tego kota są południowe Indje, jednak spotyka się go również na Borneo i Sumatrze. Udało mi się nawet raz schwyтаć piękny okaz w północnej Kambodży. Kto interesował się

bliżej tygrysem drzewnym, nie zgodzi się z zaliczaniem tego pięknego łagodnego stworzenia do drapieżców.

Zadziwiająca jest, że znający to zwierzę krajowcy boją się go i zabijają je. Tylko na Sumatrze oceniają dobroduszość tego zwierzątka, choć i tam je tępią, jako pogromcę domowego ptactwa. Po raz pierwszy zetknąłem się z tygrysem drzewnym zupełnie przypadkowo w Syjamie.

Przed nadejściem nocy opuściłem namiot, ażeby sprawdzić, czy ludzie moi, zgodnie z otrzymanym rozkazem, zbierają zielone gałązki bambusu. Doszedłem do małej zatoczki u brzegów Mekongu. Tuż nad wodą stało dziwnie wygięte, skarłowaciałe, prawie że bezlistne drzewo, tylko u samego szczytu pokryte zielenią. Uwagę moją zwróciła wielka, unosząca się nad wodą gałąź. Słońce raziło mnie w oczy i dlatego trudno mi było rozróżnić, co znajdowało się na gałęzi. Poniżej latały ptaki, piły wodę, kąpały się, prowadziły spory.

Zauważyłem, że na gałęzi chwiało się coś długiego, walcowatego, pokrytego jasnymi plamami.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że widzę węża. Ponieważ jednak nigdy u węzów nie zauważyłem owłosienia, obserwowałem dalej i stwierdziłem, że na gałęzi leży wielki kot. Na-

tychmiast się zorientowałem, że miałem przed sobą tajemniczego tygrysa drzewnego.

Obszedłem zatoczkę szerokim kołem, nie spuszczać ani na chwilę zwierzęcia z oka. Ukryłem się w krzakach w odległości piętnastu metrów od drapieżcy. Zwierzę leżało spokojnie, poruszając zlekka ogonem. Wypatrywało zbliżenia się jakiegoś większego ptaka.

Grzbiet i głowa tygrysa drzewnego są szarobronzowe w żółte cętki; ogon i zewnętrzna strona kończyn są tego samego koloru. Środkowa linja karku ma sierść ciemniejszą, brzuch zaś i wewnętrzna strona nóg są barwy jaśniejszej, która z szarobiałej przechodzi stopniowo w ognisto-żółtą. Nogi są krótkie, ogon natomiast długi, gruby, obficie owłosiony i cętkowany. Rysunek głowy szlachetny, oczy bardzo duże. W spojrzeniu daremnie szukać dzikiego wyrazu. Odrazu przy pierwszym spotkaniu zaobserwowałem, że tygrys drzewny jest zbójem nielada. Przymilne zwierzę czekało cierpliwie, aż któryś z dużych ptaków zbliży się do drzewa, poczem nie poruszając gałęzi, skoczyło zręcznie ku wielkiej kurze, znikając z nią natychmiast w zaroślach.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie zauważył ani nie zwęszył mnie, chociaż zbliżyłem się na odległość kilku kroków. Przegryzł w jednej

chwili ptakowi gardło, wyssał krew, a potem dopiero go pożarł.

Wsparł się, jak to się nieraz u psów obserwuje, na tylnych łapach, podczas gdy przednie wyciągnął na ziemi. Nigdy już później nie widziałem tej pozycji w czasie uczty u wielkich kotów. Nie słyszałem też pełnego zadowolenia mlaskania, którego nie szczędzą koty w takich chwilach.

Nigdy nie zapomnę wzroku tygrysa, gdy ze skierowaną weń lufą strzelby wystąpiłem z zarośli. Zdumiony przyglądał mi się przez chwilę, poczem wstał i znieruchomiał na przeciąg kilku sekund. Nic nie zdradzało chęci ataku. Jednym susem zniknął w gęstwinie.

• W dwa dni później schwytałem go na łąso. Byłem pewny, że to ten sam okaz, widząc go, jak się rozsiadł na obnażonej z liści gałęzi.

Koniec sznura przymocowałem do pnia drzewa. Bałem się, że tygrys skoczy, gdy będę zarzucał pętlę, byłem bowiem zmuszony wystąpić z ukrycia. Zauważył mnie natychmiast, przyjrzał mi się ciekawie i miałem wrażenie, że śledzi każde poruszenie mej ręki. W decydującym momencie uniósł nawet nieco głowę. Ciekawość ta była dla niego zgubna. Nie podejrzewał nawet, że przypląci ją utratą wolności.

Zarzucenie lassa nie było rzeczą łatwą, gdyż ofiarę trzeba było dosięgnąć nie zgóry, lecz z boku. Pewna okoliczność przysłała mi z pomocą. Sam siedziałem na gałęzi wyższej od tej, na której spoczywało zwierzę, jednakże dla osiągnięcia celu musiałem się całkowicie wychylić nabok. Zarzuciłem pętlę na gałąź i grzbiet zwierzęcia. Zaciągnąłem powróż i skoczyłem na ziemię. Teraz zwierzę zaczęło się bronić. Gałąź, do której było umocowane, załamała się i ledwie-ledwie trzymała się pnia. Pętla się obluźniła i gdybym był gwałtownie nie wyprężył sznura, zwierzę byłoby mi umknęło.

Kazałem czem prędzej ustawić przygotowaną zawczasu klatkę. Lękliwie, bez gniewu i zapału do walki, przyglądał nam się uwieszony za nogi tygrys drzewny i dał się spokojnie wsadzić do klatki.

Stanowczo był onieśmielony i bardziej się lękał od moich ludzi, którzy trzymali się w pełnej respektu odległości, pozostawiając mi całkowicie dzieło uwięzienia.

Nigdybym nie przypuścił, że tygrys drzewny tak prędko da się oswoić. Okazywał wyraźną chęć zabawy.

W Ban Tiara wynająłem na skład stary opuszczony klasztor. Po jego wielkiem, otoczonym

wysokim murem podwórzu tygrys już po paru dniach biegał swobodnie i psocił. Drażnił ciągle psy i zachęcał je do zabawy. Zawarł przyjaźń z dwoma młodemi niedźwiadkami i całemi dniami baraszkował z niemi. Żył też w zgodzie z dozorcami, a zwłaszcza ze mną. Tylko, gdy któraś z naszych kur przez nieświadomość zabłąkała się na podwórze, padała natychmiast ofiarą rozboju.

Pewien zamożny krajowiec ofiarował mi samicę tygrysa drzewnego. Była również łagodna, ale nie znosiła małych psów i zagryzła jednego z nich. Ta zbrodnia wywołała oburzenie całego psiego rodu i byłaby morderczynię drogo kosztowała, gdyby nie interwencja moich ludzi.

Zasługuje na uwagę, że tygrys samiec nie mieszał się do walki i przyglądał się spokojnie atakowi na małżonkę.

Tygrysy drzewne, podobnie, jak oswojone domowe koty, bawią się ze swą ofiarą, zanim ją zabiją.

Tak się jednak dzieje tylko z małemi zwierzątkami ssącemi; ptaka pożera tygrys drzewny natychmiast. Rozumie, że te uskrzydłone stworzenia łatwo mogą się wymknąć.

Zamknąłem w jednej klatce samca tygrysa drzewnego i samicę lamparta w nadziei otrzymania ciekawego skrzyżowania.

4

Chociaż dama okazywała swemu towarzyszo-
wi, z którym żyła w wielkiej zgodzie, wiele sym-
patji, tygrys nie zwracał uwagi na te zaloty.

W niektórych okolicach Syjamu spotykałem
schwyte tygrysy drzewne, którym pozostawia-
no wiele swobody, nie uskarżając się na ich dra-
pieżne instynkty.

Dziwne, że hodowcy nigdy nie wyzyskują tych
układnych i łatwych do oswojenia zwierząt.

Tygrys drzewny jest mądrzejszy od pantery,
lamparta, jaguara i pumy. Łagodne to zwierzę
w walce z drapieżnikami potrafi się jednak bro-
nić. Pewien nieznośny, szukający stale zaczepki
lampart, który rzucał się na każdego, kto się doń
zbliżał, i nie umiał nawet utrzymać zgody z dwie-
ma samicami tego samego gatunku, wymknął się,
źle strzeżony, ze swojej klatki. Zagryzł na śmierć
młodą panterę, poczem skierował się w stronę
mego starego tygrysa drzewnego. Tygrys nasro-
żył się na widok awanturniczego napastnika.
Z pewnością czuł grożące mu niebezpieczeństwo.
Lampart odrazu przystąpił do ataku, nie obliczył
się jednak ze zwinnością tygrysa, który zręcznie
uchylił się od ciosu. Zanim lampart zdążył ude-
rzyć ponownie, przeciwnik jego schronił się na
szczyt wysokiej klatki transportowej i z tego
wzniesienia nań skoczył. Trudno zgadywać, ko-

mu sądzone było zwycięstwo, gdyż w tym momencie walki udało nam się oderwać wzarte w siebie koty. Stwierdziłem jednak, że z krótkiej tej walki lampart wyniósł cięższe obrażenia niż jego przeciwnik.

Od tego czasu tygrys drzewny przyjmował natychmiast postawę obronną, gdy tylko w polu jego widzenia, choćby na drugim końcu podwórza, ukazał się lampart.

VII

Gepard

Pochodzenie geparda, podobnie jak i tygrysa drzewnego, owiane jest mgłą tajemniczości. Tyśiączne bajki krążą na temat tego rzadkiego zwierzęcia, które nie jest ani psem, ani kotem.

Jednym z najpopularniejszych jest twierdzenie, że gepard, wstrzymany w rozwoju, jest gatunkiem mieszańca drapieżnych rodzin kotów i psów.

Często sam potwierdzałem tę historję głupio i natrętnie pytającym, gdyż trudno byłoby wyperswadować im te bajki.

Geparda spotykałem w Afryce i Azji. Jest to istotnie zwierzę wyjątkowe. Przy pierwszym spot-

kaniu zastanawiałem się, czy mam przed sobą lwicę, czy też inne jakieś, nieznane mi zwierzę. Wychylając się z gęstwy lasu, zauważyłem w odległości mniej więcej osiemdziesięciu metrów przed sobą na obrośniętym mchem kamieniu zwierzę, którego zlekka odwrócona głowa przypominała łeb lwicy. Podszedłem bliżej ze strzelbą gotową do strzału, pragnąc zbudzić pozornie uspione zwierzę. Nie uszedłem jeszcze trzydziestu kroków, gdy zwierzę odwróciło się i wstało.

Natychmiast zorjentowałem się, że to nie lwica i że danem mi jest po raz pierwszy w dżungli oglądać geparda.

Wysokonogie to stworzenie, o podłużnej, nieco inaczej niż u wielkich kotów sformowanej głowie, robi na oglądającym je po raz pierwszy podróżnym dziwne wrażenie.

Przyzwyczajony do widoku lwów, tygrysów, lampartów i panter oraz do ich pełzających ruchów podróżnik zaskoczony jest swoistym wyglądem geparda.

Widywałem gepardy już w klatkach i oswojone, jednakże zupełnie inne wrażenie sprawiają na wolności. Niezwykły jest sposób polowania geparda, dużo sprytniejszy niż wielu dzikich zwierząt. Potrafi on się poruszać bezszelestnie jak kot lub jak pies podpełzać do łupu. W cza-

się wiatru np. okrąża ofiarę wielkimi łukami, wychodząc w ten sposób poza granicę węchu ofiary. Podstępnie i chytrze podpełza na odległość dwudziestu kroków do gazeli, nie będąc przez nią widziany. Następnie kilku gwałtownymi skokami dopada ją i dusi. W przeciwieństwie do innych dzikich kotów, które ofiarom swym rozrywają grzbiety, gepard wgryza im się w szyję i wypija z chciwością ciepłą krew, poczem dopiero zabiera się do żarcia. Głód zaspokaja bardzo szybko. Nie jest on tak żarłoczny, jak inni drapieżcy, i tylko wówczas ciągnie za sobą zwierzynę, gdy chodzi o nakarmienie młodych. O małżonkę dba mało, to też musi ona w kniei pamiętać o sobie sama.

Podziwu godna jest zwinność, z jaką gepard ugania się po stepie. Galopuje, to znów długimi skokami przemierza przestrzeń. Jest wspaniałym, lecz niezbyt wytrzymałym biegaczem. Prędko opuszczają go siły i dlatego nieraz wymykają mu się lekkonogie, upatrzone na ofiarę zwierzęta. Na przestrzeni kilkuset metrów gepard prześcignie nawet gazelę. W młodości łązi też wspaniale po drzewach, z biegiem lat jednak liczyć już może tylko na swe niepospolite zdolności do skoków. I wtedy jeszcze z łatwością jednym susem skacze na odległą o trzy metry od ziemi gałąź.

W wieku młodzieńczym pazury ma ostrzejsze, przytępiają się jednak już w czwartym lub piątym roku życia i to właśnie utrudnia mu drapanie się po drzewach. Na wschodzie, zwłaszcza w Azji, od wieków używają geparda do polowania. Daje się on łatwo tresować i z namiętnością służy sprawie. Z zawiązanymi oczyma wiezie go się w wózku lub konno za myśliwym na miejsce polowania. Tu dopiero zdejmuje się z oczu opaskę i chyży jak jeleń gepard rozwija swoje talenty: rzadko kiedy upatrzonej ofierze udaje się wymknąć.

Gepardy bywają tak wytresowane, że duszą schwyte zwierzę i czekają cierpliwie, aż nadejdzie myśliwy.

W nagrodę daje się wziętemu już na łańcuch gepardowi zebraną krew zabitej ofiary. Mruczając z zadowolenia, małemi haustami wypija zwierzę gęsty, czerwony, życiodajny płyn.

Jedyny głos, jaki z siebie wydaje to piękne, godne przywiązania zwierzę, to mruczenie.

Okrutnem wydało mi się systematyczne zaprawianie tego łagodnego zwierzęcia do mordu i po dwukrotnem uczestnictwie w tego rodzaju polowaniu zrezygnowałem raz na zawsze z tej przyjemności.

Niejednokrotnie zdarzało mi się obserwować

geparda na wolności. Pod koniec ubiegłego stulecia spotykało się go jeszcze bardzo często.

Ulubionemi ofiarami gepardów są gazy i kozy górskie; nie gardzą jednak i innymi trażozernemi, zwłaszcza antylopami. Wiadomo, że polują również na strusie, niestety, nie miałem nigdy sposobności tego obserwować.

Pocziwy gepard nie umie walczyć. Napastowany przez psa usiłuje się bronić; gdy widzi, że niema już wyjścia, walczy bardzo niechętnie. Woli zawsze przeciwnikowi usunąć się z drogi. W ostateczności jednak umie postawić się mężnie i zwyciężyć. Byłem raz świadkiem napaści olbrzymiego psa na geparda. Wciśnięty między skalne złomy, nie miał możności ucieczki, rzucił się więc na przeciwnika, wpijając mu zęby w gardziel.

Rzadko jednak broni się napadnięty lub drażniony gepard.

Widziałem też gepardy polujące parami. Tuż przed dopadnięciem upatrzonej ofiary rozdzielają się one, osaczając ją z dwu stron. W postępowaniu tem widoczna jest taktyka polowania z naganką. Podszedłszy już dość blisko, gepard wskakuje na zwierzę od tyłu i oszołamia je silnem uderzeniem łapą po głowie, poczem zawisa u szyi ofiary.

Komu zdarzyło się widzieć pędzącą przez stepy gazelę, dziwił się niewątpliwie szybkości jej biegu, co dopiero mówić o gepardzie, któremu nie dorówna najszybsza gazela?

Z godnych zaufania źródeł dowiedziałem się, że gepard zawsze staje do walki w obronie swej połowicy.

Łagodny z natury, może się gepard stać ulubionem zwierzęciem domowem, o ile go sobie ktoś wychowa.

Schwytalem kiedyś geparda, za którym ugaśniałem się konno trzy mile. Zwierzę było wyczerpane biegiem i patrzyło na mnie błagalnie. Nie broniło się i dało się spokojnie ująć.

Już po upływie tygodnia więzień był całkowicie oswojony. Zdawał się być czcicielem ognia, gdy bowiem o zmroku rozpalano w obozie ogniska, rwał się do nich z uporem. Gdy dopuszczano go bliżej, wyciągał się na ziemi i jak zahipnotyzowany patrzył w płomienie. Gdy po jakimś czasie dostał się do mego bungalowu niedaleko Nairobi, przerywał natychmiast po zapaleniu kominka igraszki. Zdawał się bardzo zdziwiony, gdy w czasie chłodnych wieczorów nie rozniecano ognia. Biegał zziębnięty to do mnie, to do kominka lub zniecierpliwiony leżał, mrucząc przed czarnym otworem. Gdy tylko chłopiec zaczynał

grzebać w piecu, Flint — tak bowiem ochrzciłem zwierzę — dawał wyraz wielkiemu swemu zadowoleniu. Rzucił się radośnie na murzyna i do mnie się łąsił, jakgdyby chciał powiedzieć: „No, wreszcie spełniliście moją wolę”.

Gdy buchały płomienie, Flint godzinami mruczał z rozkoszy, przewracając się leniwie z boku na bok. Jego ogon, uderzając o podłogę, zabijał masy nieznośnego robactwa. Tylko raz jeden jeszcze zauważyłem u zwierzęcia podobne zamiłowanie do ognia; pewna mała sarenka potrafiła również godzinami wpatrywać się w płomienie.

Flint prowadził stałą wojnę z kurami. Wcale ich nie dusił ani nie zabijał, ale niewysłowioną radość sprawiało mu nastraszenie tego pierzastego bractwa.

Pozostał przy mnie długie miesiące. Gdy ruszaliśmy w drogę, trzymałem go na smyczy. Nie chciałem się rozstawać z ulubionym towarzyszem zabaw.

Pewnego pięknego dnia Flint zginął. Wymknął się z obroży. Daremne były wszelkie poszukiwania, wołania i gwizdy, które tak dobrze znał. Obawiałem się, że porwał go niepokojący nas od kilku nocy lew.

Żałowałem drogiego towarzysza i nawet świet-

nie przyrządzona kolacja nie zdołała naprawić mego humoru.

Późną nocą wlałem do hamaku. Spałem może godzinę, gdy wtem coś, jakby pień drzewa, zważyło się na mnie. Przerażony chciałem się podnieść, ale ciężar, jaki dźwigałem, nie pozwolił mi na to. Ciarki mnie przeszły, gdy poznałem, że leży na mnie wielkie jakieś zwierzę. Z całych sił chwyciłem za szyję lwa — byłem bowiem przekonany, że z nim właśnie miałem do czynienia — gdy uszu mych doszedł dobrze znany pomruk. Niepoń, dezertier Flint, powrócił.

Nie wiem, kto z nas dwu był bardziej zadowolony: ja czy on? Fakt faktem, że wzajemnie byliśmy sobie radzi.

A jednak wybiła godzina rozstania. Musiałem oddać ukochane zwierzę. Wybierałem się do południowej Ameryki i nie mogłem w tak daleką drogę brać go ze sobą. Flint został wysłany do Europy i sprzedany — jak się o tem dużo później dowiedziałem — do jakiegoś ogrodu zoologicznego.

Niedługi jest jednak żywot gepardów w klatkach, wymagają one bowiem dużej swobody ruchów. Należy przeznaczyć im znaczną przestrzeń, na której mogłyby dosyta biegać i baraszkować.

Na pytanie, czy gepardy w niewoli rozmnaża-

ją się, nie mógłbym odpowiedzieć; nie znam żadnego takiego wypadku. Na wolności samica wydaje rocznie czworo do pięciu młodych.

Jest szkoda nie do darowania, że w wielu okolicach wytępiono zupełnie to szlachetne zwierzę.

Jeśli polowania na gepardy nie ukrócą surowe przepisy, piękne i rzadkie to zwierzę skazane będzie na zagładę.

VIII

Niezwykłe zdarzenia w świecie egzotycznych zwierząt i ich życie „uczuciowe“

Przez setki lat nie chciała nauka uznać istnienia życia uczuciowego u zwierząt. W ostatnich dopiero latach nastąpił zwrot w tych poglądach.

Czemu przypisać dawną negację, nie wiem, gdyż tysiące przykładów z życia codziennego potwierdza istnienie duszy zwierzęcej. Postęp wiedzy nie dał się zahamować. Nie uznawana dotąd „dusza” zwierzęcia musiała wreszcie zostać uznana przez współczesną wiedzę za coś istniejącego, rzeczywistego. Uczeni, chcąc nie chcąc, poddali swoje poglądy rewizji. Przytaczano coraz to nowe dowody życia uczuciowego zwierząt, opinia

publiczna przestała się interesować tą sprawą, aż wreszcie i uczeni zmienili swoje zdanie.

Niezmiernie obfity materiał zebrał badacz niemiecki Brehm, którego dzieło powinno stać się fundamentem nowoczesnej zoologii. Ale właśnie to bogactwo treści uniemożliwiło wielkiemu uczonemu gruntowniejsze poznanie poszczególnych zwierząt i ich „duszy”. To też opierał się on często na cudzych wywodach, a cytując je, zrzucił z siebie odpowiedzialność za ścisłość podawanych faktów.

Wielu uczonych, a jeszcze więcej myśliwych i podróżników, uogólniało swe obserwacje prowadzone nad poszczególnymi okazami. Jest to z gruntu fałszywe. Gdyby bowiem ci badacze zadali sobie trud prowadzenia swych doświadczeń przez lata z setkami okazów tego samego gatunku, doszliby być może do wniosków zupełnie odmiennych. U poszczególnych gatunków zwierząt występują krańcowo różne charaktery i zwyczaje, podobnie jak i u ludzi, członków jednej rodziny.

Natura kryje tajemnice, które najskrupulatniejszy badacz nieraz dopiero po długich latach cierpliwej i wytrwałej pracy odkrywa. A najczęściej nie odkrywa ich wcale.

Zdarzenia i wypadki pobudzają badawczy umysł człowieka, uczą go myśleć.

Życie organiczne trwa od setek tysięcy, a może i milionów lat. Z owych czasów zamierchłej przeszłości istoty żyjące zachowały wspomnienia walki, strachu, przerażenia i miłości.

Instykt samozachowawczy objawia się w królestwie zwierząt wieczystą walką. Jedne stworzenia żyją przez śmierć innych. Taki jest bieg życia, czyli perpetuum mobile w naturze.

Strach przed człowiekiem, który od czasów stworzenia prześladował wszystkie istoty żyjące, z biegiem lat nauczył zwierzęta ostrożności, wskazał im konieczność kryjówek i obrony.

Do pomocy w walce o byt stawały istotom dwu-, czworo- i więcejnożnym wzrastające siły fizyczne i podstęp. Konieczność obrony wywołuje nieraz najdziwniejsze zjawiska, które powierzchowne sądy ludzkie określały jako przeciwne naturze. Są one jednak naturą samą i tem wyraziściej malują współzycie ludzi i zwierząt.

Zwierzę zmuszone jest bronić się nie tylko przeciw człowiekowi, ale i przeciw zwierzętom tego samego, co i ono, lub innych gatunków.

Od niepamiętnych czasów prawo pięści panuje w świecie, silniejsi władają słabszymi. Słabsze stworzenia szukają sposobów obrony i tu przychodzi im z pomocą natura; mimo to jednak

ewolucja środków obrony trwała nieraz tysiące lat.

Od niepamiętnych lat zwierzę walczy przeciw zwierzęciu i w ich mózgach wytworzyła się już specjalna komórka, regulująca walkę, napaść i obronę. Zwierzę-matka nie musi uczyć wszystkiego noworodka, co zresztą, choćby przez wzgląd na skomplikowane stopnie rozwoju, np. u owadów, byłoby niemożliwością. U innych stworzeń, a zwłaszcza u ssaków i ptaków, matka jest wspanią, niezastąpioną nauczycielką.

Zwierzęta, które nigdy oko w oko nie spotkały się z człowiekiem, przeważnie na jego widok biorą nogi za pas i uciekają. Gra tu rolę nie tylko przerażenie, jakie wzbudza dziwaczna, nieznana postać dwunożna, ale i funkcja świadomej komórki mózgowej, ostrzegającej przed niebezpieczeństwem, które zagrażało być może przed wiekami któremuś z przodków.

Wiele zwierząt ssących okolicie podzwrotnikowych nie śmie napadać na małpy stojące w pozycji ludzkiej. Niedźwiedź w tej pozycji również jest mniej narażony na ataki wielkich, drapieżnych kotów. Jednakże lampart, jaguary, panteiry i inne drobne, dzikie koty nie dają się odstraszyć sposobem chodzenia lub pozycji przeciwnika. W naturze zdarzają się wypadki tak, zdawa-

łoby się, przeciwne prawom natury, że najuczestniejszy obserwator staje wobec nich bezradny.

Naogół rzadko i tylko przypadkiem udaje się zaobserwować niezwykle jakieś zdarzenie w królestwie zwierząt. Zwierzęta przebywające od tysięcy lat wśród ludzi degenerują się, tracą przyrodzone właściwości i cechy. Często np. zwierzętom domowym pomagać trzeba przy wydawaniu na świat młodych, co jest najoczywistszym dowodem degeneracji. Żyjąca na wolności samica nie potrzebuje żadnej pomocy. Żyjące swobodnie w stepie lub w dżungli zwierzę zachowuje swą odrębność i tylko tam uważny, interesujący się duszą i życiem czworonożnego świata badacz ma możliwość zaobserwowania tych cech i zjawisk, z których tylko przypadek zdziera tajemnicę.

Sklasyfikowanie i synteza życia uczuciowego zwierząt jest niemożliwa.

Najłatwiej wyjaśnić to na przykładach. Wszystko, co tu przytoczę, oparte jest na doświadczeniu i długoletnich studjach.

Zwierzę zna tylko miłość, nienawiść jest mu obca. Oczywiście zdarza się, że poszczególne okazy, zarówno dzikich, jak i oswojonych zwierząt nie znoszą się wzajemnie, jednakże złe instynkty, spotykane na każdym kroku wśród ludzi, w świecie zwierząt nie są znane.

Zbadajmy np. miłość macierzyńską u zwierząt, a przekonamy się, że kursujące na ten temat bajki i opowieści bardzo dalekie są od prawdy.

Z tą t. zw. miłością macierzyńską, zwłaszcza u żyjących na wolności dzikich zwierząt, dzieją się dziwne rzeczy.

Uczeni, myśliwi, a zwłaszcza nieodpowiedzialni awanturnicy opowiadają cuda o wielkiej miłości macierzyńskiej lwic i opiewają ją na wszystkie tony. W rzeczywistości odwaga lwiej matki jest wymysłem. Obserwowałem wiele lwic z ich lwiątkami i w większości wypadków stwierdzałem, że matki te w razie istotnego czy też urojonego niebezpieczeństwa uciekały, pozostawiając swe bezbronne dzieci na łasce losu. Obrony podejmowała się niekiedy obca, cheiwa przygód, bezdzietna lwica, ale nigdy matka.

O pożyciu małżeńskim lwów spisano całe tomy. Podziw wzbudza sprzeczność poszczególnych relacyj. Niegodne z prawdą jest, jakoby lew żył monogamicznie, jednakże czasem zdarza się spotkać króla zwierząt z jedną tylko małżonką. Naogół jednak za jednym lwem ciągnie kilka lwic. Widziałem nieraz koło jednego pana i władcy do dziesięciu lwic. Nie należy jednak z tego wnosić, że potężny grzywacz z każdą z tych

dam współżyje. Przeważnie jedna z nich tylko jest faworytką, pozostałemi lew się nie interesuje, obdarzając tylko od czasu do czasu którąś z nich swemi względami. Pozwala się adorować, lubi tłok koło swej wspaniałej osoby, dba o asystujące mu dobrowolnie towarzyszki, broni ich nawet, gdy jest w humorze, ale faktycznie nie ziębia go one ani nie grzeją. Jestem najgłębiej przeświadczony, że w wielu wypadkach ciche adoratorki napędzają ukochanemu zwierzyńę, którą on raczy w spokoju ducha spożywać.

One to właśnie troskliwie opiekują się dziećmi swego pana i władcy, one podejmują o te bezbronne, młode istoty walkę z człowiekiem, podczas gdy matka, ojciec, ciotki uciekają, gdzie pieprz rośnie.

Byłem nieraz świadkiem, jak słońce, znane z tego, że przy lada pozorze niebezpieczeństwa wyganiały młode trąbami z zagrożonej strefy, zapominały o nich w wypadkach poważnego niebezpieczeństwa. Wnoszę z tego, że uczucie strachu silniejsze bywa u zwierząt od uczuć macierzyńskich.

Goniłem kiedyś w towarzystwie murzynów i słoni pociągowych za stadem dzikich, indyjskich słoni. Matki i stare, powłóczące trąbami

nianie pilnowały trojga młodych słońątek. Pięćset kilometrów dzieliło nas od dużej osady, a sto pięćdziesiąt od najbliższej wioski.

Od szeregu dni śledziłem zwierzęta. Chciałem je wpędzić do przygotowanej oddawna zagrody i uwięzić. Byłem już pewny wygranej, obliczałem korzyści i cieszyłem się, że wkrótce już skończę tę wyczerpującą gonitwę. Zatrzymaliśmy się na małej polanie, dając zwierzętom czas i okazję do zaspokojenia głodu. Cel wyprawy odległy był jeszcze o jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

Wtem na wysokości pięćdziesięciu metrów ukazał się balon, wysłany z licha wie jakiej stacji wojskowej. Balon wychylił się ponad wierzchołkami drzew z pośród gęstej mgły, szukał miejsca do lądowania.

Był to pierwszy balon, jakim rozporządzała armja kolonialna; statków powietrznych i aeroplanów wówczas jeszcze nie znano.

Gdy balon ukazał się nad głowami słoń, głośnie trąbienie prowadzącego pochód wzbudziło popłoch w całej gromadzie. Zadzierając trąby ku niebu, z odstającymi uszami słońie patrzyły wgórze, poczem owładnął nimi paniczny strach. Miażdżąc wszystko, co było na drodze, uciekały we wszystkich kierunkach. Strach udzielił się i naszym zwierzętom pociągowym, tak że i one

poczęły stawać dęba i ryczeć, znaleźliśmy się więc w nielada niebezpieczeństwie.

Stado dzikich słońi czem prędzej umknęło, dochodziły nas tylko odgłosy lękliwego trąbienia i trzask łamanych gałęzi.

Z trojga małych słońątek tylko jedno zabrały matki i opiekunki, dwoje pozostawiono własnemu losowi. Skromna to była dla nas nagroda kilkutygodniowych trudów i niewygód. Dziwne, że matki nie powróciły po swoje dzieci. Widocznie strach odebrał im świadomość rzeczywistości. Przy innych okazjach jednakże stwierdzałem wielokrotnie, że gdy padł strzał i kula ugodziła jedno ze zwierząt, słońie przedewszystkiem wynosiły dzieci poza obręb niebezpieczeństwa.

Nie zauważyłem też, aby niedźwiedzie porzucały swe małe w razie niebezpieczeństwa, jednakże i wśród nich z pewnością zdarzają się wypadki, że miłość matki zawodzi. Wszystko zależy od okoliczności. Wyjątkowe nagłe wypadki zagłuszają u zwierząt uczucia, silnie rozwinięte w warunkach normalnych. Czyż brak nam wśród ludzi przykładów matek okrutnych, wyzutyk z wszelkich uczuć? Protokoły policyjne i sądy często mają do czynienia z nieludzkimi kobietami.

Małpy otaczają dzieci wielką, prawie że przesadną miłością i w obronie ich zdolne są do czynów wprost bohaterskich.

Życie uczuciowe dzikich i oswojonych zwierząt najjaskrawiej występuje w miłości i żałobie.

Kto jeszcze przeczy istnieniu „duszy” zwierzęcej, jest w błędzie. Zwierzęta żałują zmarłych jak i ludzie. Zwierzęta płaczą! Zwierzęta się śmieją! Zwierzęta tracą rozum, gdy spotka je cios nieoczekiwany a okrutny.

W dziedzinie wzajemnej miłości zwierząt zdarzają się rzeczy wprost niezwykłe. Człowiek patrzy na nie jak na cuda natury. Długie lata łowów i filmowania zwierząt dostarczyły mi mnóstwa dowodów pięknego, godnego naśladowania życia uczuciowego zwierząt. Niestety, ludzie, patrząc, często nie widzą tych rzeczy lub — co gorsze i co niedwuznacznie podkreśla bezmyślność „panów stworzenia” — przechodzą koło nich z uśmiechem i wzruszeniem ramion.

W dżungli zawierają się najnieprawdopodobniejsze przyjaźnie między zwierzętami. Gdy zdarzają się one między osobnikami tego samego gatunku, budzą zdziwienie, ale gdy serdeczna miłość i poświęcenie zabija przyrodzone antagonizmy i wrogość, podziw ustępuje miejsca sza-

cunkowi dla nieznanej potęgi. W ten sposób Stwórca przemawia do nas językiem, który nie może być dla nas niezrozumiałym.

W ogrodach zoologicznych i menażerjach można często oglądać suki karmiące dzieci drapieżców. Łatwo tu jednak zauważyć brak miłości macierzyńskiej, chociaż mamki spełniają swój obowiązek z poświęceniem, pozornie bawiąc się z małemi, pozwalając się tarnosić i męczyć. Wewnętrzne, nietylko instynktowne uczucie odrazy, a nawet strachu przed małemi innego gatunku nie pozwala rozbudzić się miłości. Inaczej mają się rzeczy, gdy suki karmią młode wilki i lisy. Podrzuciłem kiedyś suce pomiędzy jej potomstwo młodego geparda. Adoptowała go, to zn. pozwoliła mu ssać, myła go i pielęgnowała, jednakże nigdy nie bawiła się z nim, jak z własnymi dziećmi.

W najstaranniej nawet redagowanych rocznikach zoologicznych daremnieby szukać rozpraw na temat swoistego życia zwierząt podzwrotnikowych i arktycznych, żyjących na wolności. Szczególnie pomija się ich życie uczuciowe, a tymczasem, właśnie tu naukowiec-zoolog najwięcej miałby sposobności do studjowania „duszy” zwierzęcej.

„Dusza” zwierzęcia! Zaprzeczają jej istnienia! Na czem oparta jest ta teoria?

Na tem podobno, że brak zwierzęciu uczucia skruchy! Skąd się jednak wzięło podobne twierdzenie i jakimi dowodami można je poprzec? Dlaczego zwierzę okazywać ma skruchę? Wszystko, co robi, sprowadza się wyłącznie do instynktów samozachowawczych. Zwierzę morduje, aby zdobyć pożywienie lub zniszczyć w walce przeciwnika. Prawie nigdy z krwiożerczej chęci morderstwa.

Że zwierzęta domowe odczuwają skruchę, mogą poświadczyć tysiące właścicieli kotów i psów.

Zwierzę ma „duszę“! Stwórca mu ją dał podobnie, jak i człowiekowi.

Jaskrawe przykłady, które nietylko wskazują, ale i dowodzą istnienia „duszy“ zwierzęcej, podaję poniżej. Nie gołosłowne twierdzenie, ale gruntowna obserwacja przytoczonych faktów będą mówiły same za siebie.

IX

Żaba rogata „Itania“ i termity

Ciekawy obserwator znajduje w świecie zwierzęcym niewyczerpany materiał do studjów. Gdy uda mu się uchylić choćby rąbka tajemnicy, ogarnia go podziw i zdumienie.

Wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju było moje pierwsze spotkanie z brazylijską żabą rogatą „Itania”.

Dwa i pół miesiąca już torowaliśmy sobie z uporem i trudem drogę poprzez gęstwiny południowej Brazylii.

Z S. Pedro de Alcantara w prowincji Parana przeprowaliśmy się w dalszym ciągu wzdłuż spławnej w nielicznych tylko punktach Rio Iva-hy poprzez gęstą, nieprzebytą puszcze.

Nadszedł wieczór i jeszcze przed zachodem słońca rozbiliśmy w zacisznym miejscu na skraju lasu w pobliżu wybrzeża namioty. Zawrzała gorączkowa praca, wszystkim bowiem pilno było do spoczynku.

W mig stanęły namioty, zapłonęły ogniska, nadto przy pomocy prowizorycznych filtrów z grubego żwiru wzięto się do oczyszczania gęstej, zamulonej wody z rzeki.

Kąpiel uznałem za zbyt ryzykowną, kazałem się więc przez kwadrans polewać wodą z kubłów, z których pojono nasze zwierzęta. Brudni zawsze Indianie nie odczuwali potrzeby mycia.

Konie pasły się swobodnie, skubiąc soczyste trawy i kwiaty.

W prastarych drzewach szumiał wiatr, usypiając nadwątłone nerwy i mięśnie. Ponad na-

szemi głowami unosiły się z piskiem wspaniałe, barwne ptaki, którym zakłóciliśmy spokój. Wielkie jaszczurki zmykały, gdy tylko światło ogniska zajrzało do ich kryjówek. Z pewnością gdzieś w pobliżu czatował jaguar lub puma, nie brak też było węży-olbrzymów.

Dość głośne, swoiste rechotanie, jakgdyby odgłos zachrypniętego kruka, obudziło mnie ze snu. Krzyki jednakże dochodziły nie z góry, lecz z zarośniętej trawą ziemi.

Wzbudziło to moją ciekawość.

Czyżby w trawie czatował jakiś ptak-szkodnik?

A może wpadł w paszczę jakiegoś drapieżcy i wołał o pomoc?

Nie, za głośne, za silne były to krzyki.

Udałem się na poszukiwania. Uszedłem zaledwie kilka kroków, gdy rozchyliwszy gałęzie jakiegoś krzaka, zaspokoilem mą ciekawość. Spotkałem się oko w oko z najciekawszym i najrzadszym okazem z kategorii niższego rzędu zwierząt egzotycznych.

Na gładkiej, pokrytej nielicznymi liśćmi ścieżce siedziało coś nakształt groteskowej dziwacznej jaszczurki. Stworzenie to miało około dwudziestu centymetrów długości i co najmniej tyleż szerokości. Cała pstra powierzchnia jego ciała

usiana była mnóstwem rożków i ono to — to pstrokate stworzenie — wydawało owe wprowadzające w błąd głosy, które w tej chwili brzmiały jak pisk małego dziecka. Zdumienie moje nie miało granic, gdy dostrzegłem, że wokół rogatej żaby rozgrywał się śmiertelny bój dwóch rodów olbrzymich mrówek, termitów. Jednakże — wskazuję odległość dosyć dokładnie — w obrębie dwudziestu centymetrów od krzykacza teren był pusty. Ani jedna mrówka tam nie zbłądziła. Nawet ranni i inwalidzi wojenni, którzy zabłąkali się w wolne miejsca, zawracali natychmiast, gdyż milszy im był tumult walki, niż bliskość drącego się wniebogłosy krzykacza. Koniec okrutnej walki był już bliski; większa część walczących poza żabą termitów już rejterowała, ścigana tylko czas krótki, podczas gdy zwycięzcy raz za razem zadawali wrogom ostateczne ciosy, ciągnąc za sobą jeńców.

Podziw wzbudza organizacja walki u termitów. Kolumnami, pod dowództwem wyższych i niższych oficerów i podoficerów, atakują się przeciwnicy i to jest początek krwawej rozprawy. Podziw obserwatora jest bezgraniczny, gdy zauważy, jak sprawnie działają poszczególne oddziały. Na miejsce zmiażdżonych przez wrogów ofiar występują natychmiast gotowe do walki rezerwy.

Walczące termity podobne były do siebie jak dwie krople wody i godne jest podziwu, że przeciwnicy nie pomylili się nigdy i zawsze odróżnili wroga od swego. Polega to przypuszczalnie na różnych zapachach u poszczególnych rodów, gdyż żadnych zewnętrznych różnic nie było. Nawet najdokładniejszy mikroskop nie wykazałby żadnych znaków szczególnych, żadnych najdrobniejszych choćby odchyień od zasadniczej budowy i barwy.

Co teraz nastąpiło, było jeszcze ciekawsze. Opróżniony wokół rogatej żaby teren zajęli zwycięzcy, a żaba, przeskoczywszy w kilku susach mrówcze wojska, kierowała się ku mnie i w tym momencie została schwytana.

Nie wiem dotąd, czy to strach i przerażenie wywołały ze strony żaby ten hałaśliwy akompanjament, czy krzyk żaby miał zaognić może walkę?

Zagadki tej nie potrafię rozwiązać. Nazajutrz i dni następnych często umieszczałem żabę w miejscach, po których tłumnie uwijały się mrówki, i zauważyłem, że przygląda im się obojętnie. Raz jeden tylko wzięła kilka sztuk na język, połknęła i — czem prędzej wypluła.

Niejednokrotnie jeszcze miałem sposobność obserwować rogate żaby.

Pewnego razu usadziłem swoją żabę pomiędzy dwiema wrogimi armjami mrówek, jednakże natychmiast z głośnym rechotem uciekła, a mrówki-olbrzymy całkowicie zignorowały jej obecność.

X

Osobliwości z życia żab

Tylko nieliczni badacze-specjaliści interesują się żabami, gdyż zakłócające spokój krzykliwe te twory więcej budzą niechęci niż zaciekawienia.

Prawie we wszystkich zamieszkanym okolicach znany jest ten donośnym, ale mało melodyjnym głosem obdarzony śpiewak natury. Żaby nie budzą jednakże nigdy takiego wstrętu, jak jaszczurki. Często są one zabawne, a nawet — o czem wiedzą tylko nieliczni — wysoce pożyteczne i interesujące. Dzieci, a zwłaszcza chłopcy, prawie nigdy nie boją się żaby. Zielone żabki są ogólnie lubiane i nie brzydzą się nimi nawet kobiety.

W suchych zaroślach afrykańskich pospolite tam żaby ropuchy mieszkają razem z mnóstwem innych zwierzątek.

Odkryłem kiedyś zasnutą pajęczyną dziurę

w pniu drzewa. Przez ciekawość uchyliłem niewielkiej zasłony i oświetliłem otwór. Ku memu największemu zdumieniu ujrzałem tam dwie myszy, tuż siedziały dwie żaby, a nad niemi, w zasłoniętej od zewnątrz zeschniętym konarem dziupli, sowa obok wielkiego pajaka. Całe towarzystwo było pogrążone w śnie zimowym.

Zdziwiłem się, widząc żaby w całkowicie suchej okolicy, ale w większe jeszcze zdumienie wprowadziło mnie towarzystwo myszy, które wszak w ogólności nie okazują żabom zbyt sympatji.

Zastanowiło mnie też zgodne pożycie sowy z pajakiem. W późniejszych latach niejednokrotnie badałem miejsca zamieszkania sów i nigdy w ich pobliżu nie znalazłem pajaków ani pajęczyn.

Zgodne pożycie tylu wrogich sobie istot rozbudziło moją ciekawość.

Czyżby zima czy też susza, która w tamtych okolicach zastępuje lato, łagodziła przyrodzone nienawiści?

Znowu stanąłem wobec niezgłębionej tajemnicy natury. Postanowiłem nie spuszczać zwierząt z oczu. Przyszło mi to z łatwością, gdyż obozowaliśmy w pobliżu. Ostrożnie opuściłem pajęczą zasłonę i zakryłem nią otwór. Jednakże,

zajęty innemi sprawami, dopiero po paru dniach przypomniałem sobie niezwykle towarzystwo.

Ostrożnie uniosłem siatkę i przyjrzałem się sowie, pająkowi, myszom i żabom.

Mądrze i tajemniczo zerkąła ku mnie sowa, gdy oświetliłem wnętrze drzewa; zdawało mi się, że chciała zwinętemu w kłębek pająkowi coś szepnąć. Pochyliła głowę nabok i rzuciła mi pytające spojrzenie.

Nienaturalnie wielkie wydały mi się te oczy. A jaka mądrość spoczywała w ich głębi! Gdybyś znała ludzki język, sowo, ileż ciekawych rzeczy ze świata zwierzęcego mogłabyś opowiedzieć.

Czem się ona odżywia? Czyżby pień miał jeszcze jakieś wyjście, którego nie zauważyłem? Jakiś otwór, przez który nocą wychodzi na żer? Czemu zostawia w spokoju tak łakomy kąsek, jakim są dla niej myszy? Dlaczego ich nie pożera? A dalej, te dwie żaby. Jakże się stało, że w ciepłym łóżeczku śpią zgodnie obok myszy?

Myszy i żaby. Cóż za przeciwieństwo!

Zaczęliśmy śledzić. Jeden z moich ludzi odkrył istotnie na wysokości sześciu metrów nad poziomem dziupli, u nasady tęgiej gałęzi, otwór wielkości pięści, który to otwór służył sowie do komunikacji ze światem zewnętrznym. Obumarła

gałąź znalazła oparcie na wielkim głazie. Olbrzym ten, rozparty w gęstych zaroślach, należał do osobliwości kniei afrykańskiej. Otaczająca ziemia i obfite mchy udzielały wilgoci nie tylko głazowi, ale i gałęzi, i tylko dlatego zimowały w niej żaby.

Nie przypuszczałem jednakże, żeby myszy były zwolenniczkami wilgoci. Po upływie trzech tygodni całe przebudzone towarzystwo wracało do życia. Ciekawy byłem, co też teraz nastąpi.

Pierwsze zbudziły się myszy, które odsunawszy żaby nabok, zajęły się własną toaletą. Pocieszny był zapał, z jakim czyściły się i szorowały. Żaby wciąż jeszcze spały. Po czterech dniach poruszyły się i wybałuszyły głupie ślepia na myszy. Teraz dopiero uświadomiły sobie, w jak przykrem przebywały sąsiedztwie. Od tej chwili drogi ich musiały się rozejść. Z lęklwym piskiem odsuwały się myszy od swych towarzyszek.

Każde poruszenie żab wywoływało krzyk i widoczny lęk myszy.

Przypuszczenie moje, że teraz sowa rzuci się na myszy i spożyje je na śniadanie, okazało się mylne. Zdziwienie moje wzrosło niepomieranie, gdy ptak nocy wyjrzał z górnego otworu drzewa

i z całą namiętnością zabrał się do obgryzania kostek małej, uwiązanej na sznurku myszy, w którą zaopatrzyłem się w tym celu.

Stałem przed zagadką. Czemu sowa nie tknęła myszy, które miała pod ręką, natomiast rzuciła się na pierwszą, spotkaną po opuszczeniu dziupli?

Czyżby sowa z myszkami w drzewie zawarła przymierze i zobowiązała się darować im życie? Stanowczo istniał jakiś pakt, gdyż sowa połyka też chętnie pająki, a jednakże w tym wypadku zносиła w najbliższym sąsiedztwie pracowitego tkacza, a i później nie wyrządziła mu żadnej krzywdy.

Przykrego rozczarowania doznałem jedynie ze strony żab. Wydały mi się one najniewinniejsze, tymczasem najprędzej zapomniały o przyjaźni z pająkiem i myszami.

Zaledwie mysia mama, która właśnie powiła pięcioro potomstwa, ułożywszy je, wyruszyła z małżonkiem po żywność, obie żaby rzuciły się na różowe maleństwa, spożywając je z zadowoleniem. Nadszedłem w chwili, gdy zbóje i gwałciciele domowego ogniska raczyli się ostatniem bezbronnem stworzonkiem. Z płaczem i lamentem mysz-matka biegała wokół gniazda, daremnie szukając dzieci, podczas gdy złoczyńcy pa-

trzyli na jej rozpacz, ustroiwszy się w najniewinniejsze pod słońcem miny.

Do jakich nیکземności prowadzi jednak głód! I ludzie też mordują, aby go zaspokoić.

Następnego dnia jedna z żab znikła, a po dwudziestu czterech godzinach nie było już i drugiej.

Teraz znów sowa z miną niewiniątka siedziała w swej dziupli. Podejrzewam ją, nie bez słuszności, że dla wyrównania rachunków obie żaby zmiotła ze świata. Dobrze im tak, nie poprzestały bowiem na zamordowaniu pięciu mysich noworodków, lecz pożarły również domowego dozorcę, pająka.

Następnego dnia myszy się wyprowadziły. Gniazdo, w którym straciły dzieci, zbyt bolesne budziło w nich wspomnienia.

XI

Żaby i termity

Termity są jedną z najstraszliwszych plag okolicie podzwrotnikowych. Podróżnicy, a zwłaszcza mieszkańcy terenów przez nie opanowanych, mogliby niejedno na ten temat powiedzieć.

Termity są najnikczemniejszymi małymi be-

stjami na ziemi. Są one, o ile nie występują w zbyt wielkich ilościach, dokuczliwe i przykre i psotami swemi doprowadzają człowieka, do którego domostwa wedrą się niepostrzeżenie, przez nikogo niezauważone, do rozpacz. Gdy zaś zjawią się w wielkiej gromadzie, człowiek staje się zupełnie bezradny i zmuszony jest uciekać. Jest to jedyny ratunek.

Często dostrzega się szkodę, którą wyrządzili wandale, dopiero biorąc zniszczony przedmiot do ręki. Nazewnątrz wydaje się on nietknięty, ale całe wnętrze jest wyżarte i rozsypuje się w próchno.

Nie nie da się ukryć przed temi nienasyconemi owadami; ich zmysł powonienia musi być niewiarogodnie rozwinięty. Mam wrażenie, że węszą na odległość mil i poprzez stalowe pancerze. Nieostrzegalnemi dla oka ludzkiego drogami docierają do upatrzonego przedmiotu, niszcząc jego wnętrze.

W kraju Somali zamieszkałem w małym domku, wyczyszczonym uprzednio dokładnie z wszelkiego rodzaju robactwa.

Na półce stał hermetycznie zamknięty neseser, nie przepuszczający wody ani kurzu. Były tam ukryte ważne mapy orientacyjne, dokumenty, kilka książek i polowa luneta. Zaznaczyć



Rogata żaba Itania.



Kobra w postawie atakującej.

jeszcze wypada, że dwumetrowej wysokości półka sporządzona była z twardego drzewa.

Nikt z mieszkańców domu nie zauważył obecności termitów. Nawet pod budynkiem, wspartym na mocnych palach, nie było żadnego po nich śladu.

Po kilkutygodniowym pobycie wyruszyliśmy w głąb kraju. Trzeba było wszystko przepakować, a między innymi i skrzynkę z mapami. Jakże bezgranicznie byłem wściekły, gdy otworzywszy ją, ujrzałem tylko skrawki papieru i włókien. Pomędzy nimi walały się soczewki i do cna obgryzione mosiężne rury lornety oraz kilka drucianych spinaczy, pochodzących od książek i kajetów.

Jeżeli jeszcze dodam, że wewnętrzne i zewnętrzne ściany skrzynki obite były blachą, a wszystkie szpary zalutowane, łatwo sobie wyobrazić, ile trudu kosztowało małych wandalów przedarcie się do środka i dokonanie dzieła zniszczenia. Jedno ze spojeń było nieco uszkodzone, powodując na zewnętrznej ścianie rysę nie dłuższą nad pół milimetra, a na blaszanem obiciu wewnątrz odkryłem dopiero po długim poszukiwaniu maleńką szparkę, którą przedostawały się termity.

Zkolei zainteresowało mnie, w jaki sposób termity dostały się do domu.

Sprytnie, niezwykle chytrze to urządziły.

Po kilku godzinach dopiero udało mi się odkryć drogę, którą przybyły, i gniazdo, z którego wyruszyły na rozbój.

Gniazdo znajdowało się nie w domu ani pod domem, ale w odległości dwunastu kroków od budynku pod skrzynią, która kiedyś stała na dwóch kołach, była bowiem czemś w rodzaju wolantu. Wokół oplątały ją przeróżne zielska i chwasty. Kryjówka idealna.

Z tego to schronu mrówki przeprowadziły na głębokości dwudziestu centymetrów tunel do mego domu. Na górę przedostały się nie po słupach, gdzie mogły być łatwo dostrzeżone, ale w samym rogu wywierciły w ścianie czyściutki gładki kanał o przekroju trzech milimetrów i tą drogą dostały się na górę.

Należałoby przypuszczać, że w dalszym ciągu przegryzły się przez podłogę, a następnie podążyły w górę półki. Otóż nie. Te sprytne kanalje wiedziały doskonale, że gdyby za dnia pokazały się w izbie, zostałyby dostrzeżone i przegnane. Przeto wybrały drogę poprzez jedną z podpórek półki. Ale i tu okazały przebiegłość nielada. Nie tknęły przedniej podpórki, ale wybrały tylną,

przymocowaną do ściany. Przewierciły równy kanał o średnicy jednego milimetra i poprzez uszkodzone miejsce blaszanej powłoki przedostały się do skrzyni, przebyły w drzewie przestrzeń czterdziestu centymetrów, a dotarwszy do skazy strony wewnętrznej, przebili i blachę, którą skrzynia była wybita, przystępując z zapalem do dzieła zniszczenia. Pracowały rzetelnie: z map i kartonów pozostały tylko strzępy. Dziwiłem się — przyznam to szczerze — że nie atomy. Nawet na ostrych kantach mosiężnych spojeń całkowicie zniszczonej lunety znać było niszczący wpływ mrówczego kwasu. Po dokonaniu dzieła zniszczenia mrówki powróciły do swego gniazda.

Postanowiłem zemścić się straszliwie i wytepić doszczętnie całą bezczelną gromadę, która naraziła mnie na tak dotkliwe straty. Miesiące całe mogłem teraz czekać na nowe plany i mapy! Straty czasu nie da się już powetować!

— Zemsty, zemsty! — wołało wszystko we mnie. — Nigdy więcej ci wandale nie będą już szkodzić nikomu!

Przedewszystkiem kazałem odciąć długi tunel, który prowadził do domu, następnie cały budynek otoczyć półmetrową fosą, aby w ten sposób uniemożliwić wszelką ucieczkę. Następnie budynek i kanał posypano wapnem i oblano wo-

dą. Gdy wapno zaczęło kipieć, ze wszystkich stron zbiegli się mali złoczyńcy, szukając ratunku. Usiłowania ich były daremne. Kazałem wrzucać do rowu coraz to nowe kawały wapna i wlewać weń świeże strumienie wody i w ten sposób utopiłem, a raczej spaliłem wszystkie mrówki. Żadnemu z małych szkodników nie darowałem życia. Wszystkie skończyły swą doczesną wędrówkę we wrzącym wapnie.

Gdy dnia tego wieczorem odszukałem krematorium mrówek, ujrzałem ku swemu wielkiemu zdziwieniu wokół miejsca kaźni sporą gromadkę pstrych ropuch z pyszczkami zwróconymi ku wapnu. Odprawiały one z nabożeństwem piękną zresztą koncert i umknęły, gdy się zbliżyłem. Gdy się cofnąłem i ukryłem, żaby powróciły na dawne miejsca, ustawiły się ponownie wokół grobu mrówek i rozpoczęły koncert na nowo.

Trudno mi osądzić, czy były to pienia żałobne, czy też chóry radosne. Zbyt mało na to jestem wyszkolony muzycznie, jednakże zdaje mi się, iż nie zbłądzą, twierdząc, że radość, a nie smutek sprowadziła nad kanał tych śpiewaków.

Ciekawe, że jeszcze przez ciąg wielu wieczorów zbierały się żaby, koncertując nad tą zbiorową mogiłą.

W następstwie obserwowałem specjalnie miej-

sea, w których zbierały się tłumnie mrówki, i nigdy w bliskości ich siedzib nie dostrzegłem żab ani jaszczurek.

Nie zauważyłem też nigdy zbójeckich napadów termitów na żywe jaszczurki lub żaby; nawet ich padlinę pozostawiały nietkniętą. Nie jady też martwych salamander. Rzucały się jedynie na zdechłe węże.

Jakie są przyczyny tych dziwnych zjawisk, nie wiem, wiadomo mi tylko, że awersja tych, tak krańcowo i z natury różnych stworzeń polega na wzajemności. Poświadczyły to moje wielokrotne eksperymenty.

Rzuciłem kiedyś żabę w wielkie wędrujące mrowisko. Przerażona i zaskoczona nie ruszyła się z miejsca, na które upadła, a mrówki uciekały w prawo i w lewo i tylko nieliczne odważyły się przeleźć przez żabę.

Ktokolwiek przebywał czas dłuższy wśród afrykańskich lub azjatyckich stepów i lasów, mógłby niejedno o tych trudnych do zwalczania dręczycielach opowiedzieć.

Wobec tych drobnych a nieznośnych stworzeń wielkie mrówki są zupełnie niewinne.

Niejednokrotnie olbrzymie masy wędrujących mrówek zmuszały nas do pośpiesznego opuszczenia obozu albo domostwa. Niszczą one tak

gruntownie wszystko, co znajdują na swej drodze, że często ginie całkowicie ślad przedmiotów, które padły pastwą ich żarłoczności. Dość często się zdarza, że przegryzają pale drewnianych domków, powodując runięcie budynku.

Godne podziwu są budowle i walki tych małych, a jednak jakże inteligentnych stworzeń.

Mrówki wszelkich gatunków są wyszkolonymi napastnikami i wojakami. Ofiary są często dwa razy większe od atakujących.

Przyjrzyjmy się na przykład małej, czerwonej afrykańskiej mrówce, obdarzonej wyjątkowo ostrym, silnym zgryzem. Zdziwiająca jest, z jaką szybkością małe to stworzonko przegryza wszystkie przeszkody, tamujące mu drogę. Przytoczę tu jedno tylko zdarzenie:

Rozłożyliśmy się obozem na skraju jakiegoś lasu. W namiocie było duszno i gorąco, wobec czego rozciągnąłem skórę zebry na ziemi pod gołym niebem, uprzątawszy uprzednio teren pod posłaniem. Nie upłynęła jeszcze minuta, gdy czerwone mrówki przedarły się przez zasypane przejścia oraz przez skórę zebry.

Zaledwie wydostały się na światło dzienne, usiadły na tylnych łapkach, gładząc przednimi swe żarłoczne ryjki, co przywiodło mi na myśl kręcących wąsy oficerów węgierskich.

Nad wyraz ciekawem widowiskiem jest napad hordy czerwonych mrówek na gromadę dwa razy większych mrówek czarnych. Jak na komendę czerwone rzucają się na przeciwniczki i z błyskawiczną szybkością każda z napastniczek wywraca jedną z czarnych mrówek na grzbiet, czyniąc ją w ten sposób zupełnie bezbronną. Czerwone mrówki rzucają się nawet na duże chrabąszcze i na pająki i — co dziwniejsze — zwyciężają je.

Niemniejszym bandytą jest mrówkolew. Śledzi on swe ofiary z ukrycia i biada temu, nawet uskrzydłonemu owadowi, który w pobliżu niego opuści się na ziemię. Jednym susem mrówkolew znajduje się na grzbiecie swej ofiary, wgryzając się w jej głowę.

Przyglądając się niejednokrotnie pilnej pracy mrówek, musiałem zauważyć, jak celowo i pewnie kroczą one swą drogą, spełniając zamierzenia gromady. Zaobserwowałem, że termity wznoszą budowle o charakterze twierdz-kryjówek. Nie rozumiem tylko, dlaczego nieraz w popłochu opuszczają swoje schrony, chociaż niema w pobliżu nieprzyjaciela. Potem już nie wracają do dawnych kryjówek, lecz rozpoczynają opodal budowę nowych.

Zabawny jest widok dwudziestu albo i więcej

takich twardych jak cement wzgórków, ustawionych pod rząd, jeden przy drugim.

Gdy w czasie mych wypraw rozbijałem namioty w pobliżu mrowiska, a miałem apetyt na świeży chleb, wówczas taką budowlę mrówczą, o ile była zamieszкана, polecałem wykadzić i otrzymywałem wspaniałą piec.

W mych podróżach po Afryce spotykałem krajowców, którzy termity uważają za specjał.

Mrówki zamieszkują nietylko wzniesione przez siebie budowle, lecz także obierają nieraz za swą siedzibę zmurszałe pnie. W rysach i szczelinach kory czyhają bezustanku na łup.

Powszechnie jest znane, że afrykańska czarna mrówka trzyma sobie pluskwę drzewną, jako dojrłą krowę, jednakże nie wszyscy wiedzą, że słabe pluskwy, które dają za mało soku, są prosto mordowane.

XII

Dziecko przybrane

Niejednemu przyjdzie na myśl przysłowie, jak to się słonia robi z komara, gdy od drobnej mrówki przejdę odrazu do najpotężniejszego zwierzęcia — słonia.

W dżungli i kniei nasuwają się uważnemu badaczowi świata zwierzęcego, zarówno jak i roślinnego, tysiące przedziwnych, cudownych niemal zjawisk. Przed niektórymi z nich staje bezradny, daremnie szukając wyjaśnienia.

I tu raz jeszcze powtórzę: dobrze, że nie umiemy zgłębić wszystkich tajemnic natury, pozrywać wszelkich zasłon. Gdyby to było możliwe, zabrakłoby na świecie wszelkich złudzeń.

Instykt macierzyństwa występuje u zwierząt o wiele silniej niż u ludzi. (Na pierwszy plan wysuwają się tu czworonożne zwierzęta ssące). Wszelkie ludzkie troski obce są zwierzętom, a zwłaszcza osobnikom rodzaju żeńskiego. Wszystkie ich instynkty i myśli skierowane są wyłącznie na dziecko. Do dziś dnia nie pojmuję, dlaczego uczeni badacze, a zwłaszcza zoologowie i biologowie, nie osiedlają się na stałe w odległych strefach i nie trzymają ręki na pulsie wydarzeń w królestwie mniej znanych zwierząt.

Przeważnie uczeni i badacze tylko sporadycznie podejmują podróże i po upływie roku lub dwóch lat wracają z wielką ilością naogół niedokładnego materiału. Niedokładnego, ponieważ uczeni owi zbyt wiele rzeczy naraz obserwują i dlatego poświęcają za mało czasu i uwagi poszczególnym gatunkom zwierząt. Za krótki prze-

dewszystkiem czas poświęcają pobytowi na terenach doświadczalnych.

Od czasu do czasu w ucho wpada nazwisko uczonego, który długie lata spędził w krajach podzwrotnikowych; jakaż jednak stąd korzyść? Długie, naszpikowane łaciną szpalty szczegółów, które mają być może wartość naukową, ale dla przeciętnego śmiertelnika są zupełnie niezrozumiałe. Całość referatu podana jest przeważnie w tak nudnej i niestrawnej formie, że nikt go nie może doczytać do końca.

Byłoby to z wielką korzyścią dla nauki, gdyby państwa w różnych podzwrotnikowych okolicach utrzymywały stale uczonych-specjalistów, którzy drogą długoletnich obserwacyj zbieraliby bezcenne wprost materiały. Obok studjum naukowego trzebaby wydawać łatwe, zrozumiałe i ciekawie napisane publikacje dla szerszego ogółu.

Naukowiec, który podejmuje jedno- lub dwuletnią wyprawę, może w tym krótkim czasie przestudjować poszczególne gatunki zwierząt, pod warunkiem jednak, że będzie się trzymał ograniczonej przestrzeni, nie zaś koczował z miejsca na miejsce. Wszystkie bowiem w taki sposób zdobyte rezultaty są niedokładne. Tylko wieloletnia obserwacja jednego gatunku zwierząt może dać obraz odrębnych od naszego i niezwykłych zja-

wisk w królestwie zwierząt. Krótki przeciąg czasu nie pozwala na dokładne poznanie jednego zwierzęcia, a ponieważ delegaci naukowych instytucyj zajmują się jednocześnie wieloma żyjącymi na terenie ich badań stworzeniami, więc rezultaty ich badań muszą być względne i problematyczne.

Wiele materiału zebrano w związku z badaniem objawów macierzyństwa u zwierząt, pisano też już niejedno o dzieciach przybranych. Pisano rzeczy prawdziwe i zmyślane. Zwłaszcza łatwo było o błędny sąd, gdy człowiek domowemu zwierzęciu podsuswał i narzucał potomstwo innych gatunków. Rzadko kiedy matka rodu przyjmuje dobrowolnie niemowlęta innego gatunku.

Bardzo często, jakkolwiek niezawsze zgodnie z prawdą, opisywano miłość słońic do ich matych. Nigdy jednakże nie doszła nas jeszcze wiadomość, że te troskliwe, pełne miłości matki-olbrzymki dobrowolnie adoptują obce zwierzęta, zastępując im matki i karmiąc je własną piersią.

Niezwykłe to zjawisko oglądałem na własne oczy.

Dni uciążliwego marszu mieliśmy już za sobą. Przebyliśmy stepy Athi¹ w czasie suszy, która nastąpiła w tym roku o wiele wcześniej niż za-

¹⁰ W Afryce, na wschód od jez. Wiktorji.

zwyczaj. Musieliśmy długie dni bez kropli wody kroczyć po leśnych bezdrożach, konając formalnie z pragnienia i kalecząc się boleśnie długimi, ostremi kolcami głogu.

W ciągu dziewięciu okropnych dni raz jeden tylko trafiliśmy na dół z wodą. Ale była to cuchnąca, pełna szlamu woda, która nie dała się nawet przefiltrować i okropnego swego zapachu nie utraciła po zagotowaniu.

Pragnienie! pragnienie!

Kto na własnej skórze nie doświadczył męczarni pragnienia w chwilach tropikalnego skwaru, ten nie ma pojęcia o wytrzymałości ludzkiego organizmu.

Świadomość zupełnego braku wody tysiąc-krotnie potęguje pragnienie, doprowadzając człowieka najpierw do szaleństwa, a potem do stanu zupełnej apatii, która mąci rozum i wybawienie ukazuje w śmierci.

Nawet w klimacie umiarkowanym pragnienie nie należy do przyjemności.

Najokropniejsze męczarnie przeżyłem kiedyś w pustyni Gobi. Jedenaście dni byliśmy bez wody, jedenaście długich dni. A jednak każdy dzień ma dwadzieścia cztery godziny, godzina sześćdziesiąt minut i każda minuta tyleż sekund. Trudno sobie wyobrazić, cośmy przeżyli!

Z sekundy na sekundę wzmagало się pragnienie i jak ogień palił słońawy piasek Gobi. Piasek, który przenikał wszystkie pory, parzył oczy, drażnił podniebienie, język wysuszał na słomę i powodował pęknięcie warg. Zdawało nam się, że wchłaniamy czystą sól, chociaż pył ten w istocie wcale nie jest tak słony.

Apatycznie brnęliśmy naprzód: ludzie i zwierzęta. Straciłem cztery najlepsze psy, najwierniejszych i najodważniejszych przyjaciół. Patrzyłem, jak zwolna konały, a mimo to długo nie mogłem się zdobyć na skrócenie ich cierpień. Siódmego wreszcie dnia dwom z nich użyczyłem łaski strzału. Moi ludzie wypili krew biednych zwierząt, ja nie mogłem pójść za ich przykładem. Dwa pozostałe psy kazałem następnego dnia zabić Mongołom.

Nigdy nie zapomnę Saksa, łaciatego owczarka, który ósmego dnia nie miał już siły się podnieść i patrzył na mnie swymi wiernymi, śmiertelnie smutnymi oczami, jakgdyby prosił o zbawienie. Nie mogłem już płakać, tylko serce ścisnęło mi się bolesnym skurczem, gdy usłyszałem huk rewolwerowego strzału. Nie oglądając się, kroczyłem naprzód. Kudłatego owczarka Kusmara śmierć dosięgła w godzinę później.

Jedenastego dnia dobrnęliśmy do jakiejś rze-

ki. Straciłem wszystkie zwierzęta pociągowe, z wyjątkiem jednego wielbłąda, i połowę moich ludzi. Wszystkich zabrała mi okrutna pustynia Gobi.

Cała wyprawa była zmarnowana. Pragnąłem schwytać dzikiego wielbłąda. Dobre moje chęci spełżyły na niczem. W poszukiwaniu wody zgubiliśmy drogę, zabłądziliśmy.

Po jedenastu dniach bezprzykładnych cierpień wreszcie woda! Weszliśmy w wodę aż po kolana, wyżej — aż po biodra.

Baczność, uwaga! Najpierw zwilżyć wargi, potem język, nie pić odrazu.

Ach, raz jeden mieć usta pełne wody!

Powoli płyn sący się przez gardło.

Biada temu, kto po długim okresie niezaspokojonego pragnienia wypije za wiele. Może być pewny najokrutniejszej z chorób, t. zw. „kolki”, i śmierci. Zwolna tylko odwykły organizm przyzwyczaja się zpowrotem do płynu.

Pragnę jednakże dokończyć opowiadania o przebyciu stepów Athi.

Wreszcie dziesiątego dnia dobrnęliśmy do obfitujących w wodę terenów. Większość schwytanych zwierząt zdechła. Naznaczyłem kilkudniowy postój, wypoczynek dla ludzi i zwierząt.

Odżyliśmy. Prędko też przyszły do siebie zwierzęta. Tydzień cały spędziliśmy w dolinie, którą płynęło wąskie pasemko wody. Była to rzeka Towaki.

Mimo przerwy wypoczynkowej nie spędzaliśmy dni w hamakach ani na niedźwiedziach skórach. Codziennie, w towarzystwie kilku moich ludzi, badałem okolicę, wypatrując godnej schwywania zwierzyny.

Któregoś wieczora dwaj najdzielniejsi moi murzyni wrócili w najwyższym podnieceniu z odległej o kilka mil wioski i z przerażeniem w oczach opowiadali zasłyszane tam nowiny.

Wgórze rzeki, w lasach, które porastają oba jej brzegi, grasuje stado słońi z małemi, z których jedno pozbawione jest trąby.

Do fantazji w opowiadaniach murzyńskich byłem przyzwyczajony, to też nie przypisywałem im większej wagi, zapragnąłem jednak przyrzec się słońiom bliżej; może się zdarzy sposobność schwywania jakiegoś ładnego okazu. Cheiałem wypróbować własne szczęście i nazajutrz, wczesnym rankiem, wyruszyłem w towarzystwie sześciu moich ludzi.

Jak długo to było możliwe, posuwaliśmy się wyschniętem korytem rzeki. Upływała godzina za godziną, słońce wznosiło się coraz wyżej i pa-

trzyło na nas łaskawie. Szczęściem mieliśmy wody poddostatkiem; mogliśmy gasić pragnienie i odświeżać zmęczone członki.

Po sześciogodzinnym marszu zwrócił moją uwagę dobrze mi znany, charakterystyczny odgłos, który wydają słonie w biegu, puszczając w ruch swe potężne uszy, oraz grzmiące tony, niby pomruki nadciągającej burzy. Te odległe, słabe grzmoty zdradzają często miejsce pobytu słoni. Są to gazy harcujące w ich bezdennych kiszkach. Wiatr wiał ku nam, a więc pomyślny; wkroczyliśmy w zarośla i z dwoma ludźmi podsunąłem się bliżej ku miejscu, z którego dochodziły hałasy.

Należało działać ostrożnie, aby nie przestraszyć zwierząt i nie wywołać paniki. W takich bowiem wypadkach olbrzymy rozbiegają się we wszystkich kierunkach, tratując, co lub kogo napotkają na drodze.

Szczęście sprzyjało. Słonie nie podejrzewały naszej obecności.

Z małej wyniosłości obserwowałem składającą się z jedenastu osobników gromadę. Nie było pomiędzy nimi głowy rodu, w postaci starego słonia. Groźny ten pan zatrzymał się widocznie gdzieś w głębi lasu, jak to się zdarza najczęściej, zdala od rodziny.

Widziałem, jak obfitująca w kształty słońca usiłowała daremnie wyrwać drzewo z korzeniami i jak przyszła jej z pomocą druga. Wspólnymi siłami drzewo zostało wyrwane i obalone. Tego rodzaju rozrywkom słońce, gdy są najedzone, oddają się z zamiłowaniem.

Jeden z moich ludzi zwrócił uwagę na słońcę, pod której potężnym cielskiem między przednimi i tylnymi łapami stał; jak to jest w zwyczaju u tych gruboskórych olbrzymów, mały słoń-dziecko.

Młode to stworzenie nie było wcale podobne do innych słońiat: miało przedewszystkiem o wiele jaśniejszą sierść. Po chwili „małe” zwróciło się ku mnie „twarzą” i o mało, wbrew wszelkim wskazaniom ostrożności, nie wydałem okrzyku zdziwienia.

O ile zdołałem zauważyć, brakowało mu istotnie trąby, jednakże cień potężnego ciała matki nie pozwalał zaobserwować szczegółów. Wzmocniwszy oko szklami, poznałem, że miałem przed sobą nie małego słońca, lecz nosorożca.

Wydało mi się nie do pomyślenia, aby matka-słońca karmiła własną piersią nosorożca. Wy-miona słońca są małe, jakże więc mógł je ssać nosorożec, zaopatrzony w olbrzymie, jak wiadomo, wargi?

A jednak słońca adoptowała to cudze dziecko, otaczając je macierzyńską opieką: poganiała je trąbą, gdy pragnęła pójść naprzód, i nie spuszczała go z oka, gdy oddaliło się o kilka metrów. Daremnie dręczylibyśmy się pytaniem, w jaki sposób odbyła się ta szczególna adopcja. Sprawa ta pozostanie na zawsze jedną z najciekawszych tajemnic przyrody.

Być może, iż młody nosorożec-sierota pozbawiony został matki we wczesnem niemowlęctwie, i być może, że w tym samym czasie słońca straciła dziecko; zajęła się więc młodym nosorożcem, który w poszukiwaniu matki przypadkowo trafił na jej ślad i pozostał z nią w obawie samotności.

Może, może...

Nigdy jednak nie zdołałem zgłębić takich tajemnic przyrody. Nigdy! A wszelkie domysły na temat tak osobliwych wydarzeń pozostaną zawsze hipotezami, nieskończenie dalekimi od prawdy.

XIII

Kameleon

Niższym gatunkom zwierząt, do których zoologja zalicza gady, ryby i inne stwory żyjące w wodzie, z wyjątkiem ssaków, odmawia się za zwyczaj życia uczuciowego.

Do gadów zaliczamy wszystkie gatunki jaszczurek, węże, zmije i t. p. Chociaż stoją one znacznie niżej pod względem rozwoju od ssaków, niesłusznem byłoby odmawianie im całkowicie życia uczuciowego.

Wprawdzie życie ich sprowadza się wyłącznie do zaspokojenia potrzeb cielesnych, a przede wszystkim kieruje nimi instynkt zachowania gatunku, uważny obserwator dostrzeże jednak wiele ciekawych szczegółów w życiu uczuciowym tych stworzeń, tak niemiłych dla większości ludzi.

Bytowanie płazów i gadów z nielicznymi tylko wyjątkami upływa w tajemniczych ciemnościach, a często nawet w nieprzeniknionych mroczkach nocy. Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że istoty te, wyjąwszy kilka gatunków specjalnych, zaciekawić mogą tylko uczonych specjalistów.

Trudno byłoby zwalczyć uprzedzenie ludzi do zwierząt pełzających i wątpię, czy to wogóle kiedykolwiek nastąpi.

Wężom, jaszczurkom i ropuchom człowiek lękliwie ustępuje z drogi. Czynią to zresztą nie tylko ludzie, ale również wiele ptaków i ssaków. Liczne jednakże gatunki ptactwa nie boją się wcale zwierząt pełzających. Są ich wrogami, ni-

szczą wielkie ich masy i dbają o to, aby nie roz-
mnażały się bez granic. Zresztą życiowe siły sa-
mej przyrody zapobiegają ich zbytniemu roz-
rostowi.

Brehm, Darwin i liczni inni przyrodnicy
twierdzą, że szkody wyrządzane przez te zwie-
rzęta znacznie przewyższają korzyści, które przy-
noszą.

Pozwolę sobie wątpić o tem, wierzę bowiem
w panującą w naturze celowość.

Obserwacja tych, na tak niskim szczeblu roz-
woju postawionych zwierząt jest wielce utrud-
niona już z tego chociażby względu, że większość
z nich cały dzień spędza w ukryciu, w rozma-
itych dziurach, norach, jamach, pod kamieniami
i w piasku i dopiero po zachodzie słońca wy-
chyla się na świat boży.

Bezwątpienia nieobce im jest życie uczucio-
we, chociaż nie jest ono zbyt bogate i występuje
tylko w okresie łączenia się w pary.

Łatwiej jest śledzić zwierzęta dzienne. Uważ-
ny i sumienny, rozporządzający czasem i cierpli-
wością obserwator zauważy tu z łatwością, że
pomiędzy pełzającymi zwierzętami są gatunki
obdarzone mimo słabych bardzo czynności mózgu
życiem uczuciowym.

Obserwowałem trzy rodziny kameleonów i za-

uważyłem, że ostrzegają się one wzajemnie o grożącym niebezpieczeństwie. Żadne stworzenie nie ma tylu wrogów, co kameleon. Jest to specjał nielada, który w spisie potraw mieszkańców dżungli z pewnością grubo jest podkreślony.

Liczne zwierzęta żyjące w sąsiedztwie kameleonów polują na nie i pożerają je.

Ptaki drapieżne i bezbronne, jak również płazy, uchodzące za łagodne, i inne zwierzęta uganiają się za kameleonem. Dlatego dla celów obronnych natura obdarzyła go darem zmiany barwy, zależnie od barwy przedmiotu, na którym się znajduje w chwili niebezpieczeństwa.

Otóż to okrzyczane przez zoologów za żarłoczne i głupie stworzenie wie coś o życiu uczuciowem.

Miałem sam sposobność to stwierdzić.

W zagrodzie pewnego duchownego na Cejlonie znalazłem blisko pięć tuzinów kameleonów. Długo musiałem go przekonywać i prosić, zanim się zgodził mnie niemi uszczęśliwić. Przekonały go wreszcie nietyle pieniądze, ile moja obietnica umieszczenia tych rzadkich zwierząt w jednej ze świątyń europejskich.

Darwin, zarówno jak i Brehm, piszą: „Dostreżony kameleon jest kameleonem zgubionym”. Twierdzenie to zgodne jest z prawdą, gdyż

jest to łakomy kąsek dla wszystkich prawie zwierząt. Jaki nektar tkwi w mięsie kameleona i nęci, nie zbadałem, gdyż nigdy nie mogłem się zdobyć na zabicie któregoś z tych zwierząt ani tem bardziej na zjedzenie go w stanie surowym. Nie widziałem też nigdy, aby surowym kameleonem żywili się krajowcy. Kameleony nie żyją zgodnie, często prowadzą ze sobą zacięte walki. Otóż gdy jeden z kameleonów poniósł porażkę i został śmiertelnie ranny, ulżyłem jego cierpieniom i kazałem połowę upiec, a drugą ugotować. Z trudem zdobyłem się na skosztowanie tego przysmaku i muszę wyznać, że był obrzydliwy. Moja służba nie tknęła tego mięsa.

Kameleon ma zdolność przybierania jednocześnie trzech lub czterech różnych kolorów. Gdy strona zewnętrzna przybiera kolor zielonego liścia, środkowy pas brzucha, biegnący od pyszczka do ogona, staje się na wzór i podobieństwo łodygi ciemnozielony, dalsze części brązowe jak pień, głowa zaś żółta jak kwiat kwitnący obok.

W zwierzyńcu na Cejlonie miałem dość czasu, aby zająć się życiem uczuciowem tych gadów.

W kącie rozległego placu kazałem grupę młodych drzew otoczyć i przykryć drucianą siatką. W tej siatce umieściłem kameleony. Wokół otoczone były wrogami. Zwierzyniec, niby arka

Noego, daje przytułek niezliczonej ilości zwierząt, między którymi poważny odsetek stanowią smakosze, obdarzające kameleony większą, niż im to było miłe, uwagą. Jednakże drucziane siatki strzegły. Dzień i noc trwało oblężenie. Łakomczuchy czepiały się siatki, siadały na jej szczycie, ale przeczuwające niebezpieczeństwo kameleony miały się na baczności i unikały górnych gałęzi, lokując się w samym środku korony, wśród niedostępnego dla napastników listowia.

Jedna z małp brazylijskich „miriki”, niemięsożerna z natury, ale zainteresowana widocznie szczególnymi stworzeniami, wniosła pewien ruch międy znane z lenistwa zwierzęta.

Poza krokodylem nie znam zwierzęcia tak ociężałego, jak kameleon. Może on długie godziny siedzieć nieruchomo na gałęzi, czepiając się jej kończynami i ogonem; tylko oczy biegają wciąż niespokojnie, a całe ciało trwa w zupełnym bezwładzie. Nieprawdopodobnie długi język jest w ciągłym ruchu, w pogoni za łupem.

Małpa „miriki” przerwała siatkę druczianą i schwytałem ją właśnie w chwili, gdy przesadziwszy przez otwór głowę i górną część tułowia, starała się długą łapą chwycić kameleona. Nigdy nie uwierzyłbym, gdybym nie widział na własne oczy, jak prędko te stworzenia umieją się poru-

szać. W mig wymknęły się niebezpieczeństwu i zgromadziły się wszystkie razem niżej i bliżej pnia. Tylko jedna samiczka niedość prędko uciekała i małpa chwyciła ją za ogon. Schwytna pozostała spokojnie na swoim miejscu, zmieniła tylko odrobinę kolor, nadeła się nieco, nie myślała jednak wcale o obronie. Zauważyłem, że była zraniona. Wystąpiłem teraz z ukrycia i przegnałem dręczyciela. Jak sparaliżowane siedziało biedne stworzenie i dopiero po kilku minutach inne zbliżyły się do niego. Usiadły wokół przerażonej, ale zdawało mi się, że wcale nie współczują jej nieszczęściu.

Ukryty za krzakiem, postanowiłem czekać, czy małpa nie ponowi napadu i czy ranna się nie poruszy. Niezadługo zbliżył się, ostrożnie zerkając wokoło, rabuś. Przypuszczając, że nie jest widziany przez nikogo, wspiał się na szczyt siatki i pchnął ręce i głowę przez otwór. Teraz stała się rzecz niespodziewana. Zranione zwierzę i teraz nie chciało się ruszyć, ale wówczas zbliżyły się inne i widziałem dokładnie, jak zmuszały oporną do zmiany miejsca i ucieczki przed małpą. Na plan pierwszy wysunął się zwłaszcza jeden bardzo mały kameleon. Zszedł z tyłu za znieruchomiłą samiczkę i zauważyłem, że wskutek tego zwisnął z gałęzi jej ogon. Zanim małpa

dosięgła gromady, wszystkie zwierzęta z wyjątkiem dzielnego obrońcy uciekły. Niestety, mały wybawca padł pastwą atakującej małpy.

Stwierdziłem też z całą pewnością, że kameleony poznają osoby, które je karmią.

Nieraz zanurzałem umyślnie w kropli syropu na dłoni większe muchy, owady lub motyle i zbliżałem się z nimi do statecznego kameleona, który ulokował się na szafie mego przewiewnego pokoju. Natychmiast wyciągał język jak długi i chwycił zdobycz. Zauważyłem, że ilekroć się zbliżałem, zwierzę unosiło się nieco i wybałuszało na mnie oczy; przy zbliżaniu się innych osób pozostawało nieruchome i nawet dosyć ospale reagowało na żywy pokarm podawany mu przez obcych ludzi.

XIV

Niezwykła przyjaźń

Na południu Kilimandżaro schwytałem antylopę kudu, której krótkiego, pendzelkowatego ogona trzymał się zębami mały okaz kozła gnu. Gdy lasso zacisnęło się wokół szyi pojmanego i zwierzę szalało nagle uwięzione, gnu puścił jego ogon. Biegał niepewnie tam i zpowrotem, pu-

ścił się wreszcie wdół ku rzece, a gdy i jego udało mi się schwytać na łąso, zauważyłem, że był ślepy i poprzez oczodoły widoczna była wielka blizna. W jaki sposób powstała blizna, która kiedyś musiała być ciężką raną, nie mogłem ustalić. Przypuszczam, że była to sprawa lwich pazurów. Napastnik najwidoczniej pośliznął się przy skoku i padając, musnął łapą oba ślepiea antylopy.

Zaledwie kudu zauważył, że towarzysz jego jest w pobliżu, uspokoił się i zbliżywszy się doń, nastawił tylną część tułowia. Gnu węszył, liznął parę razy, namacał grzbiet opiekuna i wreszcie chwycił zębami sztywno wyciągnięty ogon.

W jaki sposób ta przyjaźń powstała, pozostaje zagadką. Oba okazy były tej samej płci, ale należały do zupełnie różnych gatunków. W cichej zadumie stałem przed tą drżącą parą i myśli moje starały się objąć to dziwne zjawisko. Pogłaskałem po grzbiecie kudu, który wciąż odwracał głowę w stronę ślepego przyjaciela.

Koniec ogona kudu był goły i zbiedzony, obgryziony zębami ślepego kozła. Kto wie od ilu już lat ten widzący wiódł za sobą niewidomego i cudem jakimś uchronił go od czyhających w stepie licznych niebezpieczeństw.

XV

Wilk pokonany przez jagnię

Nie o samym wilku, ale o jego dalekim, zamieszkałym w odległych stepach Australji krewniaku, dzikim psie dingo, chcę wam opowiadać. Zoologowie twierdzą, że dingo swego rodzaju nie wywodzi z Australji, lecz przed kilku wiekami został tam sprowadzony. Twierdzenie to nie jest jednak poparte przekonującymi dowodami.

Stefan Milner twierdzi, że jeszcze na długo przed odkryciem Australji przez białych krajowcy sprowadzili wielkie psy z wysp Nowej Gwinei i Nowej Zelandji. Faktem jest, że australijscy murzyni albo mieszkańcy położonych blisko Australji wysp od czasów zamierzchłej przeszłości wiele podróżowali po morzu. O tem świadczą liczne, do dziś dnia niezatarte ślady. Jeżeli nawet, jak chce Milner i inni uczeni, sprowadzono przy tej okazji psy nieznanne przedtem w Australji, nie jest prawdopodobne, aby wszystkie należały do jednej rasy.

Na utrzymanie czystości rasy pierwotne ludy mały kładły nacisk. Mogłem to stwierdzić w czasie mych długich podróży.

Tylko na Sachalinie, na Filipinach i u nie-

których plemion Eskimosów zauważyłem dbałość o czystość rasy.

W innych okolicach zwrócono na tę sprawę uwagę dopiero w ostatniem pięćdziesięcioleciu; przedtem ani zamięłowania sportowe, ani piękno czystej rasy nie przychodziły do głosu; decydował wyłącznie interes gospodarczy.

Na Sachalinie i Filipinach hodowane są gatunki psów, które łatwo dają się tuczyć, gdyż mięso ich służy za pożywienie ludziom. Na Sachalinie są to wielkie okazy mieszańców, powstałych przez skrzyżowanie duńskiego doga z czystej krwi amerykańskiemu, które zczasem wyodrębniły się w oddzielną rasę. Krajowcy na Filipinach hodują rasę przypominającą angielskiego doga. Mięso tych psów jest wyjątkowo delikatne i doskonałe w smaku.

Warunki klimatyczne, zimno i śnieżyce strefy podbiegunowej zmusiły Eskimosów do hodowania rasy silnej, odpornej, o gęstej długiej sierści, ale krótkonożnej.

Psy z krótką sierścią nie wytrzymałyby niskiej temperatury, a długie nogi utrudniałyby szybki bieg wśród głębokich śniegów.

Na całym lądzie australijskim występuje jeden tylko gatunek dinga, jednej maści, wielkości i kształtu. Drobne odchylenia barwy nie świad-

czą o skażeniu rasy. Obserwuje się to często wśród najbardziej rasowych psów.

Nie ulega wątpliwości, że krajowcy nie gardzili i nie gardzą usługami psów innej rasy, ale żadne z nich nie zastąpiłyby dzielnego dinga.

Dingo czystej rasy jest z pewnością prototypem wszystkich odmian psów zwanych pospolicie wilkami. Z samym wilkiem niewiele ma wspólnego; raczej spowinowacony jest z szakalem i może kiedyś da się udowodnić, że czystą rasą jest dingo, szakal zaś mieszańcem dinga i jakiegoś innego, dawno wymarłego gatunku psów.

Tysiące lat temu Australia stanowiła jeden kontynent z sąsiednimi wyspami i z lądem azjatyckim i trudno dzisiaj ustalić, przez jakie ewolucje przeszły od tego czasu różne gatunki zwierząt; możliwe, że te właśnie obszary, na których znaleźćby można historję ich przeszłości, pochłonięte zostały przez morze.

Z chwilą oderwania australijskiego lądu zwierzęta musiały walczyć z nowymi warunkami życia, warunkami, których poprzednio nie znały, chociażby dlatego, że mogły dowolnie, jak np. fauna afrykańska, zmieniać miejsce pobytu na wielkich przestrzeniach, zależnie od potrzeb. Morze odecięło drogę i chcąc nie chcąc, trzeba się było do nowych warunków przystosować.

Dla zoologa zresztą jest Australja najciekawszym krajem, gdyż poszczególne gatunki zwierząt noszą jeszcze wyraźne ślady ewolucji.

Wróćmy jednak do dinga.

Stepowy ten rozbójnik ciągle poluje i szerzy spustoszenie w stadach. Okrutni i dzicy krajowcy zabijają często matki dingów, zabierając młode. Wzrastając pomiędzy ludźmi, zwierzęta te, póki są młode, trzymają się swych panów, ale tylko do czasu. W miarę dorastania uciekają od ludzi, gdy tylko zasłyszają ochrypy głos lub donośne wycie stepowych braci. Lecz tu dzieje się rzecz dziwna. Dzikie dingo nie chce znać nieproszonych gości. Obwąchuje ich ze wszystkich stron, aby po chwili napaść z nienacka i chowanych wśród ludzi jedнопlemieńców zagryźć na śmierć i pożreć.

Pewien kupiec w Windorah¹¹ podarował mi dinga, którego już trzy lata miał przy sobie. Postrzelił matkę w kilka dni po przyjeździe na świat szceniąt. Dwa z nich podarował, trzecie wykarmił z butelki. Od tego czasu zwierzę nie zetknęło się więcej z dzikimi braćmi.

Zwierzę przywiązało się do mnie bardzo prędko. Już pół roku byłem w jego posiadaniu, gdy któreś nocy, w okresie polowań na kangura,

¹¹ Miejscowość w południowo-zachodniej części Queenslandu.

zbudziło mnie wycie dzikiego dinga. Zerwałem się i umocowałem mego psa na smyczy.

Był dziwnie poruszony. Oczy zasły mu mgłą, a z gardzieli wydobywało się jakgdyby łkanie.

Od tej chwili dingo zmienił się nie do poznania. Nie bawił się, jadł mało, mnie już prawie znać nie chciał.

Gdy którejs nocy znowu dało się słyszeć wycie dingów, puściłem mego psa na wolność. Skorzystał z niej skwapliwie i skacząc wielkimi susami, zniknął w ciemnościach. Pobiegiłem za nim, lecz już po chwili straciłem go z oczu.

Następnego dnia znaleźliśmy wśród kości i strzępów skóry jego obrożę. Swoją tęsknotę za braćmi i siostrami przypłacił biedak życiem, został zagryziony i pożarty.

Któż zgłębi tę zmienną grę praw przyrody?

O życiu uczuciowem zwierząt obcych, a nawet wrogich sobie, pisano i mówiono już wiele. Zna ne laikom i zoologom z zaciętej ku sobie nienawiści zwierzęta zaprzyjaźniają się niejednokrotnie, ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, bronią się wzajemnie do upadłego. Często i przy czyny zewnętrzne odgrywają tu ważną rolę.

Zdarzają się w przyrodzie przykłady najja skrawszych sprzeczności. Uważny, przebywający długie lata sam z przyrodą i jej mieszkańcami

obserwator pozna nieraz lepiej jej tajemnice niż skrupulatny badacz. Zdarza się, że najłagodniejsze zwierzęta zabijają lub poskramiają swych wrogów, wyładowując w ten sposób tkwiący w praprzodkach instynkt walki.

Zdumiony byłem kiedyś bardzo, ujrawszy wśród trzody półdzikich owiec australijskiego dinga.

Naogół owce drżą przed australijskim dingiem, który porywa jagnięta i nie okazuje lęku nawet wobec roślących baranów. Gromada złożona z dziesięciu do dwudziestu dingów atakuje całe stada. Każdy z napastników ma wyznaczony swój udział w ataku. Wówczas gdy jedni walczą z psami pilnującymi trzody, inni porywają ofiary. Bez najmniejszego oporu owce poddają się swemu losowi, pozwalając mordować bezbronne jagnięta. Celne strzały pastuchów dosięgną niejednego z dingów, lecz nie zraza to innych.

Niesposób ich wytępić lub zrobić z nich przywiązane do człowieka zwierzęta domowe. Nastąpi to dopiero wówczas, gdy olbrzymie puste przestrzenie, stepy i łańcuchy górskie Australji zaludnią się i staną się krajem cywilizowanym.

Zdarza się często, że pewna część owiec odziera się od wielkiego stada, błądzi i zczasem dziczeje. Stada złożone z dwudziestu tysięcy

zwierząt i pilnowane przez kilku zawsze śpiących krajowców nie są rzadkością, ale są i stada liczące do 100.000 owiec i wówczas trudno jest stwierdzić, czy tysiąc, a nawet więcej sztuk nie oddzieliło się od gromady.

Na rozległych stokach pasą się niezliczone ich masy i łatwo może się zdarzyć, że jakiś baranprzewodnik zboczy w głuchą kotlinę, a za nim wędrują bezmyślnie tysiące owiec, baranów i jagniąt.

Gdy pastuchy nie odkryją ucieczki pierwszego, drugiego, a nawet trzeciego dnia, wówczas zwierzęta wędrują dalej poprzez grzebienie górskie i wąwozy, stale prac naprzód, aż wkroczą w okolice dziewicze, gdzie nie powstała jeszcze nigdy noga białego człowieka, gdzie nawet krajowiec jest rzadkiem zjawiskiem. W krótkim bardzo czasie te mało inteligentne bydłatka zapominają człowieka i dziecują. Jakieś instynktowne uczucie, nieświadomy pęd do wolności, pcha je naprzód, byle dalej od wszelkiej kultury.

Wróćmy jednakże do dzikiego dinga w trzodzie zbłąkanych owiec.

Całymi dniami wraz ze swymi ludźmi obserwowałem z ukrycia zwierzęta. Zupełnie zdziczałe stado przebywało napewno już od szeregu miesięcy bez nadzoru w górach.

Dinga otaczały stale barany. Gdy tylko próbował przesadzić pasącą się wokół gromadę, pierścień się natychmiast zacieśniał. Bezskuteczne okazały się wszelkie skoki i wybiegi: zawsze stróże porządku i karności zastępowali mu drogę.

Widziałem, jak zdesperowany pies gryzł pierwsze z brzegu, jak napastował poszczególne owce, i obserwowałem również, jak nadbiegały barany, odpychając go od ofiary. Przez lunetę widziałem doskonale dzikiego psa, podobnego już raczej do szkieletu niż do żywego zwierzęcia.

Dingo jest zwierzęciem mięsożernem. Nie gardzi też białem mięsem i w ostateczności bierze się do połowu ryb, ale do tego ma mało okazji; węże jada tylko wówczas, gdy kiszki grają mu głodowego marsza i nigdzie w okolicy nie da się nic upolować. Ale nawet bardzo wygłodzony nie zdobędzie się na pożarcie w całości najmniejszego choćby węża. Nieraz miałem sposobność zaobserwować, jak cheiwy i skądinąd żarłoczny dingo zwracał niestrawione lub świeżo połknięte szczątki węża.

Wstręt zwyciężał uczucie głodu.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że więziony przez owce dingo był skazany na śmierć głodową. Czy te znane z głupoty zwierzęta wiedziały, że wróg musi umrzeć, jest mało prawdopodobne;

pewne jest natomiast, że postanowiły odebrać mu wszelką możność mordy i rabunku w swem stadzie.

Wątpię, czy ktokolwiek zdoła wyjaśnić podobne zjawiska. Są to zagadkowe wybryki przyrody.

Zszedłem nieco niżej, aby z wyżyny położonej zaledwie o jakie dwadzieścia metrów ponad doliną lepiej obserwować stado. Dingo stał ze spuszczoną głową w ciasnem kole owiec i gdy ich masa parła naprzód, musiał i on postępować z niemi. Postanowiłem uwolnić dzikiego psa i zaryzykowałem strzał w powietrze, ponad głowami owiec. Wszystkie rozbiegły się w popłochu.

Przeliczyłem się jednak. Schwytany chciał, rzecz prosta, wykorzystać nadarżającą się sposobność i w dzikich susach przesadzał przerażone i ogłupiałe zwierzęta, zanim jednak osiągnął zewnętrzny szaniec tysięcznej zgórą gromady, owce uspokoily się i ze zdumiewającą szybkością zepchnęły uciekiniera w krąg pilnujących go baranów.

W dwa dni później zaobserwowałem, że dingo już ledwie dycha. Postanowiłem ułatwić mu koniec i celnym strzałem zabiłem go.

Ciekawy był widok baranów. Na huk strzału wzięły nogi za pas i uciekały, gdzie je oczy po-

niosły, po chwili jednak wróciły i nieme i ogłupiałe stały wokół martwego psa. Chociaż stado pchało je naprzód, zatrzymały się, wyczekując powstania dinga, ale owce parły coraz silniej. Barany nie dały się zepchnąć ze stanowiska, oddzieliły się od masy zwierząt i otoczyły kołem padlinę. Tępo patrzyły za oddalającym się stadem. Pozostały jeszcze długie godziny aż do późnej nocy. Dopiero następnego ranka pusto było wokół biednego dinga.

Na kościach dzikiego psa nie było prawie mięsa: musiał już szereg dni, a może i tygodni głodować. Skóra zwisała wielkimi fałdami, klatka piersiowa zapadła, łapy były poranione.

Zbój cierpiał srodze, ciężko odpokutował za swe grzechy. Nie mogłem sobie wyjaśnić, w jaki sposób dingo znalazł się w takiej opresji. Jakiego rodzaju walka rozegrała się, zanim został otoczony? Może w czasie napaści dingów na stado zdarzyło mu się nieszczęście, że nie mogąc sobie chwycić z brzegu ofiary, wpadł w sam środek wielkiego stada? Może w baranach obudził się dawny duch wojowniczy, silny przed tysiącletniemi, a stępiony i zagłuszony przez obcowanie z ludźmi? Wygasły duch walki zapłonął na nowo w owczych sercach i mszcząc się za tysiącletnie uciemiężenie, wywarły swą złość na pierwszym

napotkanym i śmiertelną grozę budzącym wrogu.

Bezradny i zmieszany staje człowiek wobec takich niezwykle wydarzeń. I niech sobie uczeni dowodzą, co chcą, będzie to zawsze tylko czeza gadanina, nieskończenie odległa od prawdy i tajników „duszy” i życia uczuciowego zwierząt.

Zresztą, ja również nie potrafię zaobserwowanego zdarzenia wyjaśnić; wyznaję to szczerze.

XVI

Żałoba rodzinna

W czasie transportu przez ocean najtroskliwszą opieką otoczyć trzeba mały, zwłaszcza podczas burzy lub zbyt gwałtownych zmian pogody.

Mały, podobnie jak ludzie, dostają morskiej choroby. Wszystkie zwierzęta czworonożne podlegają tym cierpieniom na wzburzonych falach oceanów i mórz.

O trudnościach, jakie następuje duży transport zwierząt, transport stanowiący częstokroć większą część ładunku okrętu, nie może mieć pojęcia ten, kto tego nie widział.

Pod koniec lat osiemdziesiątych i w początkach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ko-

munikacja ze wschodnią Azją była o wiele trudniejsza niż teraz. Kursowała co prawda pewna ilość statków pocztowych i pasażerskich, jednakże przesyłka większej ilości zwierząt była wielce kłopotliwa, gdyż cheiwe ładunków towarowych agencje okrętowe odrzucały jednak często propozycje przewozu dwu- i czworonożnych pasażerów. Z tego też powodu przetrzymywaliśmy schwytane i zakupione zwierzęta w naszych pomieszczeniach w Madrasie, Singapore i Bombaju aż do chwili wynajęcia ciężarowego statku na nasz wyłączny użytek. Potem dawaliśmy pierwszemu lepszemu agentowi zlecenie zapełnienia tych części statku, które się nie nadawały dla zwierząt, ładunkiem towarowym. W ten sposób przewóz kalkulował się taniej.

Wynagrodzenie i koszt utrzymania dozorców i pielęgniarzy były minimalne. W ten sposób bez uszczerbku dla interesów firmy mogliśmy zwierzęta miesiącami całymi pielęgnować w drodze. Okręt, na którym miały być transportowane zwierzęta w klatkach i bez klatek, musiał być specjalnie przystosowany do tego celu.

Bez klatek podróżowały tylko słonie, bawoły i gatunki wielkich rogatych bydła. Słonie wymagały specjalnego zabezpieczenia. Nogi tych olbrzymów zamknięte były w żelaznych obręczach,

umocowanych łańcuchem do kadłuba statku. Potężne bale, liny i siatki chroniły do pewnego stopnia zwierzęta w czasie silnego bujania okrętu.

Klatki z drapieżcami umieszczano zdaleka od gazel, antylop i bydła rogatego.

Każda klatka przytwierdzona była linami do ścian okrętu, aby w ten sposób w czasie burzy uniknąć suwania się i zdruzgotania. Przy rozmieszczaniu należy mieć na uwadze gatunki zwierząt. Trzeba pamiętać, aby miały dużo powietrza, a niektóre również wiele światła.

Węże, małpy i egzotyczne ptaki nie znoszą zimna ani przeciągów. Pomiedzy skrzyniami, w których leżały węże, musiały stać bez przerwy dniem i nocą blaszane naczynia z gorącą wodą. Jednostajna temperatura jest niezbędnym warunkiem życia tych gadów.

Wyjątkowo wrażliwe są małpy. W tropikalnym klimacie budzą mniej obaw, ale w strefie umiarkowanej należy być bardzo ostrożnym. Wiele ofiar zabiera przy przedłużającej się niepogodzie morska choroba. Jedne odmawiają przyjmowania pokarmów, do innych nie można się zbliżyć, bo zachowują się jak szalone.

Jeśli w klatce przebywa po kilka zwierząt i jedno z nich zachoruje lub zdechnie, wówczas

trudno bardzo odseparować je od innych. Nie należy zapominać, że transport odbywa się w jak najmniejszych klatkach, gdyż ograniczone rozmiary statku wymagają wielkiej ekonomji miejsca.

Szczery żal wzbudzają przebywające w klatkach, skrzyniach lub na łańcuchach ofiary morskiej choroby. Fale rzucają okrętem w prawo i w lewo, a biedne bezbronne zwierzęta nie mają możności uchwycić się czegoś, nie wiedzą, gdzie i jak się ukryć.

Godny pożałowania jest zwłaszcza stan dzikich kotów. Tygrysy, lamparty, jaguary, panteiry i lwy cierpią okrutnie i niejedną ciężką stratę poniosłem wskutek morskiej choroby.

Wszelkie odmiany psów też zapadają na morską chorobę. Hieny, szakale, wilki i lisy chorują przy wzburzonym morzu, ale rzadziej się zdarza, aby przez czas dłuższy nie przyjmowały pokarmu. Zwracają go wprawdzie, nie zabija w nich to jednak wrodzonej żarłoczności.

Nie zauważyłem nigdy, żeby niedźwiedzie cierpiały na chorobę morską, ale faktem jest, że w czasie burzy jedzą o wiele mniej niż zazwyczaj.

W roku 1893 wiozłem olbrzymi transport do Europy. Okręt mój przypominał arkę Noego.

Olbrzymi wschodnio-azjatycki transportowiec „Glasgow” po dwudziestu trzech dniach burzliwej podróży zawinął wreszcie do portu Southampton.

Na pokładzie jego było dużo zwierząt, a wśród nich sto zgórą małp: jawańskie makaki, rezusy, babuiny i brazylijskie miriki. Niektóre samice wprowadzone zostały na pokład z małemi lub też powiły je w drodze. Burze pochłonięły bardzo wiele ofiar. Przerzedziła się liczba lwów, tygrysów, a nawet słoni. Najwięcej ucierpiały małpy. Straty spowodowane były nie tylko przez wzburzone fale morskie, ale i przez niedość troskliwą opiekę i wadliwe rozmieszczenie. Przygotowania do wyjazdu były zbyt pośpieszne, przeto niedokładne.

Leżałem w silnej gorączce i nie mogąc się osobiście zająć ładunkiem, musiałem wszystko powierzyć dozorcóm. Znani z lenistwa ludzie Wschodu mało dbali o zwierzęta i w czasie największych burz nie odzywiali ich prawie wcale.

W Liverpoolu biedne, wyczerpane straszną podróżą czworonożne towarzystwo musiało jeszcze dwa dni czekać w porcie na zamówione wagony.

Wiele małp rozchorowało się wskutek wybuchu butelki z amonjakiem.

Po przyjeździe do Londynu okazało się, że wszystkie małe i dziewiętnaście dorosłych małp zdechło. Przy usuwaniu trupów małpy pozostałe przy życiu podniosły nieopisany gwałt, czepiając się kurezowo nieboszczyków. Babuiny zawlokły zmarłych towarzyszków do wnętrza swej ogromnej klatki, otoczyły ich zwartem kołem i nie pozwalały zabrać.

Matki niosły trupy swych dzieci na rękach, wydając groźne wrzaski i nawet gryząc, gdy chciano im je odebrać. Dopiero po kilkugodzinnej walce zdołano odseparować je od padliny.

Dziewięć matek straciło małe. Osiem z nich zmarło w przeciągu następnych dwóch tygodni. Wyczerpane chorobą i niewygodami podróży, odmawiały po zabranii im martwych dzieci przyjmowania pokarmów i zginęły z głodu i zmartwienia.

Babuiny długi czas były smutne. Ani śladu dawnej ruchliwości i wesela. Dopiero po wielu miesiącach, gdy nowe małe ssały piersi matek, ożywienie zapanowało w klatce. Duże małpy prześcigały się wówczas wzajemnie w pomysłach rozbawienia młodego pokolenia.

XVII

Wdowa po orangutanie

Z Palembang na Sumatrze udałem się, wyposażony w listy polecające gubernatora wyspy, w górę rzeki Musi. W Sekajoe, w miejscu, gdzie Rawas wpada do Musi, załatwiłem jeszcze ostatnie sprawunki. Tam oczekiwał mnie stary Ghoba Ramah, który w czasie poprzedniej wyprawy oddawał mi nieocenione wprost usługi.

Mój służący, chłopak hinduski, niepoń, ale z gruntu uczeziwa natura, kłamał, obiecując niebywałe rozkosze staremu Malajczykowi, aby go zachęcić, przy odpowiednim rzecz prosta wynagrodzeniu, do nowych przygód. Dobry przewodnik jest pierwszym warunkiem powodzenia wyprawy przez bezdroża, wśród nieznanymi okolic i ludzi. Pamiętałem o tem stale i nie szczędziłem pieniędzy na dobranie i wyrobienie sobie dzielnych ludzi. Nietylko wynagradzałem ich lepiej niż tragarzy, ale udzielałem im nawet pewnych przywilejów.

Każdych dziesięciu ludzi miało swego przewodnika, którego zadaniem była piecza nad podwładnymi, równomierne rozmieszczanie ciężarów, kontrola przy pakowaniu i dopilnowanie, aby przy rozbijaniu i zwijaniu namiotów wszyscy

wykonywali przeznaczoną im pracę. W czasie przygotowań do łowów, kopania dołów, rozciągania siatek, naganki sam obejmowałem komen-
dę, jakkolwiek miewałem często zręcznych i in-
teligentnych ludzi, którzy mnie w wyjątkowych
wypadkach mogli z powodzeniem zastąpić. Mój
długoletni towarzysz Ghoba Ramah był wyjątko-
wo zręczny. Mogłem na nim polegać w każdej
okoliczności. Byłem nietylko jego nauczycielem,
ale w wielu wypadkach — przyznaję to otwar-
cie — i uczniem.

W iluż ciężkich chwilach stał przy moim bo-
ku! I jeśli dziś jeszcze żyję, zawdzięczam to sto-
krotnie staremu Malajczykowi, który mnie wy-
rwał z wielu niebezpieczeństw i ostrzegł przed
niejednym nierozważnym krokiem. Ghoba Ra-
mah dwukrotnie uratował mi życie. Znał on nie-
tylko liczne azjatyckie języki i narzecza, ale
posiadał dar czytania w ludzkich twarzach. Ro-
zumiał znaki i spojrzenia, które dla mnie były
„chińszczyzną”. Jako przewodnik myśliwych
i badaczy, od dziesiątków już lat miał do czynie-
nia z tragarzami, a jako mieszkaniec Sumatry,
nienawidził Hindusów, którzy do wyspiarzy od-
noszą się z pogardą, traktując ich jak ludzi po-
śledniejszego gatunku.

Niełatwo też było nagiąć Hindusów do po-

słuchu wobec mieszkańca Sumatry; w podobnych wypadkach jednak nie znałem żartów i od razu stawiałem sprawę na ostrzu noża: bezwzględne posłuszeństwo lub fora ze dwora.

Śmiały, dzielny, choć już pięćdziesięcioletni Ghoba Ramah nie obawiał się zemsty Hindusów, chociaż nie raz jeden budził go w nocy skradający się z nożem krajowiec.

Rząd kolonialny dał mi prawo życia i śmierci nad moją służbą na wypadek zagrażającego mi od niej niebezpieczeństwa zdala od ludzkich osiedli.

Rzadko kiedy korzystałem z tego prawa. Dwa razy w Afryce i raz w Indjach.

Gdy na terenie Indyj godzono na moje życie, kazałem ze złoczyńcą rozprawić się tragarzom.

Tylko w razie groźnego niebezpieczeństwa uzbrajałem moich ludzi, a i wówczas najzaufańsi jedynie otrzymywali broń i amunicję. Zresztą miałem surowo zakazane rozdawanie broni między krajowców.

Ghoba Ramah, nie bez słuszności, był czujny i podejrzliwy. Nie ufał żadnemu z członków wyprawy. Niejednokrotnie się przekonałem, że miał rację.

Pewnemu dwudziestoletniemu Bengalczykowi, który nie znosił Ghoby, mnie zaś pozornie

bardzo był oddany, obiecałem ofiarować młynek do kawy. Chodziło o owe znane cylindryczne rury mosiężne, ozdobione ornamentami i cytatami z Koranu. Są to aparaty bardzo poręczne i wygodne, zwłaszcza w podróży. Zasluguje na uwagę, że owe „oryginalne tureckie fabrykaty” sporządzane są przeważnie w Wiedniu. Młody Hindus Turi od początku podróży zebrał o taką maszynkę, która mu się wydała najwyższem szczęściem na ziemi. Ilekroć kazałem mu zemleć pachnące ziarna kawy, pożerał maszynkę wzrokiem.

„Po skończonej podróży młynek będzie twój” — obiecałem Turi’emu.

Widocznie młodzianowi już nieraz biali obiecywali różne rzeczy i nie dotrzymywali słowa, gdyż nie ufał memu przyrzeczeniu. Raz po raz nagabywał mnie w sprawie natychmiastowego wręczenia prezentu, a ja łagodnie, lecz stanowczo odkładałem to do końca podróży. Miałem szczerzy zamiar dotrzymać danego słowa. Natychmiastowe spełnianie życzeń krajowców nie jest bynajmniej wskazane.

Ghoba zauważył, że pod koniec wyprawy zaszła w Turi’em jakaś zmiana, i ostrzegał mnie przed młodzieńcem.

Cztery tygodnie brakowało jeszcze do ukończenia podróży, gdy którejs nocy napadł mnie

Turi w namiocie. W prawej jego ręce połyskiwał nóż, którym się właśnie zamierzał, gdy silny a nieoczekiwany cios ztyłu udaremnił zamach, powalając złoczyńcę na ziemię. W czasie upadku drasnął mnie nożem, zadając lekką ranę na nodze.

Jednym susem zerwałem się z hamaka, chociaż spałem zawsze bardzo mocno.

Na ziemi zmagali się Ghoba z Turi'm. Po chwili młodzieniec był zwyciężony. Okrutna niewiść biła z jego oczu, gdy związany stanął przede mną. Chciałem mordercę zabrać ze sobą i oddać w ręce najbliższego sądu.

Ghoba, jak również przodownicy hinduscy, byli temu stanowczo przeciwni. Sądem doraźnym, który sam protokółowałem, Turi został skazany na śmierć.

Wiele trudu kosztowało mnie, zanim przekonałem „sędziów”, aby mi oszczędzili widoku egzekucji.

Po raz drugi Ghoba uratował mi życie w Chinach. Dowiedział się o sprzysiężeniu w wiosce, w pobliżu której rozbiliśmy namioty. W ostatniej chwili uzbroiliśmy najzafańszych naszych ludzi i przywitaliśmy napastników, zbliżających się do obozu, gradem kul. W panicznym strachu uciekli.

* * *

Bardzo zadowolony byłem, że i tym razem udało mi się zjednać Ghobę Ramah na towarzysza wyprawy przez Sumatrę. U swych rodaków cieszył się on wielką powagą, to też praca powinna była pójść tu łatwiej niż w Indjach.

Opowiadał mi, że dżungla pełna jest zwierzyny.

Poszukiwałem zwłaszcza orangutanów i węży-olbrzymów. Według objaśnień Ghoby, orangutany rozmnożyły się do tego stopnia, że pustoszyły pola krajowców.

Od Sekajoe udaliśmy się w górę Musi ku Moear Bhti u podnóża gór Barisan.

W rodzinnej wiosce Ghoby Ramah witano mnie z entuzjazmem i pokorą.

Ghoba zachowywał się jak wódz, nawet starszyzną wioski traktował wyniośle i zgóry. Z dumą kroczył przy moim boku wiejską uliczką i starał się być wytwornym. Zazdrośnie przyglądali mu się młodzi i starzy.

Zaraz pierwszego dnia przygotowano bambusowe klatki dla moich przyszłych jeńców. To znaczy przygotowano tylko ściany, spody i wierzchy, które miały być zestawione dopiero na terenie łowów. Przygotowano również sieci. Kazałem ich sporządzić dwanaście. (Niestety,

w ciągu czterech miesięcy schwytaliśmy zaledwie pięć małp).

Po upływie czterech dni popłynęliśmy w trzech łodziach w górę rzeki. Po trzech dniach uporeczywego wiosłowania wśród cudownej podzwrotnikowej zieleni dobrnęliśmy do wskazanej mi przez Ghobę polany. Wspaniałe miejsce do lądowania.

Zatrzymaliśmy się o godzinie trzeciej nad ranem.

Napędce rozbito namioty i przeniesiono cały ładunek na brzeg. Dwie łódki odesłaliśmy do wsi, dając wiosłarzom rozkaz powrotu po nas za cztery tygodnie.

Jeszcze przed południem ustawiono kilka pułapek na małpy.

Zaraz na skraju kniei zauważyliśmy uciekającą samicę orangutana z dzieckiem.

Las roił się poprostu od wszelakiej zwierzyny. Istny raj dla łowców. Nie brak było i zwierząt drapieżnych. Tym razem jednak szukałem tylko orangutanów. Płacono za nie cenę wielokrotnie wyższą niż za pantery.

Klatki-pułapki porozmieszczano w różnych miejscach. Mechanizm pułapki jest bardzo prosty. Wewnątrz, w samym środku dachu klatki,

której przednie i tylne ściany są ruchome, umieszcza się jeden duży lub wiązkę mniejszych owoców. Ponad niemi na wałku spoczywa deska. Do wałka umocowane są sznury, które podnoszą lub opuszczają boczne ruchome drzwi. W razie pociągnięcia za owoc porusza się deska, sznury nawijają się na wałek i drzwi opadają, zatrzaszkując się na żelazne klamry. Klatka nie jest zbyt obszerna, a to z tego względu, aby schwyte zwierzę, które w ciemności rzuca się jak szalone, nie zrobiło sobie nic złego.

Następnego ranka przeżyłem pierwsze rozczarowanie. W każdej klatce coś się złowiło, pomiędzy schwytanemi zwierzętami nie było jednak ani jednego orangutana.

W pięciu klatkach siedziały pospolite, dla mnie zupełnie bezwartościowe małpy, w szóstej wisiał nietoperz, którego obecności tam dotychczas nie mogę sobie wytłumaczyć. Największa niespodzianka czekała mnie w siódmej klatce. Młody lampart! Co tego drapieżcę zwabiło do klatki, pozostaje dla mnie zagadką.

Czyżby stanowił niesłychany wyjątek wśród swych mięsożernych jedнопlemieńców i hołdował jarskiej kuchni?

Z pewnością wyruszył po łup, a zwęszywszy durjan, który ma zapach gnijącego mięsa, uznał

go za łakomy kęs, pociągnął i... wpadł.¹² Wyobrażam sobie jego przerażenie i złość. Oszukany, siedział teraz wraz ze swym niezaspokojonym apetytem w klatce.

Klatka była bardzo mała nawet dla orangutana. Zbliżając się, słyszałem już, jak więzień starał się oswobodzić. Pazurami szarpał bambusowe pręty. Brak przestrzeni nie dawał mu możliwości rozwinięcia siły i prężności mięśni. Czem prędzej wzmocniliśmy zewnętrzne ściany klatki zieloną jeszcze trzcina, aby łaciatemu uniemożliwić ucieczkę.

Nie liczyłem coprawda na lamparty, ale gdy wpadają same w ręce, nie można ich odrzucać. Głupie małpy obdarzyłem wolnością, a klatki kazałem przesunąć w głąb lasu.

Następnego dnia los był łaskawszy: w pierwszych dwóch klatkach zastałem orangutana samca i samicę z dzieckiem. Dwie dalsze klatki były zamknięte, chociaż nie się w nie nie złapało. Być może, że zgraja małych psotnych małpek wyprawiała na nich swe harce.

Szczyście sprzyjało mi teraz przez czas dłuższy. Coraz głębiej zapuszczałem się w knieję. Cały nieznośnie upalny dzień spędzaliśmy bez-

¹² Owoc rośliny „Durio zibethinus“, ulubiony przez koty drzewne.

czynnie, pracując tylko wieczorem i o świcie. Kilku ludzi zajętych było stale dostarczaniem żywności dla schwytanych małp. Dla lamparta i dla nas sam dostarczałem poddostatkiem upolowanej zwierzyny.

W ciągu całego dnia w lesie panowała idealna cisza, zakłócana tylko niekiedy nieprzyjemnym rechotem dzioborożca lub — co się zdarzało jeszcze rzadziej — ćwierkaniem drobnych, śpiewających ptaków. Czasem z odrętwienia budziło nas przeciągające stado wrzaskliwych małp, które kłóciły się z sobą lub odprawiały sądy nad jednym ze współbraci.

Było to łudzące naśladownictwo sesji europejskiego parlamentu.

Ciekawą przygodę mieliśmy któregoś dnia, gdyśmy o czwartej nad ranem zauważyli tygrysa, dobierającego się do jednej z klatek, do której wpadł wielki orangutan. Skutkiem gwałtownych ruchów małpy klatka spadła z drzewa na ziemię.

Tygrys tak był pochłonięty domniemaną zdobyczą, że nie zauważył naszego zbliżenia się. Pierwszy strzał przeszył mu szyję. Zadygotał, odwrócił się, chciał wydać swój strach i grozę budzący ryk, niestety, kula przebiła mu krtań.

Zanim zdążył rzucić się na mnie, następna

kula zwała go z nóg. Przede mną leżał wspaniały okaz; krajowcy swoim zwyczajem zaczęli nań plwać, rzucając straszne przekleństwa i wszelkiego rodzaju obelgi.

W klatce siedział okazały orangutan, bardzo jeszcze podniecony napaścią tygrysa. Był to najładniejszy okaz orangutana, jaki kiedykolwiek widziałem. Niestety, po godzinie zakończył życie.

Dotkliwa to była strata, ale z takimi niespodziankami trzeba się liczyć. Kazałem zebrać klatki ze schwytanymi zwierzętami i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Niezauważona przez nikogo, postępowała wślad za tragarzami, ukryta dotąd wśród drzew, małżonka wspaniałego orangutana. Tylko jeden człowiek, ściśle mówiąc — młody chłopak, pilnował zwierząt.

Samica orangutana rzuciła się nagle na klatkę, w której zamknięty był samiec. Dozorca, który zdrzemnął się nieco wskutek upału, zerwał się przerażony.

Małpa wyrwała pręt bambusowy z klatki, co mogło ułatwić zamkniętemu zrobienie większego wyłomu. Chłopak podniesionym z ziemi drągiem chciał przepędzić małpę. Tymczasem orangutan wysunął łeb przez otwór, który wybiła jego naj-

droższa. Zaniepokojony tem chłopak wymierzył mu straszny cios w kark, łamiąc mu kręgosłup.

Teraz samica rzuciła się na chłopca, gryząc go dotkliwie i raniąc nogi, ręce i piersi. Nie dała się zastraszyć i nawet dozorców zmusiła do ucieczki.

Broczący krwią chłopak z krzykiem zbliżał się do nas. Zawróciłem natychmiast, gdyż z jego beładnej opowieści nie mogłem zrozumieć, co się właściwie stało. Ghoba był daleko.

W towarzystwie kilku jeszcze ludzi biegiem wracałem do obozu.

Przed klatką siedziała małpa, starając się wyciągnąć martwego małżonka. Na nasz widok zasyczała groźnie i szykowała się do ataku. Dopiero po kilku danych na postrach strzałach udało się przegnać niepocieszoną wdowę.

Otworzyłem klatkę.

Samica przyglądała się nam z pobliskiego drzewa. Trupa orangutana umocowano w klatce, drzwi naprawiono, na nowo nastawiono pułapkę, w ten sposób, aby natychmiast po wejściu samicy drzwi zatrzasnęły się za nią.

Cofnęliśmy się.

Czekaliśmy niedługo. Zaledwie zniknęliśmy z pola widzenia, małpa, uważnie rozglądając się

wokoło, zlazła z drzewa i po krótkim wahaniu rzuciła się na klatkę.

Drzwi się zatrzęsnęły.

Nie miałem jednak tym razem szczęścia w łowach.

Rozpacz wdowy była nieutulona w pełnem tego słowa znaczeniu. Musiałem jej zabrać zmarłego małżonka. Nie jadła nic i bez ruchu siedziała w dużej klatce, którą kazałem jej przygotować. Dałem jej nowego męża. Zaczęła odrazu protestować i poraniła boleśnie orangutana. Jedyny w swoim rodzaju wypadek, gdyż nigdy samica nie atakuje samca. Musiałem ją znów pozostawić samą. Zdjąłem skórę z zabitego orangutana i dałem ją wdowie. Siedziała w najodleglejszym kącie klatki. Rozłożyłem przed nią małe futro. Ciekawy byłem bardzo, jak na to zareaguje.

Spojrzała na rude futro, wciągnęła nosem powietrze i szeroko otworzyła oczy. Wreszcie podszła ku przodowi klatki, schyliła się, dotknęła futra, potarła je ręką i powąchała palce. Czynności te powtórzyła kilkakrotnie. Przytem poruszała wargami, jakgdyby rozmawiała sama z sobą. Wreszcie wyprostowała się, postąpiła krok naprzód i przyciągnęła futro ku sobie. Zachowywała się jak szalona. Podnosiła wciąż fu-

tro, ocierała się o nie, rozkładała je na podłodze i z lubością tarzała się po niem. Wreszcie cofnęła się w najdalszy kąt klatki, zarzuciła skórę zmarłego męża na ramiona i otuliła się w nią.

Cieszyłem się, że wreszcie upór został przełamany, chociaż i tego wieczoru jeszcze nie przyjęła żadnego pokarmu, ale zaczęła się przecie ruszać.

Następnego dnia znalazłem małą martwą, rozciągniętą na futrze ukochanego.

Zabiła ją boleść po stracie męża.

XVIII

Czakma

W Kraju Przylądkowym schwytałem należąca do gatunku małp o psich głowach samicę pawjana, t. zw. czakmę. Jest to gatunek małp, który się szybko przyzwyczaja i przywiązuje do człowieka.

Czakma była brzemienna i dlatego otaczałem ją specjalną opieką. Po upływie dwóch tygodni powiła drobną, wątlą małpeczkę. Nie troszczyła się absolutnie o dziecko, rzuciła je w kąt między łańchmany i nie patrzyła nań wcale. Niezwykłe to zjawisko, niespotykane nigdy wśród małp,

zastanowiło mnie. Kiedy zmuszałem małpę, aby wzięła dziecko do piersi, broniła się gwałtownie, ugryzła mnie i wreszcie, korzystając z chwili niedozoru, udusiła małe.

Nie dawało mi spokoju uporczywe pytanie, jaka była przyczyna tej widocznej niechęci i jej skutków. Może małpa wiedziała, że dziecko jej nie jest zdolne do życia? Zwierzę-matka tylko wówczas zabija potomstwo, gdy wie, że nie potrafi ono podjąć walki o byt. Ale co pouczyło czakmę o stanie jej dziecka? Nie w zewnętrznym wyglądzie zamordowanej małpki nie wskazywało na niedorozwój lub kalectwo. Nie była nawet specjalnie słaba. Okazuje się, iż w niektórych wypadkach zwierzę ma przewagę nad człowiekiem. Samice, a nawet samce, mają w sprawie potomstwa niezawodny instynkt, którego brak zupełnie człowiekowi.

Zbadałem zmarłą małpkę i przekonałem się, że oczy jej zasnute były szarą błonką, a kręgosłup w miejscu przyczepu trzeciego żebra lekko skrzywiony. Deformacja ta nie mogła powstać skutkiem nieszczęśliwego wypadku, gdyż brak było na to jakichkolwiek dowodów. Małpa wiedziała, że dziecko jej było ślepe i garbate, i dlatego je zabiła.

Dziwne zachowanie się małpy odrazu mnie

zastanowiło. Jakież było moje zdumienie, gdy w dzień zamordowania dziecka spostrzegłem w objęciach czakmy śpiącego małego kotka. Któryś z dozorców ofiarował niespokojnie i gwałtownie zachowującej się matce na pociechę kociaka. Małpa, która tylko pod przymusem brała na rękę własne bobo, nie wypuszczała kotka z uścisku, a nazajutrz, o dziwo! przystawiła go do swej piersi. Ślepy jeszcze kotek ssał z zapałem!

Wzruszające było patrzeć, jak małpa dbała o przybrane dziecko, jak je karmiła, myła i chroniła przed robactwem. Irytowała ją tylko postawa kotka w czasie, gdy go dźwigała na rękach. Dzieci małp czepiają się matki przednimi i tylnymi łapami, więc małpa nie mogła zrozumieć, dlaczego kot nie potrafi się przystosować do tej pozycji. Co raz opasywała się łapkami maleństwa, przyciskała je mocno do łona i — co najdziwniejsze — kocię po paru dniach nagięło się do tego niezwykłego dla jego gatunku położenia. I do pazurków przybranego dziecka nie mogła się matka przyzwyczaić. Ze zdziwieniem oglądała kocie łapy, odgarniała miękkie włoski, w niemem osłupieniu lustrując dziwaczne palce. Próbowwała wyrwać paznokcie, a raz nawet o małego jednego z nich nie odgryzła. Widocznie kotek zbyt głęboko wpił jej się w futro. Takich żartów

jednak „dziecko” nie uznawało, broniło się gwałtownie, a nawet ofuknęło starą.

Ciekawe było zachowanie się mały, gdy kotek przejrzał. Lizała i obmacywała powieki dziecka, przysuwała swój pysk tuż do jego pyszczka. Raził ją najwidoczniej kształt i barwa oczu pupila.

Częste upadki na szczęście nie szkodziły kotkowi. W czasie karmienia przyzwyczał się już do kurczowego trzymania się matki, jednakże podczas snu, gdy stara poczyniała wdrapywać się nagórę werandy, małe puszczało się i spadało na ziemię. Jednym susem mała znajdowała się znów przy niem, sprawdzając, czy nie poniosło szwanku.

Często też irytował starą sposób ssania kociaka. Może ciągnął zbyt silnie, a może wgryzał się w ciało pierwszemi ząbkami.

Ponad wszystkimi temi drobnymi tarciami górowała jednakże wielka, serdeczna miłość przybranej matki.

Po upływie kilku tygodni mała zaczęła uczyć kota gryzienia orzechów i innych owoców. Dziwiło ją niepomierne, że małe nie potrafiło nic utrzymać w przednich łapach. Ciągłe na nowo wtykała mu orzechy, które kotek zjadał tylko, o ile były obrane. Zkolei zdarzyło się coś wyjątk-

kowego: matka nie pozwalała dziecku jeść mięsa surowego ani gotowanego. Byłem zmuszony zabierać kota raz dziennie na karmienie, co wywoływało stale zaciętą walkę z małpą. W rezultacie stara poczęła sama zreć surowe mięso, nie tykając jedynie wątroby.

Niezwykły wypadek zdarzył się w trzecim tygodniu po adopcji kotka.

Właściwa matka-kotka, należąca do zamieszkałego o jakieś sto metrów ode mnie handlarza, odkryła w czasie jednej ze swych wędrówek skradzione dziecko. Skacząca po podwórzowych drzewach małpa zauważyła, jak stara kocica uciekała, trzymając w zębach dziecko. Wściekła i oburzona, rzuciła się na „złodziejkę” i gdyby nie pośrednictwo moich ludzi, byłyby się zagryzły na śmierć.

Kocica podrapała małpę dotkliwie i trudno ją było od przeciwniczki oderwać. I kotce dostało się kilka bolesnych ukąszeń.

Wielkimi susami uciekała prawdziwa, obrabowana matka. W ciągu najbliższych jednak dni i nocy krążyła koło mego domu. Ale małpa warowała. Gdy tylko dostrzegała kocią matkę, podnosiła nieopisany gwałt i gonila za rywalką. Kotka rada nierada dawała za wygraną i umykała co sił.

W następnych tygodniach mała ani na chwilę nie opuszczała kotka. Wszędzie brała go z sobą i wciąż miała się na baczności.

Zdarzyło się później jeszcze coś bardziej godnego uwagi, gdy z małego kociaka wyrosła piękna, drapieżna kotka. Mała skakała po podwórzu, towarzysząc jej wszędzie. Tylko do nocnych włóczęg przybranej córki nie mogła się przyzwyczaić i bardzo nad niemi bolała. Często zrywała się ze snu i w razie nieobecności „córki” ruszała na poszukiwania. Bez przerwy chrząkała i gniewała się. Schwytawszy dezenterkę, wciągała ją mimo oporu zpowrotem do podwórzowej zagrody.

Ciekawe, że kot nigdy nie podrapał mały. Któregoś dnia zazdrosna matka omal że nie zabiła natrętnego adoratora córki, mimo to jednak nie była w stanie powstrzymać nieuniknionego biegu wypadków. Z przerażeniem patrzyła, jak jej domniemana córka powiła któregoś dnia cztery kociaki. Siedziała opodal i w osłupieniu przyglądała się małym stworzeniom.

Nigdy stara nie bawiła się z wnukami i wogóle nie zajmowała się niemi. Ze smutkiem spozierała na dokazującą z małemi córkę, której całą swą miłość złożyła w dani. Gdy po paru tygodniach usunięto młode kociaki, mała formal-

nie odżyła, chwyciła kotkę w ramiona, tuląc ją gorąco i długo. Były znowu przyjaciółkami i spały przytulone mocno do siebie.

XIX

Nietoperze

Na wstępie stwierdzam, że wszystkie niesamowite historie na temat tych rzadkich nocnych stworzeń przeważnie są wymysłem.

Nietoperze są zwierzętami nocnymi, jakkolwiek istnieją gatunki, które i we dnie dla ruchu ryzykują krótkie wypadki.

Nazwę wysysających krew wampirów noszą przeważnie niesłusznie, gdyż tylko nieliczne gatunki oddają się tej namiętności. Mimo powszechnego twierdzenia, że napastują one i ludzi, w czasie moich wędrówek po obu półkulach rzadko spotykałem tego rodzaju wypadki, chociaż — zwłaszcza w Brazylii i Argentynie — starałem się umyślnie narazić na atak. W niektórych okolicach podzwrotnikowych nietoperze występują w dużych ilościach, ale nawet i tam nie rzucały się na moje, umyślnie poza siatkę broniącą od moskitów wysunięte nogi, chociaż gromadnie unosiły się nad moim hamakiem. Mo-

że mam krew niesmaczną, a może wyczuwały we mnie łowcę.

Moje zwierzęta zato często padały ofiarą wampirów. Raz obserwowałem, jak nietoperz wpił się w ciało osła w pachwinie przedniej nogi. Był to typowy okaz smakosza. Z wyrafinowaną dokładnością i rozważą zabrał się do dzieła i tylko lekkie, zaledwie widoczne ruchy głową zdradzały jego nieczne zamiary. Nietoperz ssał prawie trzy minuty, a gdy zauważyłem, że się nasycił i zabierał do odlotu, schwyciłem go i zaniósłem do swego namiotu. Na pyszczku i szyi dostrzegłem ślady krwi. Osioł w czasie libacji nietoperza nie obudził się, co świadczyłoby o bezbolesności ukąszeń. To moje przypuszczenie zgadza się ze spostrzeżeniami Humboldta, według którego wampiry nie wywołują rany przez ugryzienie, lecz rozmiękczają skórę ssaniem i dopiero po znieczuleniu upatrzonego miejsca uciekają się do pomocy zębów. O bezbolesności ukąszeń świadczył nieprzerwany sen osła, który nie obudził się nawet i wówczas, gdy odrywałem odeń wampira. Ranka była ledwie dostrzegalna i nie wywołała żadnych złych następstw.

Zdarzyło się jednak raz, że z powodu żarłoczności nietoperzy straciłem krowę. Zwierzę ssane było w trzydziestu kilku punktach i tak wiele

krwi straciło, że nazajutrz z wyczerpania nie mogło się już podnieść. Uwolnił je od cierpień strzał z mego rewolweru.

Poza tem obserwowałem często u mych zwierząt pociągowych, a nawet u małego foksterjera, ślady wampira. Rany przez niego zadane miały tylko te złe skutki, że stanowiły wdzięczne i łatwe pole działania dla much i innych krwiożerczych owadów.

Również i moi ludzie pokazywali mi ślady wampirów, twierdząc za każdym razem, że nie w nocy nie czuli i dopiero po przebudzeniu dostrzegli ślady jakgdyby ukłucia.

Piękno jest pojęciem względnem i gdy zaliczamy nietoperze do zwierząt brzydkich, dzieje im się krzywda. Groteskowy wygląd nie jest brzydota i kto sobie zada nieco trudu i przyjrzy się tym zwierzętom dokładniej, stwierdzi, że i one nie są pozbawione pewnego piękna, które czyni je wysoce interesującemi dla oka artysty.

Obserwowane za dnia nietoperze, z przerzucaną wtył głową, wtulone w fałdy skóry własnych skrzydeł, przypominają stare sztychy; wyobrażające złoczyńców z zarzuconą na ramiona peleryną.

Nietoperze najróżnorodniejszych odmian i gatunków spotkać można prawie pod wszystkiemi

szerokościami geograficznymi. Ich sposób życia prawie wszędzie jest ten sam; drobne różnice zachodzą jedynie co do pory i rodzaju pożywienia. Wszystkie bez wyjątku są szalenie żarłoczne i pochłaniają nieprawdopodobne ilości drobnych owadów. Ponieważ jednakże korzyści, jakie przynoszą, są stokroć większe od wyrządzanych przez nie szkód, powinny być wszędzie otoczone opieką. Nie są to stworzenia zgodne ani łagodne i samczki są równie wojowniczo usposobione, jak samce. Często byłem świadkiem ataków ze strony płci słabszej i zwycięstwo niezawsze przypadało w udziale osobnikom męskim.

Często po walce obie strony giną od niełitościwych, niezliczonych ukąszeń.

Donośne wrzaski, towarzyszące kłótniom, przerywane są od czasu do czasu gniewnymi pomrukami i skowytami; to samo dzieje się w czasie zbiorowych wycieczek.

Zasługuje na uwagę, że matki kryją swe małe po urodzeniu w fałdach skóry i zatrzymują je tam, dopóki dziecko nie okaże się zdolne do samodzielnego lotu. Nawet gdy młode przestają już ssać pierś matki i na własną rękę ruszają w świat po pokarm, wracają jeszcze nieraz w objęcia swej rodzicielki, która przyjmuje je z otwartymi ramionami.

W czasie swych wieloletnich podróży niejednokrotnie oswajałem nietoperze, które przywiązywały się do mnie bardzo, chodziły po mnie, gdy wypoczywałem w łóżku, i nigdy nie gryzły. Zadawały się byle czem i uważały za przysmaki to wszystko, czem gardziły na wolności, upominając się natrętnie o smaczny kąsek.

Razu jednego schwytałem kalonga, jedną z odmian największych nietoperzy, długości 43 cm i o rozpiętości skrzydeł sięgającej 110 cm. Stworzenie to, umieszczone w przestronnej klatce, przywiązało się do mnie do tego stopnia, że jego nocnym, spowodowanym nudą wrzaskom ja jeden tylko mogłem położyć kres. Musiałem jednak w tym celu przestąpić próg jego więzienia. Zczasem nietoperz ten stał się tak głośny i dokuczliwy, iż musiałem go zamknąć w słomianej budce daleko od mego bungalowu, mimo to jednak zmuszony byłem co noc do niego wstawać. Gdy kazałem mu zbyt długo na siebie czekać, obrzucał mnie po przybyciu wyrzutami, prędko się jednak uspokajał, obwąchując mnie dziękczynnie. Wypowiadał się obszernie i pozwalał mi odejść dopiero wówczas, gdy mu się sprzykrzyłem i gdy spożył wszystkie przyniesione przeze mnie łakocie. Serdecznie polubiłem tego krzykacza i chciałem go obdarzyć wolnością. Kazałem

odemknąć jedną ścianę budki i wieczorem położyłem się na czatach. Wiele czasu upłynęło, zanim nietoperz wyfrunął z domku. Po kilkakrotnem okrążeniu chaty zniknął z dzikim skowytom w ciemnościach nocy. Żal mnie ogarnął po stracie wiernego towarzysza. Długo nie mogłem zasnąć. Dziś wreszcie nikt nie przeszkodzi mi w nocy — myślałem. Jednakże przywiązanie zwierzęcia było silniejsze, niż przypuszczałem. Narazie zdawało mi się, że śnię, wkrótce jednak przekonałem się, że nie był to sen, lecz rzeczywistość. Kalong rozerwał pazurami siatkę przeciw moskitom na werandzie, dostał się do pokoju i spacerował po mojem łóżku. Przy tej sposobności podrapał mi policzek i ramię. Krzyk jego był tak przejmujący, że musiałem zatkać uszy. Gdy się podniosłem, zwierzę poczęło się tulić i łasić, nie posiadając się z radości. Czułe uściski zostały na mem ciele ślady w postaci bolesnych zadrapań.

We dnie kalong wisiał w swojej szopie, a gdy przed wschodem słońca udało mu się wcisnąć do domu, pozostawał w mojej izdebce, czepiał się drągów, na których wieszałem wysuszone skóry, chował łeb pod skrzydła i spał. Ilekroć słyszał mój głos, piszczał cichutko, a gdy się zbliżałem, rozpościerał jedną stronę swego płaszcza, wy-

chyłał się, spuszczał jedną nogę, spozierał na mnie i zasypiał na nowo.

Całemi miesiącami ciągnąłem za sobą tego wyjątkowego druha. Jeśli nawet nocą wyfruwał, stale nad ranem wracał do obozu.

Straciłem go w tragicznych okolicznościach. Jeden z moich psów, czupurny foksterjer, wgryzł się któregoś dnia w wiszącego w namiocie głową nadół nietoperza i po zaciętej walce, z której ociekający krwią pies wyszedł jednak zwycięsko, kalong zdechł od dotkliwego ukąszenia w pyszczek.

Gdy wróciłem z południowej konnej przejażdżki, zastałem wiernego przyjaciela na podłodze. Żył jeszcze, nie był jednak w stanie się podnieść.

Nigdy nie zapomnę błagalnego wyrazu jego wielkich oczu. Długie godziny trwało konanie, a moja natychmiastowa pomoc nie mogła uratować zwierzęcia.

Długo wspominałem kalonga i nieraz jeszcze zrywałem się ze snu pod złudnem wrażeniem jego głosu.

W przesadach odgrywają nietoperze od wieków poważną rolę.

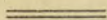
U wielu ludów egzotycznych — a również i u europejskich — używają części tych zwierząt

do przygotowania medykamentów, maści i miks-
tur. Krwi nietoperzy przypisywana jest moc
specjalna. Na Cejlonie młodzi ludzie starają się
opasującą biodra wybranej chustkę posmarować
krwią nietoperza, aby w ten sposób zdobyć wzglę-
dy ukochanej.

Najrozmaitsze części nietoperza znajdują rów-
nież zastosowanie jako talizmany. Wysuszona
skóra skrzydeł ma chronić przed chorobami
i złemi duchami.

Godny uwagi jest przesąd mieszkańców Su-
matry. Mężczyźni starają się o zdobycie dużej
wiązki języków nietoperzy, albowiem ususzone,
nawleczone na nitkę i powieszono u pułapu izby,
mają one powstrzymać gadatliwość kobiet.

Często w życiu stosowałem ten środek, nie-
stety, zawsze z ujemnym skutkiem.



Inne przygody autora tej książki są opisane w książce:
Józef Delmont, Mieszkańcy dżungli, kniei i stepu.

Spis treści

Przedmowa	3
I. W pracowni podróżnika	7
II. Mowa zwierząt	39
III. Czy dzikie zwierzęta są niebezpieczne?	53
IV. Polowanie i łowy na tygrysa	68
V. Pantera	109
VI. Tygrys drzewny	123
VII. Gepard	130
VIII. Niezwykłe zdarzenia w świecie egzotycznych zwierząt i ich życie „uczuciowe“	138
IX. Żaba rogata „Itania“ i termity	149
X. Osobliwości z życia żab	154
XI. Żaby i termity	159
XII. Dziecko przybrane	168
XIII. Kameleon	178
XIV. Niezwykła przyjaźń	185
XV. Wilk pokonany przez jagnię	187
XVI. Żałoba rodzinna	197
XVII. Wdowa po orangutanie	203
XVIII. Czakma	216
XIX. Nietoperze	222



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 14370



6000000000172

CP 7 5
3 4 0